

LABIRYNT ŚMIERCI

Philip
K. Dick



Philip K. Dick

Labirynt śmierci

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

Dom Wydawniczy REBIS Poznań 1997

Moim dwóm córkom, Laurze i Isie

Od autora

Religia przedstawiona w tej powieści nie jest pokrewna żadnemu znanemu wyznaniu. Powstała w wyniku przedsięwziętej przeze mnie i Williama Sarilla próby stworzenia abstrakcyjnego, logicznego systemu religijnego opierającego się na niepodważalnym założeniu, że Bóg istnieje. Powiniennem także dodać, że nieżyjący już biskup James A. Pike dostarczył mi podczas naszych rozmów przebogatego materiału teologicznego, z którym nigdy wcześniej nie miałem okazji się zetknąć.

Opisane w książce pośmiertne doznania Maggie Walsh są wzorowane na moich własnych przeżyciach po zażyciu LSD. Z najdrobniejszymi szczegółami.

Świat przedstawiony w powieści jest opisany w sposób skrajnie subiektywny; rozumiem przez to, że w ciągu całego toku narracji rzeczywistość jest postrzegana jedynie pośrednio, to znaczy za pośrednictwem którejś z postaci. W poszczególnych rozdziałach są to różne osoby, choć najczęściej wykorzystuję w tym celu Seta Morleya.

Całość materiału dotyczącego Wotana i zmięzchu bogów jest oparta nie na oryginalnych mitach, lecz na Pierścieniu Nibelunga Richarda Wagnera.

Odpowiedzi na pytania zadawane linowi zostały wzięte z 7 Ching, chińskiej Księgi przemian.

Tekel upharsin znaczy po aramejsku: „Zważył już, a teraz dzielą”. W tym języku mówił Jezus Chrystus. Powinno być więcej takich jak on.

Rozdział pierwszy

Ben Tallchief wygrywa królika na loterii

Jak zwykle praca okropnie go nudziła. Właśnie dlatego w ubiegłym tygodniu poszedł do kabiny łączności statku i podłączył przewody nadajnika do elektrod, które miał wszczepione na stałe do szyszynki. Jego modlitwa pobiegła przewodami do nadajnika, a stamtąd do najbliższego z sieci przekaźników. Od kilku dni objała się po całej Galaktyce, trafiając przy okazji - miał nadzieję - na jedną z boskich planet.

Modlitwa była bardzo prosta. „Ta cholerna robota w dziale inwentaryzacji okropnie mnie nudzi. To uciążliwa praca, bo statek jest za duży, a w dodatku przeludniony. Jestem bezużytecznym modułem zastępczym. Czy mógłbyś mi pomóc znaleźć coś bardziej twórczego i rozwijającego?” Modlitwę skierował, ma się rozumieć, do Orędownika. Gdyby nie przyniosła rezultatu, zaadresowałby ją do Konstruktora.

Ale modlitwa nie zawiodła.

- Zostaje pan przeniesiony, Tallchief - oznajmił szef, wchodząc do jego służbowej komórki. - Co pan na to?

- Nadam modlitwę dziękczynną - odparł Ben i poczuł się bardzo podniesiony na duchu. Każdy czuł się podniesiony na duchu, kiedy jego modlitwa została wysłuchana. - Kiedy mam się przenieść? Zaraz?

Nigdy nie ukrywał niechęci do szefa, a teraz miał po temu jeszcze mniej powodów niż kiedykolwiek.

- Benie Tallchief - odparł jego zwierzchnik - modlitwa jest jak modliszka.

- Pan nigdy się nie modli? — zapytał ze zdziwieniem Ben.

- Tylko w ostateczności. Cenię ludzi radzących sobie ze swoimi problemami bez niczyjej pomocy. Tak czy inaczej polecenie przeniesienia jest ważne. - Rzucił dokument na biurko Bena. - Mała kolonia na planecie Delmak-O. Nigdy o niej nie słyszałem, ale przypuszczam, że dowie się pan wszystkiego, gdy się pan tam zjawi. - Zmierzył Bena zamyślnym spojrzeniem. - Ma pan prawo wziąć jeden z nosaczy statku. Opłata wynosi trzy srebrne dolary.

- Zgoda - powiedział Ben i wstał, ściskając dokument w dłoni.

Pojechał ekspresową windą do kabiny łączności, tylko po to, by się przekonać, że nadajnik jest zapchany bieżącymi sprawami statku.

- Będziecie mieli później trochę czasu? - zapytał głównego radiooperatora. - Mam jeszcze jedną modlitwę, ale nie chcę wam blokować sprzętu, jeśli go potrzebujecie.

- Roboty po uszy do końca dnia - odparł radiooperator. - Słuchaj no, koleś, chyba nadaliśmy ci modlitwę w zeszłym tygodniu, prawda? Nie wystarczy ci?

W każdym razie przynajmniej próbowałem, pomyślał Tallchief, opuszczając nadajnik i jego zapracowaną obsługę i wracając do kwatery. Gdyby mnie kiedyś pytali, powiem, że robiłem, co mogłem, ale wszystkie kanały były jak zwykle zajęte sprawami służbowymi.

Czuł, jak narasta w nim oczekiwanie: wreszcie jakaś twórcza praca, i to akurat wtedy, kiedy najbardziej jej potrzebował. Jeszcze kilka tygodni tutaj, rozmyślał, a znowu przyssałbym się do butelki, jak w dawnych, godnych pożalowania czasach. Właśnie dlatego mi to dali, doszedł do wniosku. Wiedzieli, że jeszcze trochę, a nie wytrzymam. Pewnie bym wylądował w areszcie pokładowym, razem z innymi. Ilu ich tam jest? Zdaje się, że dziesięciu. Niedużo jak na statek tej wielkości, w dodatku z takimi surowymi przepisami.

Z górnej szuflady szafki wyjął nie napoczętą butelkę szkockiej i odkręcił zakrętkę. Mała libacja, pomyślał, nalewając alkohol do papierowego kubka. Uroczystość. Bogowie lubią takie ceremonie. Wypił whisky i ponownie napelnił kubek.

Żeby jeszcze bardziej uświetnić tę chwilę, wyjął — co prawda z ociąganiem - swój egzemplarz Księgi; było to tanie, paperbackowe wydanie “Jak w wolnej chwili powstałem z martwych, co i Tobie może się udać” A. J. Specktowsky'ego, jedyne, jakie kiedykolwiek miał, co tłumaczyło jego przywiązanie do książki. Otworzywszy ją na chybił trafił (bardzo zalecana metoda), przeczytał kilka znajomych akapitów apologii pro uita sua wielkiego XXI-wiecznego komunistycznego teologa.

Bóg nie jest niczym nadnaturalnym. Stanowił pierwszy i zarazem najbardziej naturalny sposób zaistnienia czegokolwiek.

To prawda, pomyślał Ben Tallchief. Jak dowiodły późniejsze badania teologiczne, Specktowsky był zarówno prorokiem, jak i logikiem; wszystkie jego przepowiednie prędzej lub później znalazły potwierdzenie w rzeczywistości. Oczywiście, pozostało jeszcze sporo nie wyjaśnionych zagadnień... Na przykład przyczyna powstania Konstruktora (chyba że ktoś był gotów zadowolić się poglądem głoszonym przez Specktowskiego, że istoty tej klasy powstawały same z siebie, poza czasem, a tym samym poza zasięgiem związku przyczynowo-skutkowego). Jednak większość odpowiedzi znajdowała się na tych, wielokrotnie powielanych, stronach.

“W miarę zataczania coraz szerszych kręgów moc, dobro i wiedza Boga wyraźnie słabły, tak że na obrzeżu największego kręgu jego dobro i wiedza były już bardzo słabe - zbyt słabe, żeby mógł obserwować Niszczyciela Formy, powołanego do życia podczas boskiego aktu tworzenia kształtów. Pochodzenie Niszczyciela Formy nie jest jasne; nie można na przykład jednoznacznie stwierdzić, czy (po pierwsze) stanowił od początku odrębną istotę, zdolną, jak sam Bóg, do aktu samokreacji, czy (po drugie) stanowi tylko jeden z jego aspektów, a tym samym...”

Ben przestał czytać. Siedział, popijając whisky i trąc ze znużeniem czoło. Miał czterdzieści dwa lata i już wiele razy przeczytał całą Księgę. Jego życie, choć długie, nie dodało zbyt wiele do zawartych w niej treści przynajmniej do tej pory. Wykonywał wiele zawodów, wywiązując się rzetelnie ze swoich obowiązków, ale nigdy nie poświęcając się im całkowicie. Może teraz mi się uda, pomyślał.

W tym nowym miejscu. Może to jest moja wielka szansa.

Czterdzieści dwa lata. Jego wiek zdumiewał go już od dosyć dawna, a zawsze, kiedy tak siedział, usiłując zrozumieć, co się stało z młodym, szczupłym, dwudziestoletnim mężczyzną, mijał kolejny rok, który trzeba było dopisać do rachunku; suma ciągle rosła, a on wciąż nie potrafił skojarzyć jej ze swoją osobą. W dalszym ciągu myślał o sobie jako o młodzieńcu, a kiedy zdarzało mu się zobaczyć swoją twarz na bardziej aktualnej fotografii, okupywał to ciężkim wstrząsem psychicznym. Właśnie dlatego używał do golenia maszynki elektrycznej, nie chcąc się oglądać w lustrze w łazience. Ktoś zabrał mi mój prawdziwy wygląd i podstawiał t o, myślał od czasu do czasu. Cóż, czasem tak bywa, westchnął z głębi piersi.

Spośród swoich wielu jałowych zajęć lubił tylko jedno i do tej pory dość często powracał do niego we wspomnieniach. W roku 2105 obsługiwał radiowęzeł nadający muzykę na ogromnym statku wiozącym kolonistów na jedną z planet w systemie Deneba. W magazynie taśm znalazł nagrania wszystkich symfonii Beethovena, wymieszane na chybił trafił z orkiestrową wersją Carmen i utworami Delibesa; odtwarzał Piątą, swoją ulubioną, nieskończenie wiele razy, nasączając jej dźwiękami wydobywającymi się z głośników wszystkie, nawet najbardziej odległe pomieszczenia statku. O dziwo, nikt nie protestował, więc Ben słuchał jej do upojenia, ale po pewnym czasie przeniósł uczucia na Siódmą, a wreszcie, w pełnym uniesienia końcowym okresie podróży, na Dziewiątą, której już nigdy nie zdradził.

Może jedyne, czego mi trzeba, to sen, pomyślał. Życie w półśnie, z niewyraźnymi, zamazanymi szczegółami, przy wórce cichych dźwięków muzyki Beethovena.

Nie, postanowił, chcę być! Chcę działać i coś osiągnąć. Z każdym rokiem staje się to dla mnie coraz ważniejsze i z każdym rokiem coraz dalej mi ucieka. Najważniejszą cechą Konstruktora jest to, że potrafi wszystko odnowić, może powstrzymać proces rozkładu, zastępując jeden przedmiot drugim, o doskonalszej formie. Kiedy i ten zacznie się rozkładać, bo dopadnie go Niszczyciel Formy, Kreator zastąpi go następnym. To zupełnie tak samo jak z pokoleniami pszczół: stare niszczą sobie skrzydełka i umierają, ale natychmiast na ich miejscu pojawiają się młode. Ale ja tego nie potrafię. Rozkładam się, bo Niszczyciel Formy trzyma mnie mocno w garści. Może być już tylko gorzej. Boże, pomóż mi, pomyślał.

Ale nie zastępuj mnie. Z kosmologicznego punktu widzenia wszystko byłoby w porządku, ale ja wcale nie chcę przestać istnieć. Chyba to rozumiesz, skoro spełniłeś moją prośbę.

Alkohol sprowadził na niego senność; ku swemu zdziwieniu stwierdził, że siedzi i kiwa bez sensu głową. Musi jak najszybciej oprzytomnieć! Zerwawszy się z miejsca, podszedł do przenośnego fonografu, wziął pierwszą z brzegu płytę wizyjną i położył ją na talerzu. Natychmiast na przeciwległej ścianie pokoju pojawiły się kolorowe, geometryczne kształty, poruszające się jak żywe istoty, ale nienaturalnie płaskie. Odruchowo dotknął regulatora głębi obrazu i kształty zyskały trzeci wymiar. Po chwili zwiększył także głośność.

- ...Legolas słusznie prawi. Nie godzi nam się strzelać zniecka do starca, nawet gdybyśmy strachem lub nieufnością się kierowali. Nie spuszczaście go z oka i czekajcie cierpliwie!

Pokrzepiające słowa starego eposu szybko przywróciły mu właściwą perspektywę. Wrócił do biurka, usiadł przy nim i wyjął dokument, który otrzymał od zwierzchnika. Marszcząc brwi, wpatrywał się w zakodowaną informację, usiłując ją odczytać. Te liczby, dziurki i litery oznaczały dla niego nowe życie, nadejście nowego świata.

- ...Mówisz, jakbyś dobrze znał Fangorna. Czy tak jest w istocie?

Akcja toczyła się wartko dalej, ale on nie zwracał na nią najmniejszej uwagi, bo powoli zaczynał rozumieć treść depezy.

- Cóż masz nam do powiedzenia takiego, czego żeś nam nie obwieścił podczas poprzedniego spotkania? - zapytał ostry, donośny głos. Ben podniósł wzrok i ujrzał przed sobą odzianą w szare szaty postać Gandalfa. Gandalf mówił do niego, do Bena Tallchiefa. Żądał, żeby zdał mu relację. - A może chcesz odwołać któreś ze swych twierdzeń?

Ben wstał i wyłączył fonograf. Na razie nie czuję się na siłach, żeby z tobą rozmawiać, Gandalfie. Mam do zrobienia wiele rzeczy, prawdziwych rzeczy. Nie mogę się wplątać w tajemniczą, nierzeczywistą konwersację z mityczną postacią, która prawdopodobnie nigdy nie istniała. Jeżeli o mnie chodzi, to wszystkie stare wartości przestały nagle istnieć. Muszę rozgryźć, co znaczą te przeklęte dziurki, liczby i litery.

Treść depezy zaczynała sobie powoli torować drogę do jego umysłu. Starannie zakręcił butelkę whisky. Miał wyruszyć w podróż zupełnie sam, żeby w kolonii dołączyć do pozostałych osób, ściągniętych z najróżniejszych miejsc. Wymagane umiejętności klasy 5, operacja z grupy C, siatka płac K-4. Maksymalny okres trwania: dwa lata. Od chwili przybycia pełna pensja i opieka medyczna. Wszystkie otrzymane wcześniej polecenia zostały automatycznie anulowane, więc mógł wyruszyć bez zwłoki, nawet nie kończąc rozpoczętej pracy.

W dodatku tak się składa, że mam trzy srebrne dolary, żeby zapłacić za nosacza, pomyślał. A więc tak to wygląda; nie muszę się o nic martwić. Może tylko...

Nie mógł za nic zrozumieć, na czym ma polegać jego praca. Litery, liczby i dziurki nie mówiły nic na ten temat, albo raczej on nie potrafił wydobyć z nich tej wiadomości, na której mu najbardziej zależało.

Mimo to wszystko wyglądało całkiem nieźle. Podoba mi się, pomyślał. Biorę to. Nie chcę niczego odwoływać, Gandalfie; modlitwy nieczęsto są wysłuchiwane, więc wolę nie grymasić.

- Gandalfie, ty istniejesz już tylko w ludzkiej wyobraźni, a to, co mam przed sobą, pochodzi od Jedynego, Prawdziwego i Żywego Boga, który jest całkowicie realny - powiedział. - Czy mógłbym liczyć na coś więcej?

Odpowiedziała mu cisza; nie widział już Gandalfa, bo wyłączył fonograf.

- Może pewnego dnia to odwołam, ale nie teraz - dodał. - Rozumiesz?

Czekał, wiedząc, że usłyszy tylko ciszę, i zdając sobie sprawę, iż może ją przerwać lub przywołać z

powrotem jednym dotknięciem wyłącznika fonografu.

Rozdział drugi

Seth Morley przekonuje się, że jego pan naprawił to, co symbolizuje wszystko, w co Morley wierzy.

Seth Morley zręcznie przekroił nożem o plastikowym trzonku leżący przed nim ser gruyere i powiedział:

- Wyjeżdżam. - Nadział na nóż wielki kawał sera i wsadził go do ust. - Nikt mnie więcej nie zobaczy w kibucu Tekel Upharsin.

Uśmiechnął się, ale Fred Gossim, naczelny inżynier osiedla, zamiast zareagować w odpowiedni sposób na tę oznakę radości, skrzywił się jeszcze bardziej. Jego pełna dezaprobaty obecność zdominowała całe biuro.

- Mój mąż zwrócił się z prośbą o przeniesienie już osiem lat temu - odezwała się cicho Mary Morley. - Nigdy nie mieliśmy zamiaru tutaj zostać. Wiedział pan o tym.

- A my lecimy z nimi! - oznajmił z podnieceniem Michael Niemand. - Oto, co możecie dostać w zamian za sprowadzenie tutaj znakomitego biologa morskiego i zmuszanie go do taszczenia kamiennych bloków z cholernego kamieniołomu! Mamy już tego dosyć. - Trącił łokciem swoją drobniutką żonę Clair. - Co, nie mam racji?

- Na tej planecie nie ma wody, więc trudno od nas oczekiwać, żebyśmy dali biologowi morskiemu pracę zgodną z jego wykształceniem — odparł zgryźliwie Gossim.

- Ale osiem lat temu daliście ogłoszenie, że poszukujecie właśnie biologa morskiego - przypomniała mu Mary Morley, na co Gossim skrzywił się jeszcze wyraźniej. — To w y popełniliście błąd.

- Ale to jest wasz dom - skontrował naczelny inżynier. - Każdego z was. - Wskazał ręką grupę ludzi stłoczoną przy wejściu do biura. - Razem go zbudowaliśmy.

- Ser też jest tu okropny - podjął Seth Morley. - Te cholerne ąakkip, kozopodobne podorganizmy, które cuchną jak zeszlóroczne gacie Niszczyciela Formy... Na niczym tak mi nie zależy, jak na tym, żeby już nigdy ich nie widzieć. Sera też. - Odkroił sobie drugi kawałek drogiego, importowanego gruyere'a. - Nie możecie się zabrać z nami - poinformował Niemanda. - Według naszych instrukcji mamy tam lecieć nosaczem. Po pierwsze: nosacz ma tylko dwa miejsca, w tym wypadku dla mojej żony i dla mnie. Po drugie: ty i twoja żona to też dwoje ludzi, ergo nie zmieścicie się, ergo nie lecicie.

- Weźmiemy drugiego nosacza - powiedział Niemand.

- Nie macie instrukcji ani zgody na przeniesienie na Delmak-O - przypomniał mu Seth Morley z ustami pełnymi sera.

- Po prostu nas nie chcecie.

- Nikt was nie chce - warknął Gossim. - Jeżeli o mnie chodzi, to uważam, że bez was byłoby tu nam dużo lepiej. Chodzi mi tylko o Morleyów. Nie chcę, żeby ich stąd diabli wzięli.

- Z góry zakłada pan, że mają nas „wziąć diabli”? - zapytał cierpko Seth Morley.

- To jakieś eksperymentalne przedsięwzięcie - powiedział Gossim. - Na to przynajmniej wygląda. Na małą skalę, trzynaście do czternastu osób. Dla was będzie to tak, jakbyście zaczęli wszystko od początku tutaj, w Tekel Upharsin. Macie na to ochotę? Spójrzcie, ile potrzebowaliśmy czasu, żeby dobić do setki wydajnych, oddanych mieszkańców. Wspomniałeś o Niszczycielu Formy; nie wydaje ci się, że w ten sposób sam rozwalasz formę Tekel Upharsin?

- A przy okazji moją własną - mruknął Morley do siebie. Radosny nastrój zniknął bez śladu: Gossim trafił do niego swymi argumentami. Gossim zawsze bardzo dobrze sobie radził ze słowami, co było dość niezwykle jak na inżyniera. Tylko jego płomienne przemówienia trzymały ich tutaj przez tyle lat. Co prawda na Morleyów jego słowa oddziaływały coraz słabiej, już nie tak jak niegdyś, lecz mimo to zachowały nikłą część swego dawnego blasku. Seth nie mógł tak po prostu zignorować tego, co mówi gruby, czarnooki inżynier.

Mimo to wyjeżdżamy, pomyślał. Jak w Fauście Goethego: „Na początku był czyn”. Czyn, a nie słowo, jak trafnie przewidział Goethe, przeczuwając pojawienie się dwudziestowiecznych egzystencjalistów.

- Będziecie chcieli wrócić - zawyrokował Gossim.

- Hmm... - mruknął Seth Morley.

- A wiesz, co wam wtedy powiem? - ciągnął głośno Gossim. - Jak tylko dostanę od was podanie o ponowne przyjęcie do kibucu Tekel Upharsin, powiem: “Niestety, nie potrzebujemy biologa morskiego, bo nie mamy oceanu, a nikt nie będzie specjalnie budował jakiegoś bajora, żeby...”

- Nigdy nie prosiłem o żadne bajoro - przerwał mu Morley.

- Ale chciałbyś je mieć.

- Chciałbym mieć jakikolwiek zbiornik wodny. Tylko o to mi chodzi. Właśnie dlatego stąd odlatujemy i nigdy nie wrócimy.

- Jesteś pewien, że na Delmak-O są zbiorniki wodne? - zapytał Gossim.

- Myślę... - zaczął Morley, ale Gossim nie pozwolił mu dokończyć:

- To samo myślałeś o Tekel Upharsin. Od tego zaczęły się wszystkie twoje kłopoty.

- Myślę, że skoro poszukujecie biologa morskiego... - Seth westchnął ciężko i poczuł się nagle bardzo zmęczony. Przekonywanie Gossima nie miało najmniejszego sensu. Naczelnym inżynierem kibucu,

a zarazem jego administrator, miał szczelnie zasklepiony umysł.

- Chcę tylko dokończyć mój ser - rzekł Morley, odkrawając kolejny plaster. Nagle poczuł, że wcale nie ma na niego ochoty; zjadł już zbyt dużo. - Do diabła z tym wszystkim - powiedział, rzucając nóż. Był zdenerwowany i nie miał najmniejszej ochoty kontynuować rozmowy z Gossimem, którego nie lubił. Najważniejsze było to, że bez względu na swe uczucia, naczelny inżynier nie mógł unieważnić polecenia. Anulowało ono automatycznie wcześniejsze decyzje, i to było wszystko, wzdłuż i wszerz, żeby zacytować Williama S. Gilberta.

- Mam was po dziurki w nosie - powiedział Gossim.

- My pana też - odparł Morley.

- Remis - oznajmił Niemand. - Widzi pan, panie Gossim, nie zmusi nas pan, żebyśmy zostali. Może pan tylko wrzeszczeć.

Gossim wstał, wykonał obraźliwy gest skierowany do Morleya i Niemanda i wyszedł z budynku, krocząc wąskim szpalerem wśród rozstępujących się przed nim ludzi. W biurze zapadła cisza, a Seth Morley od razu poczuł się lepiej.

- Klótnie bardzo cię męczą - zauważyła jego żona.

- Tak - zgodził się. - Gossim też mnie męczy. Jestem wykończony tą jedną rozmową i nie pamiętam już żadnego dnia z tych ośmiu lat, które tutaj spędziliśmy. Idę wybrać nosacza.

Podniósł się i wyszedł w blask wiszącego wysoko na niebie słońca.

Nosacz to dziwna maszyna, pomyślał, stojąc na skraju parkingu i patrząc na ustawione w równych szeregach, nieruchome pojazdy. Po pierwsze, były nieprawdopodobnie tanie: mógł kupić którykolwiek z nich za niecałe cztery srebrne dolary. Po drugie, mogły wszędzie polecieć, ale nie były w stanie wrócić. Nosacz był za mały, żeby zabrać ilość paliwa wystarczającą na drogę powrotną. Potrafił tylko wystartować z dużego statku albo powierzchni planety, dotrzeć do punktu przeznaczenia i zakończyć tam swój żywot. Mimo to nosacze znakomicie wypełniały swoje zadanie. Wszystkie inteligentne rasy śmigały po Galaktyce w tych małych, strąkopodobnych maszynach.

Żegnaj, Tekel Upharsin, powiedział bezgłośnie Morley i pozdrowił oszczędnym gestem pomarańczowe krzaki rosnące zaraz za parkingiem.

Którego powinniśmy wybrać? - zadał sobie pytanie. Wszystkie wyglądały jednakowo, zardzewiałe i niepotrzebne. Jak stare, zużyte samochody na Ziemi. Wezmę pierwszego, którego nazwa zaczyna się na Upharsin!, zażartował i zaczął czytać napisy na kadłubach.

Morowy kurczak. A więc ten. Nazwą może niezbyt wyszukana, ale odpowiednia: wiele osób mówiło mu że wygląda jakoś niezdrowo, jakby chorował na jakąś zakaźną chorobę, podczas gdy jego zdaniem charakteryzował go jedynie zaraźliwy, zjadliwy humor.

Spojrzawszy na zegarek, przekonał się, że ma jeszcze dość czasu, by zajrzeć do pakowni wytwórni

przetworów cytrusowych. Nie zwlekając, ruszył w tamtą stronę.

- Dziesięć słoików marmolady klasy AA - powiedział do urzędnika zajmującego się ekspedycją towarów. Jeżeli nie uda mu się teraz, to już nigdy.

- Jest pan pewien, że należy się panu dziesięć dodatkowych słoików? - zapytał urzędnik, mierząc go pełnym powątpiewania spojrzeniem; nie po raz pierwszy spotykali się przy takiej okazji.

- Może pan sprawdzić stan mojego konta u Joego Persera - odpowiedział Morley. - Proszę, niech pan weźmie telefon i zadzwoni do niego.

- Nie mam czasu - odparł urzędnik. Odliczył dziesięć słoików głównego produktu kibucu, wsadził je do torby, nie do kartonu, i popchnął w stronę Morleya.

- Nie w kartonie? - zapytał Seth.

- Spływaj pan.

Morley wyjął jeden ze słoików, żeby się upewnić, czy rzeczywiście są klasy AA. Były. Marmolada z kibucu Tekel Upharsin!, informowała etykieta. Z autentycznych pomarańczy z Sevilli (podgrupa mutacyjna 3-B). Skosztuj odrobiny słonecznej Hiszpanii!

- Świetnie - powiedział Morley. - Dziękuję.

Wziął w objęcia dużą papierową torbę i ponownie wyszedł w zalany słonecznymi promieniami świat.

Znalazłszy się z powrotem na parkingu, zaczął ładować słoiki marmolady do Morowego Kurczaka. Jedyna naprawdę dobra rzecz, jaką udało się tu zrobić, pomyślał, układając jeden słoik za drugim w magnetycznym polu przedziału ładunkowego. I jedyna, jakiej będzie mi brakowało.

Połączył się z Mary przez umocowane na szyi radio.

- Wybrałem już nosacza - poinformował ją. - Przyjdź na parking, to ci go pokażę.

- Jesteś pewien, że niczego mu nie brakuje?

- Przecież wiesz, że możesz polegać na mojej znajomości mechaniki - odparł gniewnie Seth. - Sprawdziłem silnik, przewody, stery, systemy ochrony życia, wszystko.

Wepchnął do bagażnika ostatni słoik marmolady i zatrzasnął mocno klapę.

Zjawiła się kilka minut później — szczupła, opalona, ubrana w koszulę khaki, szorty i sandały.

- Cóż... - powiedziała, przyglądając się Morowemu Kurczakowi. — Jeśli mam być szczerą, to dla mnie wygląda jak wrak. Ale skoro mówisz, że jest w porządku, to chyba masz rację.

- Już go częściowo załadowałem - oznajmił Morley.

- Czym?

Otworzył przedział ładunkowy i pokazał jej dziesięć słoików marmolady.

- Boże — powiedziała Mary po długim milczeniu.

- O co chodzi?

- Wcale nie sprawdzałeś silnika ani przewodów, tylko próbowałeś wyciągnąć od nich tyle tej choleralnej marmolady, ile się dało. — Zatrzasnęła z wściekłością klapę. - Czasem mi się wydaje, że jesteś niespełna rozumu. Przecież tu chodzi o nasze życie! Przypuśćmy, że nawali system wymiany powietrza albo ogrzewanie, albo okaże się, że w kadłubie są mikroskopijne dziurki, albo...

- Poproś swojego brata, żeby go sprawdził - przerwał jej. - Przecież ufasz mu znacznie bardziej niż mnie.

- Jest zajęty, wiesz o tym.

- Oczywiście. W przeciwnym razie byłby tutaj i wybierałby dla nas nosacza. Zamiast mnie.

Szczupłe ciało jego żony napięło się niczym sprężyna; przez chwilę wpatrywała się w niego ostrym spojrzeniem, a potem nagle oklapła w geście półzartobliwej rezygnacji.

- Najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że masz takie nieprawdopodobne szczęście - powiedziała. - Szczególnie jeśli weźmie się pod uwagę twoje uzdolnienia. Najprawdopodobniej to rzeczywiście najlepszy nosacz na tym parkingu. Nie dlatego, że potrafiłeś go wyszukać, ale dlatego, że masz choleralne szczęście, jak jakiś mutant.

- To nie szczęście, tylko umiejętność oceny. Mary potrząsnęła głową.

- Nie. Wszystko, tylko nie to. Ty nie masz najmniejszej umiejętności oceny, a w każdym razie nie w tradycyjnym sensie. Ale jakie to ma znaczenie? Weźmiemy tego nosacza i będziemy się modlić, żeby twoje szczęście znowu ci dopisało. — Spojrzała mu żałośnie w oczy. - Jak ty możesz żyć w taki sposób, Seth? To nieuczciwe wobec mnie.

- Ale do tej pory jakoś nam służy.

- Trzymałeś mnie przez osiem lat w tym... w tym kibucu.

- A teraz nas stąd zabieram.

- Gdzieś, gdzie może być jeszcze gorzej. Czy my w ogóle coś wiemy o tej nowej pracy? Nic, jeśli nie liczyć tego, co wie Gossim, a on wie to tylko dlatego, że zawsze wtyka nos w cudze sprawy. Przeczytał nawet twoją modlitwę... Nie powiedziałam ci o tym wcześniej, bo wiedziałam, że...

- A to drań! - Czuł, jak wzbiera w nim krwawa, szalona wściekłość, gęsto przetykana poczuciem niemożności zrobienia czegokolwiek. — Czytanie czyichś modlitw to poważne moralne przestępstwo!

- On tu rządzi i uważa, że powinien wiedzieć o wszystkim. Przynajmniej będziemy mieli go z głowy, Bogu dzięki. Uspokój się. Teraz i tak nic nie poradzisz, przecież to było tyle lat temu.

- Czy chociaż powiedział, że to dobra modlitwa?

- Fred Gossim nigdy nie powiedziałby czegoś takiego. Moim zdaniem była dobra. Nawet na pewno, skoro dostałeś to przeniesienie.

- Ja też tak uważam. Bóg nie wysłuchuje zbyt wielu modlitw Żydów, zgodnie z owym paktem jeszcze z czasów przed Orędownikiem, kiedy Niszczyciel Formy był tak potężny, a nasze układy z Bogiem cholernie pogmatwane.

- Wyobrażam sobie ciebie w tamtych czasach - powiedziała Mary. - Narzekającego żałośnie na wszystko, co zrobił i powiedział Konstruktor.

- Byłbym wielkim poetą, jak Dawid.

- Wykonywałbyś jakiś mało ważny zawód, jak teraz. Powiedziawszy to, odeszła, zostawiając go przy klapie nosacza.

Poczucie potwornej niemożności podeszło mu raptownie do gardła, pozbawiając na chwilę głosu.

- Możesz tu zostać! - udało mu się wreszcie wykrzyknąć w ślad za oddalającą się żoną. — Polecę bez ciebie!

Szła w gorących promieniach słońca, nie oglądając się ani nie odpowiadając.

Przez resztę dnia Seth Morley ładował ich dobytek do Morowego Kurczaka. Mary nie pokazała się więcej. Zbliżała się pora obiadu, gdy zorientował się, że wszystko robi zupełnie sam. Gdzie ona jest? Przecież to nie fair.

Jak zwykle w porze posiłku ogarnęła go fala depresji. Ciekaw jestem, czy to wszystko jest tego warte, pomyślał. Zamieniam jedną nędzną robotę na drugą. Jestem do niczego. Mary ma rację; wystarczy popatrzeć, w jaki sposób wybrałem nosacza. Wystarczy spojrzeć, jak upycham w nim te przekłete rupiecie. Rozejrzał się po wnętrzu maszyny, zdając sobie nagle sprawę, że otaczają go poukładane bez ładu i składu stopy ubrań, książek, płyt, sprzętów kuchennych, leków, obrazów, narzut na kanapy, szachownic, taśm, urządzeń komunikacyjnych, a także śmieci, śmieci i jeszcze raz śmieci. Czego właściwie udało nam się tutaj dorobić po ośmiu latach pracy? Niczego, co miałoby jakąkolwiek wartość. A w dodatku na pewno nie uda mu się upchnąć wszystkiego w nosaczu. Sporo rzeczy trzeba będzie wyrzucić albo dać komuś. Lepiej je zniszczyć, pomyślał ponuro. Perspektywa, że ktoś obcy miałby korzystać z jego dobytku, napawała go niewysłowioną odrazą. Spalę wszystko, do ostatniego kawałka, obiecał sobie. Łącznie z tymi żalonymi ciuchami, które Mary zbierała jak sroka, łaszcząc się na wszystko, co jaskrawe i kolorowe.

Wyrzucę jej rzeczy na zewnątrz, a potem załaduję swoje, postanowił. Sama jest sobie winna: powinna tu być, żeby mi pomóc. Nie muszę zaprzętać sobie głowy jej szmatami.

Stojąc z naręczem ubrań, przez otwarty wąż dostrzegł w zapadającym na dworze mroku zbliżającą się postać. Kto to może być? - pomyślał i wychylił się, żeby lepiej widzieć.

Nie była to Mary, tylko jakiś mężczyzna, a raczej ktoś przypominający mężczyznę. Postać ubrana w luźną szatę, o długich włosach opadających na ciemne, silne ramiona. Seth Morley poczuł, że ogarnia go strach. To Chodzący po Ziemi, pomyślał. Pojawił się, żeby mnie zatrzymać. Drżąc na całym ciele, wypuścił z rąk stertę ubrań. Od środka zaczęło go wściekle gryźć sumienie i nagle poczuł ciężar wszystkich swoich złych uczynków. Miesiące, lata... Nie widział Chodzącego po Ziemi już od tak dawna, że ciężar był nie do zniesienia. Balast odciskający na duszy piętno, które mógł usunąć tylko Orędownik.

Postać zatrzymała się przed nim.

- Pan Morley - stwierdziła.

- Tak. - Usiłował zetrzeć wierzchem dłoni ściekające mu po twarzy strużki potu. - Jestem zmęczony - powiedział. - Harowałem wiele godzin, żeby załadować tego nosacza. To ciężka praca.

- Pański nosacz, Morowy Kurczak, nie przeniesie pana i pańskiej małej rodziny na Delmak-O - poinformował go Chodzący po Ziemi. - Dlatego muszę się wtrącić, drogi przyjacielu. Rozumie mnie pan?

- Jasne - powiedział, uginając się pod brzemieniem winy.

- Proszę wybrać inny.

- Oczywiście - zgodził się, kiwając z zapalem głową. - Naturalnie, że to zrobię. Bardzo panu dziękuję. Wygląda na to, że ocalił nam pan życie.

Wpatrywał się w ciemną twarz Chodzącego po Ziemi, usiłując dostrzec, czy maluje się na niej wyraz potępienia, ale nie mógł nic zobaczyć. Promienie gasnącego słońca ustępowały przed coraz bardziej gęstniejącym mrokiem.

- Przykro mi, że tak długo pracował pan na próżno - rzekł Chodzący po Ziemi.

- Cóż, jak już mówiłem...

- Pomogę panu przeładować bagaże - oświadczył Chodzący. Schylił się, podniósł stertę pudeł i ruszył wzdłuż szeregu milczących, nieruchomych pojazdów. - Polecam ten - powiedział, zatrzymując się przy jednym z nich. Otworzył klapę. - Może nie wygląda najlepiej, ale wszystkie mechanizmy ma w doskonałym porządku.

- Ale... - zaczął Morley, zjawiając się obok niego z naręczem zebranych w pośpiechu przedmiotów. -

To znaczy pięknie dziękuję. Wygląd nie jest najważniejszy; liczy się to, co w środku. Z ludźmi jest tak samo jak z nosaczami. - Spróbował się roześmiać, ale z jego gardła wydobył się tylko suchy skrzek. Umilkł natychmiast, a ściekający mu po karku grubymi kroplami pot ściał się w lodowatą skorupę strachu.

- Niepotrzebnie się pan mnie boi - powiedział Chodzący po Ziemi.

- Mój intelekt wie o tym - odparł Morley.

Pracowali razem w milczeniu, przenosząc pakunki z Morowego Kurczaka do lepszego nosacza. Morley cały czas usiłował wymyślić coś, co mógłby powiedzieć, ale bez rezultatu. Jego porażony strachem umysł pracował na zwolnionych obrotach, a iskry działającego błyskawicznie intelektu, w którym pokładał tak wiele nadziei, niemal zupełnie wygasły.

- Czy myślał pan kiedyś nad zasięgnięciem porady psychiatry? - zapytał wreszcie Chodzący po Ziemi.

- Nie - przyznał Morley.

- Odpocznijmy chwilę. Dzięki temu będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Nie - powtórzył Morley.

- Dlaczego?

- Nie chcę niczego wiedzieć. Nie chcę niczego słyszeć. - Zdawał sobie sprawę, że jego wysoki, bekliwy głos świadczy o słabości, głupocie, niewiedzy i największym natężeniu szaleństwa, jakie był zdolny wytrzymać. Zdawał sobie z tego sprawę, a mimo to brnął dalej. - Wiem, że jestem niedoskonały - powiedział. - Ale nie mogę tego zmienić. Jestem zadowolony.

- Nie sprawdził pan Morowego Kurczaka.

- Tym razem Mary miała rację: zwykle szczęście mnie nie zawodzi.

- Ona także mogła zginąć.

- Niech jej pan to powie.

Ale nie mów tego mnie, pomyślał. Błagam, nie mów mi nic więcej. Nie chcę wiedzieć!

Chodzący przez dłuższą chwilę przypatrywał mu się w milczeniu.

- Czy chce mi pan coś powiedzieć? - zapytał wreszcie.

- Jestem wdzięczny, cholernie wdzięczny za to, że pan się pojawił.

- Przez ostatnie lata wiele razy zastanawiał się pan nad tym, co mi pan powie, kiedy znowu mnie pan

spotka. Miał pan dużo różnych pomysłów.

- Ja... zapomniałem - wyszeptał.

- Czy mogę pana pobłogosławić?

- Oczywiście - odparł Morley głosem niewiele bardziej donośnym od szeptu. - Ale dlaczego? Co takiego zrobiłem?

- Jestem z pana dumny, to wszystko.

- Ale czemu? - Nic nie rozumiał: potępienie, którego oczekiwał, nie nastąpiło.

- Kiedyś, wiele lat temu, miał pan kota, którego bardzo pan kochał - powiedział Chodzący po Ziemi. - Był żarłoczny i fałszywy, a mimo to pan go kochał. Pewnego dnia zdechł, bo pożarł znalezionego na śmietniku martwego marsjańskiego gryzaka, którego kości przebiły mu żołądek. Był pan bardzo smutny, ale nadal go pan kochał. Esencja jego istnienia, czyli apetyt, doprowadziła go do zguby. Oddałby pan wiele za to, żeby go przywrócić do życia, ale musiałby być taki sam jak przedtem, zachłanny i obraźliwy, taki, jakim go pan kochał. Rozumie mnie pan?

- Modliłem się wtedy, ale nie otrzymałem pomocy - rzekł Morley. - Konstruktor mógłby cofnąć czas i dać mi go żywego.

- Chce go pan teraz?

- Tak - odparł Morley chrapliwym głosem.

- Zgłosi się pan do psychiatry?

- Nie.

- Błogosławię pana - powiedział Chodzący po Ziemi, czyniąc prawą ręką niewielki, uświęcający gest.

Seth Morley schylił głowę, przycisnął dłoń do oczu... i poczuł, że w zmarszczkach na twarzy zgromadziły mu się łzy. Nawet teraz, pomyślał. Wstrętny stary kocur. Powinienem być już dawno o nim zapomnieć. Choć z drugiej strony takich rzeczy chyba nigdy się nie zapomina.

Wszystko zostaje w głowie, zagrzebane głęboko aż do chwili, kiedy stanie się coś takiego jak teraz.

- Dziękuję - powiedział, kiedy błogosławieństwo dobiegło końca.

- Ujrzy go pan ponownie - oznajmił Chodzący — gdy zasiądzie pan z nami w raj.

- Jest pan tego pewien?

- Tak.

- Dokładnie takiego, jaki był?

- Tak.

- Będzie mnie pamiętał?

- Pamięta pana cały czas. Czeka. Nigdy nie przestanie czekać.

- Dziękuję - powtórzył Morley. - Czuję się dużo lepiej. Chodzący po Ziemi zniknął.

Seth Morley wszedł do jedynej kafeterii kibucu i rozejrzał się w poszukiwaniu żony. Dostrzegł ją pochyloną nad jagnięciem z curry przy stoliku ukrytym w cieniu pod przeciwległą ścianą. Ledwo raczyła skinąć głową, kiedy usiadł naprzeciw niej.

- Nie jadłeś obiadu — odezwała się po jakimś czasie. — To do ciebie niepodobne.

- Widziałem go - powiedział Morley. Spojrzała na niego uważnie.

- Kogo?

- Chodzącego po Ziemi. Przyszedł mi powiedzieć, że nosacz, którego wybrałem, jest do niczego i że zginęlibyśmy w nim. Nie udałoby nam się dolecieć.

- Wiedziałaś - mruknęła Mary. - Wiedziałaś, że to... że tym czymś nigdy byśmy tam nie dolecieli.

- Mój kot żyje.

- Przecież ty nie masz kota.

Seth chwycił ją za ramię, uniemożliwiając podniesienie widelca do ust.

- Powiedział, że wszystko będzie w porządku. Dolecimy na Delmak-O, a ja zacznę tam nową pracę.

- Zapytałeś go, co to za praca?

- Nie pomyślałem o tym.

- Ty głupcze. - Wyrwała mu rękę i zaczęła znowu jeść. - Powiedz mi, jak on wyglądał?

- Nigdy nie widziałaś Chodzącego?

- Dobrze wiesz, że nie widziałam!

- Pięknie i łagodnie. Wyciągnął rękę i udzielił mi błogosławieństwa.

- Czyli objawił ci się jako mężczyzna. Interesujące. Gdyby przybrał postać kobiety, nie przyszłoby ci na myśl, aby go wysłuchać...

- Żal mi cię - powiedział Morley. - On nie interweniował, żeby cię ocalić. Może nie uważa, abyś była godna ocalenia.

Mary rzuciła z wściekłością widelec i wpatrzyła się w niego ze zwierzęcą nienawiścią. Przez dłuższą chwilę żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

- Lecę sam — oświadczył wreszcie Seth Morley.

- Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz? Nic z tego, lecę z tobą. Muszę cię mieć cały czas na oku. Beze mnie...

- W porządku - powiedział zjadliwie. - Możesz lecieć. Co mnie to właściwie obchodzi? Gdybyś tu została, natychmiast zabrałabyś się do Gossima i zrujnowałabyś mu życie... - Przerwał, usiłując złapać oddech.

Mary w milczeniu zabrała się ponownie do jagnięcia.

Rozdział trzeci

Zbiera się grupka przyjaciół i Sue Smart odzyskuje swoje zdolności.

- Jest pan tysiąc mil nad powierzchnią Delmak-O -oznajmił głos w słuchawkach Bena Tallchiefa. - Proszę włączyć automatycznego pilota.

- Potrafię sam wylądować - powiedział Ben do mikrofonu. Spoglądał na rozciągającą się w dole planetę, zastanawiając się nad jej barwami. To chmury, doszedł wreszcie do wniosku. Naturalna atmosfera. Cóż, to odpowiedź na jedno z moich wielu pytań. Poczul się odprężony i pewny siebie, dopóki nie przypomniał sobie innego pytania: czy to boska planeta? Natychmiast otrząsnął się z nastroju samozadowolenia.

Wylądował bez trudności, po czym przeciągnął się, ziewnął, czknął, rozpiął pas, wstał, pokuśtykał do klapy, otworzył ją, a następnie wrócił do kokpitu, żeby wyłączyć wciąż działający silnik raketowy. Przy okazji zamknął także zawory instalacji tlenowej. To by było wszystko. Zszedł po stopniach metalowej drabinki i zeskoczył niezgrabnie na powierzchnię planety.

W pobliżu lądowiska dostrzegł szereg budynków o płaskich dachach. Kilka osób zdążyło w jego stronę, bez wątpienia po to, żeby go przywitać. Pomachał im, rozkoszując się dotykiem sztucznej skóry rękawic, a także rozdęciem swego somatycznego „ja”, osiągniętym dzięki bulwiastym kształtom skafandra.

- Cześć! - rozległ się kobiecy głos.

- Cześć - odpowiedział Ben Tallchief, przyglądając się dziewczynie. Miała na sobie ciemną bluzę i takie same spodnie, standardowy strój bardzo dobrze pasujący do jej zwyczajnej, okrągłej, piegowatej twarzy. - Czy to boska planeta? - zapytał, ruszając niespiesznie w jej stronę.

- Nie, ale dzieją się tu różne dziwne rzeczy - odparła dziewczyna. Wskazała nieokreślonym ruchem w kierunku horyzontu, po czym uśmiechnęła się przyjaźnie i wyciągnęła rękę. - Jestem Betty Jo Berm, lingwistka. Pan nazywa się albo Tallchief, albo Morley, bo wszyscy inni już tu są.

- Tallchief - powiedział.

- Przedstawię pana pozostałym. Ten starszy dżentelmen to Bert Kosler, nasz historyk.

- Miło mi pana poznać, panie Kosler. - Uścisk dłoni.

- Mnie także miło pana poznać - odparł stary człowiek.

- To jest Maggie Walsh, nasz teolog.

- Miło mi panią poznać, panno Walsh. - Uścisk dłoni. Ładna dziewczyna.

- Mnie również miło pana poznać, panie Tallchief.

- Ignatz Thugg, termoplastyk.

- Czołem. - Przesadnie męski uścisk dłoni. Ben nie polubił Thugga.

- Doktor Milton Babble, lekarz kolonii.

- Miło mi, doktorze Babble. - Uścisk dłoni. Babble, niski i barczysty, miał na sobie kolorową koszulę z krótkim rękawem. Na jego twarzy widniał trudny do rozgryzienia, sardoniczny grymas.

- Tony Dunkelwelt, nasz fotograf i ekspert w dziedzinie badania próbek gleby.

- Miło mi pana poznać. - Uścisk dłoni.

- A ten dżentelmen to Wade Frazer, nasz psycholog. — Długi, nieszczerzy uścisk dłoni; Frazer miał wilgotne, brudne palce.

- Glen Belsnor, elektronik i człowiek od komputerów.

- Miło mi pana poznać. - Uścisk dłoni. Sucha, twarda, kompetentna dłoń.

Podeszła wysoka, starsza kobieta, podpierająca się laską. Miała szlachetną twarz, bladą, ale bardzo delikatną.

- Pani Tallchief- powiedziała, wyciągając do Bena szczupłą rękę. - Jestem Roberta Rockingham, socjolog.

Cieszę się, że pan do nas dotarł. Wszyscy wiele o panu myśleliśmy.

- Pani jest Roberta Rockingham? - zapytał Ben. Nie posiadał się z zadowolenia, że ją spotkał. Nie wiadomo dlaczego przypuszczał, że stara dama umarła już wiele lat temu, więc teraz, kiedy stanął z nią twarzą w twarz, poczuł się odrobinę zakłopotany.

- A to nasza sekretarka-maszynistka, Susie Dumb -powiedziała Betty Jo Berm.

- Miło mi panią poznać, panno... - Zawiesił głos.

- Smart - dokończyła za niego dziewczyna. Miała pełne piersi i wspaniałe ciało. - Wydaje im się, że to zabawne mówić na mnie Susie Dumb[1]. - Podała mu rękę, którą natychmiast uścisnęła.

- Chce się pan trochę rozejrzeć? - zapytała Betty Jo Berm.

- Chciałbym wiedzieć, w jakim celu powstała ta kolonia. Nic mi nie powiedzieli.

- Nam też, panie Tallchief - odezwała się legenda socjologii i zachichotała cicho. - Pytaliśmy o to po kolei każdego, kto przylatywał, ale nikt nic nie wiedział. Jeżeli pan Morley, który zjawi się jako

ostatni, też nie będzie wiedział, to co nam zostanie?

- Nie ma problemu - odezwał się specjalista od elektroniki. - Zostawili na orbicie satelitę. Okrąża planetę pięć razy na dobę i w nocy można zobaczyć, jak przelatuje nad nami. Otrzymaliśmy instrukcje, żeby po przybyciu ostatniej osoby, to znaczy Morleya, uruchomić za pomocą sygnału radiowego magnetofon zainstalowany na pokładzie satelity. Na taśmie są nagrane dalsze polecenia i wyjaśnienie, dlaczego tu się znaleźliśmy, i całej reszty tych bzdur. W ogóle wszystko, z wyjątkiem pomysłu na to, jak jeszcze bardziej obniżyć temperaturę w chłodni, żeby piwo po wyjęciu nie grzało się tak szybko. Zresztą kto wie, może to też tam będzie?

Rozgorzała dyskusja. Ben zorientował się po chwili, że zaczyna brać w niej udział, nie rozumiejąc, czego właściwie dotyczy.

- Na Betelgeuzie 4 mieliśmy ogórki, ale wcale nie hodowaliśmy ich w promieniach księżyca, jak słyszeliście.

- Nigdy go nie widziałam.

- Ale on istnieje. Pewnego dnia go zobaczysz.

- Jest wśród nas lingwista, więc na pewno żyją tu jakieś rozumne istoty, ale na razie nasze wyprawy były nieformalne, nie naukowe. To się zmieni, jak tylko...

- Nic się nie zmienia, pomimo teorii Specktowsky'ego, że Bóg ingerował w historię i ponownie wprowadził czas w ruch.

- Jeżeli chcesz o tym rozmawiać, zwróć się do panny Walsh. Mnie nie interesują problemy teologiczne.

- Opowiadaj te bajki komu innemu. Panie Tallchief, czy pan jest pół-Indianinem?

- Szczerze mówiąc, zaledwie w jednej ósmej. Chodzi pani o nazwisko?

- Te budynki do niczego się nie nadają. Lada moment rozpadną się na kawałki. Nie można ich ogrzać, kiedy jest zimno, ani ochłodzić, kiedy jest gorąco. Wiecie, co myślę? Że to wszystko zostało zaprojektowane tak, żeby stało tylko przez bardzo krótki czas. Bez względu na to, po co nas ściągnięto, nie zostaniemy tu długo, a gdybyśmy mieli zostać, będziemy musieli wybudować wszystko od początku, łącznie z instalacjami.

- Jakiś owad strasznie głośno skrzeczy w nocy. Przez pierwsze dni na pewno nie będzie pan mógł zasnąć. Mówiąc „dzień”, mam oczywiście na myśli dwudziestoczworogodzinny okres, a nie tę jego część, kiedy świeci słońce, bo wtedy nic nie skrzeczy, tylko w nocy. Każdej nocy. Sam pan się przekona.

- Posłuchaj, Tallchief, nie mów na Susie „głupia”. Może być taka lub owaka, ale na pewno nie jest

głupia.

- Jest też bardzo ładna.
- Widziałaś jej...
- Widziałem, ale nie wydaje mi się, że powinniśmy teraz o tym mówić.
- Czym pan się zajmuje, panie Tallchief? Proszę?
- Musi pan głośno mówić, bo ona jest trochę przygłucha.
- Powiedziałem, że...
- Teraz ją pan przestraszył. Proszę nie stać tak blisko.
- Czy mogę dostać filiżankę kawy?
- Niech pan poprosi Maggie Walsh. Na pewno panu zrobi.
- Nigdy nie mogę wyłączyć tego cholernego ekspresu B, kiedy woda się zagotuje.
- Nie rozumiem, jak to możliwe. Przecież te ekspresy B udoskonalono jeszcze w dwudziestym wieku. Czyżby mimo wszystko zostało jeszcze coś, z czym nie możemy sobie dać rady?
- To tak samo jak z teorią barw Newtona. Wszystko, co można było wiedzieć o kolorach, wiadano już na początku dziewiętnastego wieku, a potem pojawił się Land ze swoim podwójnym źródłem światła i teorią nasycenia, i to, co wydawało się zamkniętą dziedziną wiedzy, rozpadło się na kawałki.
- Chce pan przez to powiedzieć, że mogą istnieć sprawy związane z działaniem samoregulujących się ekspresów do kawy, o których nie mamy najmniejszego pojęcia? I że tylko nam się wydaje, że wszystko wiemy?
- Coś w tym rodzaju.

I tak dalej. Słuchał niezbyt uważnie, odpowiadał, kiedy go o coś zapytano, a wreszcie, czując się dziwnie zmęczony, odszedł w kierunku kępy drzew o skórzastych, zielonych liściach. Ludzie, których spotkał, sprawiali wrażenie niemal pewnych kandydatów na pacjentów psychiatry.

W powietrzu czuć było trudno uchwytny, nieprzyjemny zapach, jakby gdzieś w okolicy gniła jakaś duża roślina. Za kilka dni przyzwyczaję się do tego, pomyślał.

W tych ludziach jest coś dziwnego, ale co? Wydają się tacy... Przez chwilę szukał właściwego określenia. Nadkomunikatywni. Tak, to jest to. Jakieś cudowne dzieci, gotowe gadać jedno przez drugie. Mam wrażenie, że po prostu są bardzo nerwowi. Tak jak ja, znaleźli się tutaj, nie wiedząc dlaczego, ale... To chyba wszystkiego nie wyjaśnia. Po pewnym czasie zrezygnował z dalszych

rozważań na ten temat i skoncentrował uwagę na świecie zewnętrznym: na okazałych, zielonolistnych drzewach, lekko zamglonym niebie i niewielkich, przypominających pokrzywy roślinach porastających całą okolicę.

Ponure miejsce, pomyślał, czując, jak nagłą falą ogarnia go rozczarowanie. Niewiele lepiej niż na statku; magia nowości zniknęła już bez śladu. Ale Betty Jo Berm mówiła o jakichś niezwykłych formach życia występujących poza obszarem kolonii, więc może jednak nie powinien wyciągać zbyt daleko idących wniosków na podstawie obserwacji tak małego skrawka terenu. Będzie musiał pójść dalej, możliwie daleko od zabudowań. Nagle sobie uświadomił, że z pewnością oni wszyscy właśnie to robią. Bo tak z ręką na sercu, co mieli tutaj do roboty? Przynajmniej do chwili, kiedy otrzymają dalsze instrukcje z satelity.

Mam nadzieję, że Morley wkrótce tutaj przybędzie, żebyśmy mogli wreszcie zacząć.

Na jego prawy but wpelzł pokaźnych rozmiarów żuk, znieruchomiał na chwilę, po czym wysunął miniaturową kamerę telewizyjną. Obiektyw kamery celował prosto w twarz Bena.

- Cześć - powiedział do żuka.

Żuk schował kamerę i odszedł, najwidoczniej usatysfakcjonowany. Ciekawe, kto lub co tutaj czegoś szuka, pomyślał Tallchief. Uniósł stopę, walcząc przez chwilę z pokusą zgniecenia owada, ale w końcu postanowił tego nie robić, tylko zawrócił, podszedł do Betty Jo Berm i zapytał:

- Czy żuki z kamerami były już tutaj, kiedy przylecieliście?

- Zaczęły się pojawiać zaraz po wzniesieniu budynków. Przypuszczamy, że są zupełnie nieszkodliwe.

- Ale nie jesteście pewni.

- I tak nic nie moglibyśmy z nimi zrobić. Początkowo zabijaliśmy je, ale ten, kto je robi, po prostu przysłał ich więcej.

- Powinniście wyśledzić, skąd się biorą, i zobaczyć, kto za tym stoi.

- Nie „wy”, panie Tallchief, tylko „my”. Jest pan zamieszany w tę historię zupełnie tak samo jak każdy z nas. I wie pan równie dużo, czy raczej równie mało, jak wszyscy. Po odebraniu instrukcji przekonamy się, czy ci, którzy nas tu sprowadzili, życzą sobie, żebyśmy zajęli się badaniem miejscowych form życia. Zobaczymy. A na razie co pan powie na filiżankę kawy?

- Jak długo tu jesteście? - zapytał Ben, kiedy usiedli w plastikowym mikrobarze i popijali kawę z szarych, plastikowych kubków.

- Pierwszy przyleciał Wade Frazer, nasz psycholog. To było około dwóch miesięcy temu. Cała reszta dobijała po trochu. Mam nadzieję, że Morley wkrótce przyleci. Umieramy z niecierpliwości, żeby się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi.

- Jest pani pewna, że Wade Frazer tego nie wie?

- Proszę? - Betty Jo Berm zamrugła raptownie.

- Był tutaj pierwszy i czekał na pozostałych, to znaczy na nas. Może przeprowadza jakiś eksperyment psychologiczny, nic nikomu o tym nie mówiąc.

- Nie tego się boimy - odparła Betty Jo Berm. - Największa obawa jest związana z tym, że nasza obecność tutaj może nie mieć żadnego sensu, a my nie będziemy w stanie się stąd wydostać. Każdy z nas przyleciał nosaczem, a nosacz owszem, może wylądować, ale już nie wystartuje. Bez pomocy z zewnątrz nigdy nie damy rady stąd odlecieć. Może to po prostu jakieś więzienie... Już nad tym myśleliśmy. Może każde z nas popełniło jakieś przestępstwo, albo przynajmniej ktoś uważa, że tak było? - Spojrzała na niego uważnie szarymi, przenikliwymi oczami. - Czy pan coś zrobił, panie Tallchief?

- Cóż, wie pani, jak to jest...

- Chodzi mi o to, czy jest pan przestępcą albo kimś w tym rodzaju.

- Nic o tym nie wiem.

- Wygląda pan dość zwyczajnie.

- Dziękuję.

- Chciałam powiedzieć, że nie wygląda pan na przestępcę. - Wstała i podeszła do szafki stojącej po drugiej stronie niewielkiego pomieszczenia. - Może kropelkę seagram's VO? - zapytała.

- Chętnie - odparł, zadowolony z pomysłu.

Kiedy siedzieli, pijąc kawę z odrobiną importowanej kanadyjskiej whisky, do budynku wszedł doktor Milton Babble, spostrzegł ich i usiadł przy barze.

- To planeta drugiej kategorii - oznajmił Benowi bez żadnych wstępów. Na jego bladej, przypominającej szufłę twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. - Nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Dziękuję. - Przyjął kubek z kawą od Betty Jo; pociągnął z niego i skrzywił się jeszcze bardziej. - Co to jest? - zapytał, a potem dostrzegł butelkę seagram's VO. - Do diabła, szkoda kawy - powiedział gniewnie, odstawiając gwałtownie kubek.

- Mnie to smakuje - odezwała się Betty Jo Berm.

- Wiecie, to zabawna sprawa z tym zebraniem nas wszystkich w jednym miejscu — powiedział doktor Babble. - Nie uwierzy pan, Tallchief, ale siedzę tu już cały miesiąc, a jeszcze nie udało mi się spotkać kogoś, z kim mógłbym naprawdę porozmawiać. Każdy jest tu zajęty wyłącznie samym sobą i ma innych głęboko w nosie. Oczywiście z wyjątkiem ciebie, B. J.

- Nie gniewam się, bo to prawda - odparła Betty Jo. - Nie obchodzisz mnie ani ty, Babble, ani nikt z pozostałych. Chcę być tylko sama, i nic więcej. - Odwróciła się z powrotem do Bena. - Zawsze, gdy ktoś wylądowuje, przejawiamy wielkie zainteresowanie, jak było teraz z panem, ale potem, kiedy już

zobaczymy człowieka i przez chwilę go posłuchamy... - Zaciągnęła się i w milczeniu wydmuchnęła dym. - Proszę się nie gniewać, panie Tallchief, ale z panem będzie tak samo, jestem tego pewna. Jeszcze przez chwilę będzie pan chciał z nami rozmawiać, a potem schowa się pan w... - Zawahała się, łapiąc powietrze palcami prawej ręki, jakby usiłowała schwytać jakieś słowo mające trójwymiarową, dotykalaną postać. — Weźmy na przykład Belsnora. Nie potrafi myśleć o niczym innym, tylko o chłodni. Dręczy go obsesja, że ona przestanie działać, a z jego przerażenia można by wnioskować, że to będzie oznaczało koniec nas wszystkich. Uważa, że chłodnia chroni nas przed... - Machnęła papierosem. - Wygotowaniem.

- Ale jest całkowicie nieszkodliwy — uzupełnił doktor Babble.

- Och, my wszyscy jesteśmy całkowicie nieszkodliwi.

Wie pan, co ja robię, panie Tallchief? Łykam pastylki. Pokażę panu. - Otworzyła torebkę i wyjęła z niej fiolkę z tabletkami. — Proszę im się przyjrzeć — powiedziała, podając ją Benowi. - Te niebieskie to stelazyna, której używam jako środka przeciwwymiotnego. Rozumie pan: u ż y w a m, ale jej główne działanie polega na czymś innym. Stelazyna to przede wszystkim środek uspokajający, jeżeli zażywa się ją w dawkach nie przekraczających dwudziestu miligramów dziennie. W większych zaczyna działać antyhalucynogenicznie. Ale mnie nie o to chodzi. Prawdziwy problem ze stelazyną polega na tym, że rozszerza naczynia krwionośne. Czasem, kiedy połknę kilka pastylek, nie mogę wstać z łóżka. Zdaje się, że to się nazywa hipostaza.

- W związku z tym zażywa lek zwężający naczynia - mruknął Babble. - To te białe tabletki - powiedziała Betty Jo, wskazując Benowi tę część fiołki, w której zgromadziły się białe pastylki. - Metamfetanina. Natomiast te zielone to...

- Pewnego dnia te wszystkie pastylki zaczną pękać i powylęgają się z nich różne dziwaczne ptaki - przerwał jej Babble.

- Bardzo dziwna uwaga - zauważyła Betty Jo.

- Chciałem po prostu powiedzieć, że przypominają kolorowe ptasie jaja.

- Wiem o tym. Mimo wszystko to bardzo dziwna uwaga. - Odkręciwszy zakrętkę, wysypała na dłoń kilka tabletek. - Ta czerwona to oczywiście pentobarbital, na sen. Żółta to norpramina, która równoważy depresyjne działanie mellarilu. Z kolei ta kwadratowa, pomarańczowa, to zupełna nowość. Składa się z pięciu działających z różnym opóźnieniem warstw i wpływa stymulująco na centralny układ nerwowy. Ta obok...

- Ona bierze jednocześnie środki działające pobudzająco i depresyjnie na centralny układ nerwowy - wyjaśnił Babble.

- Czy nie niwelują nawzajem swojego działania? - zapytał Ben.

- Można tak powiedzieć - odparł lekarz.

- Ale naprawdę wcale tak nie jest - oświadczyła Betty Jo. - Subiektywnie odczuwam sporą różnicę.

Wiem, że mi pomagają.

- Czyta o nich wszystko, co może znaleźć - ciągnął Babble. - Przywiozła ze sobą Podręczny spis leków, gdzie jest dokładnie opisane działanie, przeciwwskazania, dawkowanie, działanie uboczne i tak dalej. Wie o nich tyle co ja, a właściwie nawet tyle co producenci. Jeżeli pokaże jej pan jakąś pastylkę, jakkolwiek, powie panu, co to jest, jak działa, co... - Czknął, poprawił się na krześle, a następnie roześmiał się i powiedział: - Pamiętam jedną, która po przedawkowaniu wywoływała drgawki, śpiączkę, a wreszcie śmierć. W podręczniku zaraz po tym, jak opisali to wszystko, dodali jeszcze jedno zdanie: „Może powodować uzależnienie”. Zawsze, jak to sobie przypomnę, od razu wszystko mi opada. - Ponownie parsknął śmiechem, po czym podrapał się po nosie owłosionym, ciemnym palcem. - To bardzo dziwny świat - mruknął. - Bardzo dziwny.

Ben dolał sobie nieco whisky. Alkohol zaczął go wypełniać znajomym ciepłem. Przestał zwracać uwagę na Betty Jo i doktora Babble'a i zamknął się w odosobnieniu swego umysłu. Było to bardzo miłe uczucie.

Tony Dunkelwelt, fotograf i specjalista w dziedzinie badania próbek gleby, wsadził głowę przez drzwi.

- Ląduje jeszcze jeden nosacz! - zawołał. - To na pewno Morley.

Pobiegł dalej, trzasnąwszy drzwiami.

- Lepiej tam chodźmy — powiedziała Betty Jo, wstając z krzesła. - Wygląda na to, że wreszcie jesteśmy w komplecie. - Doktor Babble także się podniósł. - Chodź, Babble. I pan, panie W Jednej Ósmej Indianinie Tallchief.

Ben wypił do końca kawę z whisky i wstał, odczuwając lekki zawrót głowy. W chwilę potem ruszył za nimi w czekającą za drzwiami jasność.

Rozdział czwarty

Mary Morley odkrywa, że jest w ciąży, co pociąga za sobą nieprzewidziane następstwa.

Seth Morley wyłączył silniki hamujące, zadrzał na całym ciele, po czym rozpiął pas przytrzymujący go w fotelu i pokazał Mary, żeby zrobiła to samo.

- Wiem, co mam robić - powiedziała. — Nie musisz mnie traktować jak dziecko.

- Jesteś na mnie wściekła, choć doprowadziłem nosacza prosto do celu, bez najmniejszego błędu.

- Z włączonym autopilotem i sygnałem kierunkowym - odparła z przekąsem. - Ale masz rację, powinnam być ci wdzięczna.

Ton jej głosu nie wskazywał na to, że jest wdzięczna, lecz jego to nie obchodziło. Miał teraz ważniejsze sprawy na głowie.

Otworzył ręcznie klapę i do wnętrza pojazdu wdarły się zielone promienie słońca. Osłoniwszy dłonią oczy, ujrzał ubogi krajobraz urozmaicony jedynie nędznymi drzewami i jeszcze nędźniejszymi krzewami. Po lewej stronie znajdowało się nieregularne skupisko skromnych budynków: kolonia.

Do nosacza zbliżała się dość liczna grupa ludzi. Ktoś z nich pomachał ręką, więc Seth zrobił to samo.

- Cześć - powiedział, po czym zszedł po metalowych szczeblach drabinki i zeskoczył na ziemię. Odwrócił się, żeby pomóc żonie, ale odtrąciła jego rękę i zeszła sama.

- Witajcie! - zawołała zwyczajna, opalona dziewczyna, podchodząc do nich. - Cieszymy się, że wreszcie przylecieliście. Jesteście ostatni!

- Nazywam się Seth Morley - powiedział. - A to Mary, moja żona.

Dziewczyna skinęła głową.

- Wiemy. Bardzo nam miło. Przedstawię was wszystkim. - Wskazała na stojącego nieopodal, umięśnionego młodzieńca. - Ignatz Thugg.

- Miło mi pana poznać. - Morley uścisnął mu rękę. - Jestem Seth Morley, a to moja żona Mary.

- Ja jestem Betty Jo Berm - przedstawiła się zwyczajna, opalona dziewczyna. - A ten dżentelmen... - skierowała jego uwagę na zaawansowanego wiekiem mężczyznę o zgarbionej sylwetce - to Bert Kosler, nasz historyk.

- Miło mi pana poznać, panie Kosler. - Energiczny uścisk dłoni.

- Mnie również, panie Morley. I pani Morley. Mam nadzieję, że spodoba wam się tutaj.

- Nasz fotograf i specjalista w dziedzinie analizy próbek gleby, Tony Dunkelwelt. - Panna Berm wskazała chłopaka o pociągłej twarzy, który spojrzał na nich ponuro i nie wyciągnął ręki.

- Cześć - powiedział Seth Morley.

- Cze... - burknął chłopak, przenosząc wzrok na swoje stopy.

- Maggie Walsh, nasza specjalistka od teologii.

- Miło mi panią poznać, panno Walsh. - Energiczny uścisk dłoni. Jaka ładna kobieta, pomyślał Morley. Następna także była bardzo atrakcyjna, ubrana w sweter ciasno opięty na skąnym biustonoszu. - A czym pani się zajmuje? - zapytał ją, kiedy podali sobie ręce.

- Pracą biurową i maszynopisaniem. Na imię mam Suzanne.

- A nazwisko?

- Smart.

- Bardzo ładne nazwisko.

- Ja tak nie uważam. Wszyscy nazywają mnie Susie Dumb, co wcale nie jest takie zabawne.

- Uważam, że to w ogóle nie jest zabawne - odparł Seth Morley.

Mary dała mu bolesnego kuksańca w żebra i Seth, jako dobrze wyszkolony mąż, natychmiast zakończył rozmowę z panną Smart, kierując uwagę na kościstego osobnika o szurzych oczach, który wyciągnął do niego trójkątną dłoń wyglądającą tak, jakby miała ostre, wypolerowane krawędzie. Nie była to dłoń, jaką Morley miałby ochotę uścisnąć, ani osoba, którą chciałby poznać.

- Wade Frazer — przedstawił się szczerooki osobnik. - Jestem tu psychologiem. Przy okazji: zaraz po przylocie poddawałem każdego wstępnemu testowi. Was też chciałby zobaczyć u siebie, najlepiej jeszcze dzisiaj.

- Jasne - powiedział bez przekonania Seth Morley.

- A ten dżentelmen jest naszym lekarzem - oznajmiła panna Berm. - Milton G. Babble z Alfą 5. Proszę się przywitać z doktorem Babble'em, panie Morley.

- Miło mi pana poznać, doktorze. - Uścisk dłoni.

- Ma pan lekką nadwagę, panie Morley - poinformował go doktor Babble.

- Hmm... - odparł Morley.

Od grupy odłączyła się starsza, bardzo wysoka, trzymająca się niezwykle prosto kobieta i podeszła do niego, podpierając się laską.

- Panie Morley - powiedziała, wyciągając do niego szczupłą, wiotką dłoń. - Jestem Roberta Rockingham, socjolog. Bardzo się cieszę, że mogę pana poznać, i mam nadzieję, że miał pan przyjemną, pozbawioną kłopotów podróż.

- Jakoś nam się udało - odparł Seth, dotykając delikatnie jej dłoni. Wygląda, jakby miała co najmniej sto dziesięć lat, pomyślał. Jakim cudem w ogóle jeszcze żyje? I jak się tu dostała? Jakoś nie mógł jej sobie wyobrazić pilotującej nosacza w przestrzeni kosmicznej.

- W jakim celu założono tę kolonię? - zapytała Mary.

- Dowiemy się tego za kilka godzin - poinformowała ją panna Berm. - Gdy tylko Glen... Glen Belsnor, nasz specjalista od elektroniki i komputerów... połączy się z satelitą krążącym dokoła tej planety.

- Czy to znaczy, że nic nie wiecie? - zdumiał się Seth Morley. - Nic wam nie wyjaśnili?

- Nie, panie Morley - odezwała się starczym, głębokim głosem pani Rockingham. - Ale wkrótce wszystkiego się dowiemy, a czekaliśmy na to bardzo długo. Jak to miło, że wreszcie wszyscy tu są, nie uważa pan, panie Morley? Czy to nie cudowne, że nareszcie się dowiemy, w jakim celu nas tu sprowadzono?

- Tak.

- A więc zgadza się pan ze mną, panie Morley. Och, jak to wspaniale, kiedy wszyscy się ze sobą zgadzamy. - Umilkła na chwilę, po czym dodała konfidencjonalnym tonem: - Obawiam się, że właśnie na tym polega nasz główny problem, panie Morley. Nie mamy wspólnego celu. Kontakty międzyludzkie odbywały się na bardzo niskim poziomie, ale teraz, ma się rozumieć, wszystko nabierze rozmachu, skoro... - Zakasłała w maleńką chusteczkę. - W każdym razie bardzo się cieszę - dokończyła wreszcie.

- Nie zgadzam się - zaprotestował Frazer. - Wyniki moich wstępnych testów świadczą o tym, że w przeważającej większości przypadków mamy do czynienia z ludźmi zorientowanymi wyłącznie na własne ego, wykazującymi tendencję do unikania za wszelką cenę jakiegokolwiek odpowiedzialności. Doprawdy, nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego wybrano niektórych z nich.

- Słyszę, że nie mówisz „my”, tylko „oni” - zauważył ponury typ w roboczym ubraniu.

- My, oni... — Psycholog zamachał raptownie rękami. - Łatwo ulegacie obsesjom. To jeszcze jedna, rzadko spotykana w tak wielkim nasileniu cecha tej grupy: nadzwyczajna skłonność do ulegania obsesjom.

- Nie wydaje mi się - odparł ponury typ spokojnym, ale pewnym głosem. - Myślę, że to ty jesteś wariat. Od tych wszystkich testów pomieszało ci się w głowie.

Zaczęli mówić wszyscy naraz. Zapanowała anarchia.

- Kto kieruje kolonią? - zapytał Seth Morley, podchodząc do panny Berm. - Pani? - Musiał dwukrotnie powtórzyć pytanie, zanim go usłyszała.

- Na razie jeszcze nikt nie został wyznaczony - odpowiedziała, przekrzykując harmider. - To jeden z naszych największych problemów. Właśnie nad tym chcemy...

Jej głos zniknął w ogólnym rwetesie.

- Na Betelgeuzie 4 mieliśmy ogórki, ale nie hodowaliśmy ich w promieniach księżyca, wbrew temu, co słyszeliście. Przede wszystkim Betelgeuza 4 nie ma księżyca, więc to powinno wszystko wyjaśnić...

- Nigdy go nie widziałam i mam nadzieję, że nie zobaczę.

- Na pewno kiedyś go spotkasz.

- Fakt, że jest wśród nas lingwista, wskazuje na to, że gdzieś w okolicy żyją jakieś rozumne istoty, ale na razie nie wiemy nic na ten temat, bo nasze wyprawy były raczej nieformalne, coś jakby pikniki, a nie ekspedycje naukowe. To się oczywiście zmieni, gdy tylko...

- Nic się nie zmienia, wbrew teorii Specktowsky'ego, że Bóg ingerował w historię i puścił czas na nowo w ruch.

- Źle to zrozumiałeś. Wielkie zmagania przed nadejściem Orędownika działały się w bardzo długim czasie. Dopiero potem wszystko stało się tak szybko, dzięki czemu teraz, w Okresie Specktowsky'go, stosunkowo łatwo można nawiązać kontakt z którąś z Manifestacji. Właśnie na tym polega różnica między naszym czasem a pierwszymi dwoma tysiącami lat po pierwszym pojawieniu się Orędownika.

- Jeżeli chcesz o tym rozmawiać, zwróć się do Maggie Walsh. Nie interesują mnie teologiczne problemy...

- Dobrze sobie. Panie Morley, czy miał pan kiedyś kontakt z którąś z Manifestacji?

- Tak, właściwie tak. Nie dalej jak wczoraj... zdaje się, że w kibucu Tekel Upharsin to była środa... pojawił się Chodzący po Ziemi i powiedział mi, że dano nam zepsutego nosacza, w wyniku czego moja żona i ja zginęlibyśmy podczas podróży.

- A więc ocalił was. No, to musi być przyjemne wiedzieć, że zdecydował się interweniować w tej sprawie. Tak, to na pewno wspaniałe uczucie...

- Te budynki do niczego się nie nadają. Lada chwila rozpadną się na kawałki. Nie można ich ogrzać, kiedy jest zimno, ani ochłodzić, kiedy jest gorąco. Wie pan, co myślę? Otóż myślę, że ta kolonia została zaprojektowana tak, żeby działać przez bardzo krótki czas. Na pewno nie zostaniemy tu długo, a gdybyśmy musieli zostać, trzeba będzie zbudować wszystko od nowa, łącznie z doprowadzeniem

elektryczności.

- Jakiś owad albo roślina skrzeczy w nocy. Przez pierwszych parę dni na pewno nie zmrużycie oka. Oczywiście, mówiąc „dzień”, mam na myśli cały dwudziestoczworogodzinny okres, a nie porę, kiedy świeci słońce, bo wtedy nic nie skrzeczy. Sami się przekonacie.

- Hej, Morley, tylko nie mów jak inni, że Susie jest głupia. Możesz być pewien, że nie jest.

- Jest bardzo ładna.

- A widziałaś jej...

- Widziałem, ale... Moja żona, sam pan rozumie. Może lepiej zmienimy temat.

- W porządku, skoro pan sobie życzy. Czym się pan zajmuje, panie Morley?

- Jestem specjalistą w dziedzinie biologii morskiej.

- Proszę? Pan coś do mnie mówił, panie Morley? Chyba nie zrozumiałam. Czy byłby pan łaskaw powtórzyć?

- Mów głośniej, ona jest trochę głucha.

- Powiedziałem, że...

- Przestraszyłeś ją. Nie stój tak blisko.

- Czy mógłbym tu gdzieś dostać filiżankę kawy albo szklanę mleka?

- Niech pan poprosi Maggie Walsh, ona panu zaparzy. Albo B. J. Berm.

- Boże, znowu nie mogę wyłączyć tego cholernego ekspresu! Gotuje kawę bez końca...

- Nie rozumiem, dlaczego nasz ekspres do kawy nie chce działać, przecież udoskonalili je jeszcze na początku dwudziestego wieku. Czyżby zostało coś, czego o nich nie wiemy?

- To tak samo jak z teorią barw Newtona. W dziewiętnastym wieku wydawało im się, że wiedzą o kolorach wszystko, co można wiedzieć...

- Tak, wciąż o tym pan mówi. Ma pan obsesję na tym punkcie.

- ...a potem pojawił się Land ze swoim podwójnym źródłem światła i teorią nasycenia, i to, co wydawało się zamkniętą dziedziną wiedzy, rozpadło się nagle na kawałki.

- Chce pan przez to powiedzieć, że nie wiemy jeszcze wszystkiego o samoregulujących się ekspresach do kawy? Że tylko nam się wydaje, że wiemy?

- Coś w tym rodzaju.

I tak dalej, i tak dalej.

Seth Morley jęknął i odszedł od rozdyskutowanej grupy, kierując się w stronę rumowiska wielkich, wygładzonych przez wodę skał. A więc kiedyś był tu jakiś zbiornik wodny, choć teraz z pewnością już nic z niego nie zostało.

Ponury, chudy typ w ubraniu roboczym podążył za nim.

- Glen Belsnor - przedstawił się, wyciągając rękę.

- Seth Morley.

- Pieprzona z nas hałastrą, Morley. Tak jest od samego początku, odkąd przyleciałem tu zaraz po Frazerze. - Belsnor splunął w pobliskie krzewy. - Wiesz, co on chciał zrobić? Ponieważ był tu pierwszy, próbował nami rządzić. Powiedział mi nawet, że z otrzymanych przez siebie instrukcji zrozumiał, jakoby to właśnie on miał objąć zwierzchnictwo nad grupą. Niewiele brakowało, a byśmy mu uwierzyli. W pewnym sensie to nawet trzymało się kupy. Przyleciał pierwszy, a potem zaczął wszystkich dręczyć tymi swoimi zasranymi testami i wymądrzać się na temat naszych „statystycznych anomalii”, jak to nazywa.

- Odpowiedzialny, doświadczony psycholog nigdy nie ujawniłby wyników swoich badań - powiedział jeszcze nie przedstawiony Sethowi mężczyzna, podchodząc do niego z wyciągniętą ręką. Miał niewiele ponad czterdzieści lat, nieco za dużą szczękę, obfite brwi i lśniące czarne włosy. - Jestem Ben Tallchief - poinformował Morleya. - Przyleciałem tuż przed panem.

Seth odniósł wrażenie, że Tallchief odrobinę chwieje się na nogach, jakby niedawno trochę wypił. Uścisnęli sobie dłonie. Podoba mi się ten facet, pomyślał Morley. Nawet jeśli rzeczywiście sobie gołnął. Otacza go zupełnie inna aura niż tamtych. Choć może wszyscy byli zupełnie w porządku, zanim się tu zjawili, i zmienili się dopiero pod wpływem czegoś, co jest tutaj?

Jeżeli tak, to my też się zmienimy. Tallchief, Mary i ja. Prędzej lub później.

Ta myśl nie sprawiła mu zadowolenia.

- Seth Morley - przedstawił się. - Biolog morski, dotychczas przydzielony do kibucu Tekel Upharsin. A pan zajmuje się...

- Jestem dyplomowanym naturalistą klasy B - powiedział Tallchief. - Na statku nie miałem wiele do roboty, a lot był zaplanowany na dziesięć lat, więc wysłałem modlitwę przez nadajnik, a jakiś przekaźnik wychwycił ją i posłał do Orędownika. Możliwe, że to był Konstruktor, ale nie wydaje mi się, bo nie nastąpiło zwinięcie czasu.

- To bardzo interesujące, że znalazł się pan tutaj dzięki modlitwie - zauważył Seth Morley. - W moim wypadku wyglądało to tak, że akurat szukałem odpowiedniego nosacza, żeby nim tu przylecieć, kiedy zjawił się Chodzący po Ziemi. Wybrałem maszynę, ale Chodzący powiedział, że akurat ta do niczego się nie nadaje i że oboje zginiemy, jeżeli nią polecimy. - Nagle poczuł, że jest głodny. - Czy moglibyśmy dostać coś do jedzenia? - zapytał Tallchiefa. - Dzisiaj nie mieliśmy jeszcze nic w ustach,

bo od dwudziestu sześciu godzin pilotowałem nosacza. Dopiero pod sam koniec udało mi się złapać sygnał kierunkowy.

- Maggie Walsh będzie zachwycona, jeśli dacie się poczęstować tym, co tutaj udaje jedzenie. Coś jakby mrożone gruszki, mrożony syntetyczny stek i kawa z cholernego samorozregulowującego się ekspresu do kawy, który był zepsuty już na samym początku. Wystarczy?

- Będzie musiało - odparł posepnie Morley.

- Urok szybko przemija - powiedział Ben Tallchief.

- Proszę?

- Urok tego miejsca. - Tallchief zatoczył ręką szeroki gest, obejmujący skały, poskręcane zielone drzewa i gromadkę niskich, przypominających chaty budynków, stanowiących jedyną infrastrukturę kolonii. — Sam pan widzi.

- Nie przesadzaj - odezwał się Belsnor. - To nie wszystko, co jest na tej planecie.

- Chce pan powiedzieć, że jest tu jakaś cywilizacja? - zapytał z zainteresowaniem Morley.

- Chcę powiedzieć, że jest tu cała masa rzeczy, których nie rozumiemy. Na przykład budynek. Mignął mi kiedyś podczas przechadzki i potem próbowałem do niego dotrzeć, ale nie mogłem go znaleźć. Szary, duży budynek, naprawdę duży, z wieżyczkami, oknami, na oko co najmniej siedmiopiętrowy. Nie tylko ja jeden go widziałem - dodał, jakby się usprawiedliwiając. - Berm też go widziała, tak samo jak Walsh. Frazer twierdzi, że też go widział, ale chyba kłamie. Po prostu nie chce, by wyglądało na to, że coś dzieje się bez niego.

- Czy budynek jest zamieszkały? - zapytał Seth.

- Nie wiem. Z miejsca, gdzie staliśmy, nie mogliśmy tego stwierdzić, a nikomu nie udało się podejść bliżej. Był bardzo... - zrobił ręką nieokreślony ruch - odpychający.

- Chciałbym go zobaczyć - powiedział Tallchief.

- Dzisiaj nikt nie może wychodzić poza zabudowania - odparł Belsnor. - Wreszcie możemy nawiązać łączność z satelitą i odebrać instrukcje. To jest teraz najważniejsze, wszystko inne się nie liczy.

Ponownie splunął w krzaki, z namysłem i bardzo celnie.

Doktor Milton Babble spojrział na zegarek i pomyślał: wpół do piątej, a ja już jestem zmęczony. Doszedł do wniosku, że to z powodu niskiego poziomu cukru we krwi. Właśnie to jest prawie zawsze przyczyną takiego późnopołudniowego zmęczenia. Powiniennem wepchnąć w siebie trochę glukozy, zanim zrobi się z tego coś poważnego, pomyślał. Mózg nie może funkcjonować, jeżeli w krwi nie ma odpowiedniej ilości cukru. Być może to początki cukrzycy; całkiem możliwe, przecież u nas to rodzinne.

- Co się stało, Babble? - zapytała Maggie Walsh, siadając obok niego w surowo urządzonej salce zebrań. - Znowu chory? - Mrugnęła do niego, co natychmiast wprawiło go we wściekłość. - Co tym razem? Czyżby cierpiał pan na gruźlicę, jak Camille?

- Hipoglikemia - odparł, wpatrując się w swoją rękę spoczywającą na oparciu fotela. - Plus nieco wzmożonego napięcia mięśniowego typu pozapiramidowego. Objawy dystonii neurovegetatywnej. Bardzo uciążliwe.

Nienawidził tego: kciuk wykonywał szybkie okrężne ruchy, język zwijał się w ustach, gardło robiło się suche jak wiór... Dobry Boże, pomyślał, czy to się nigdy nie skończy? Na szczęście herpes simplex keratitis, która nawiedziła go w ubiegłym tygodniu, ustąpiła bez śladu. Był z tego powodu bardzo szczęśliwy (dzięki Bogu).

- Pańskie ciało jest dla pana tym, czym dom dla kobiety - powiedziała Maggie Walsh. - Traktuje je pan raczej jak środowisko, nie jak...

- Środowisko somatyczne jest jednym z najbardziej realnych, w jakich żyjemy - przerwał jej z rozdrażnieniem Babble. - To nasze pierwsze środowisko, jako dzieci, a potem, w miarę jak zbliżamy się do starości i Niszczyciel Formy pozbawia nas witalności oraz dawnego kształtu, ponownie odkrywamy, że to, co się dzieje w tak zwanym świecie zewnętrznym, nie ma większego znaczenia, jeżeli zagrożona jest nasza esencja somatyczna.

- Czy właśnie dlatego został pan lekarzem?

- To coś znacznie bardziej skomplikowanego niż zwykły związek przyczynowo-skutkowy. Dokonany przeze mnie wybór...

- Hej tam, zamknijcie się, z łaski swojej! - wrzasnął Glen Belsnor, przestając grzebać w stojącym przed nim nadajniku, który bezskutecznie usiłował od kilku godzin uruchomić. - Jak chcecie gadać, to zmywajcie się stąd!

Zawtórowało mu kilka aprobujących pomruków.

- Babble... - powiedział z namysłem Ignatz Thugg, rozparty wygodnie w fotelu. - Dobrze się pan nazywa. - Wybuchnął donośnym, przypominającym szczekanie śmiechem[2].

- Ty też - poinformował Thugga[3] Tony Dunkelwelt.

- Zamknijcie się, do cholery! - ryknął Glen Belsnor z nabrzmiałą, czerwoną twarzą. - Bo jak nie, to nigdy nie wyciągniemy tych cholernych instrukcji z tego chrzanionego satelity. Jeśli zaraz nie przestaniecie gadać, to wezmę was i porozkładam na części jak tego metalowego truposza. Mam na to cholerną ochotę!

Babble wstał i wyszedł z sali.

Stał w chłodnych promieniach późnopołudniowego słońca, paląc fajkę (bardzo uważał, żeby nie doprowadzić do skurczu odźwiernika) i kontemlował sytuację, w jakiej się znaleźli. Nasze życie

zależy od takich małych ludzików jak Belsnor, pomyślał. Tutaj oni rządzą. Królestwo jednookich, w którym władzę mają ślepi. Co za życie.

Dlaczego tu przyleciałem? - zadał sobie pytanie. Przez chwilę nie przychodziła mu do głowy żadna odpowiedź, tylko gdzieś z wnętrza jego duszy dobiegało bezradne łkanie. Zaraz potem pojawiły się ruchome kształty, narzekające głośno i zawodzące jak pacjenci na oddziale psychiatrycznym. Szarpały go wściekle, ciągnąc za sobą w zupełnie inny czas, w niespokojne końcowe lata jego pobytu na Orionie 17, kiedy jeszcze był z Margo, ostatnią ze swoich sekretarek, z którą łączył go długi, nieelegancki związek, zakończony gwałtowną finałową sceną jak z jakiejś tragifarsy. Ostatecznie to ona go opuściła... Ale czy na pewno? W gruncie rzeczy ludzie opuszczają się nawzajem, kiedy dobiega końca coś tak bardzo niemiłego, a nawet wstrętnego. Miałem szczęście, że udało mi się tak łatwo wykręcić, pomyślał. Gdyby chciała, mogłaby mi narobić dużo więcej kłopotów. A tak tylko zaszkodziła dość wyraźnie jego zdrowiu, głównie przez pozbawianie go niezbędnej ilości protein.

Racja, przypomniał sobie. Pora na zażycie olejku z zarodków pszenicy, mojej witaminy E. Muszę wracać do kwatery. Przy okazji wezmę kilka tabletek glukozy, żeby zrównoważyć hipoglikemię. Zakładając, oczywiście, że po drodze nie zemdleję. A gdybym zemdlał, czy ktoś by się o mnie zatroszczył? Właśnie, ciekawe, co by wtedy zrobili. Bez względu na to, czy sobie zdają z tego sprawę, czy nie, jestem im niezbędny do życia. A oni mnie? Chyba tak, w takim sensie jak Glen Belsnor. Są mi niezbędni, bo potrafią, lub przynajmniej powinni potrafić, wykonywać różne czynności konieczne dla funkcjonowania tej głupiej, beznadziejnej osady, tej pseudorodziny, która pod żadnym względem nie przypomina prawdziwej rodziny. Dzięki tym z zewnątrz, którzy nam przeszkadzają.

Będę musiał powiedzieć Tallchiefowi i temu... jak on się nazywa? Aha, Morley. Muszę powiedzieć Tallchiefowi, Morleyowi i żonie Morleya - nawet niezła kobitka - o tych z zewnątrz, o budynku, który widziałem z tak bliska, że mogłem nawet przeczytać napis nad wejściem. Z tego, co wiem, tylko mnie się to udało.

Ruszył zwirową ścieżką w kierunku swojej kwatery. Kiedy znalazł się w pobliżu plastikowego ganku budynku mieszkalnego, zobaczył stojące tam cztery osoby: Susie Smart, Maggie Walsh, Tallchiefa i Morleya. Morley coś mówił, wypychając przed siebie beczkowaty brzuch, przypominający wielką przepuklinę pachwinową. Ciekawe, co on jada, pomyślał Babble. Pewnie ziemniaki, mięso z rusztu, wszystko polane keczupem, a do tego piwo. Z rozpoznaniem piwoszy nie ma najmniejszych kłopotów. Mają popękaną skórę na twarzy, worki pod oczami i wyglądają tak jak ten tutaj, jakby cierpieli na jakiś wewnętrzny obrzęk. Do tego dochodzą, ma się rozumieć, kłopoty z nerkami i nadmiernie czerstwa cera.

Taki pobłażający sobie człowiek jak Morley nie rozumie, bo nie jest w stanie zrozumieć, że wlewa w swoje ciało truciznę. Mikrozatory, nieodwracalne uszkodzenia najważniejszych części mózgu... A mimo to te pijawki leją w siebie alkohol wiadrami. Regresja do stadium namacalnych doświadczeń albo zdegenerowany mechanizm doboru naturalnego; sami się likwidują, ze względu na dobro gatunku. Zostawiają kobiety samcom stojącym na wyższym szczeblu rozwoju.

Podszedł do nich, wbił ręce w kieszenie i słuchał Morleya, który zdawał się relacjonować szczegóły jakiegoś religijnego przeżycia, którego doświadczył. Albo udawał, że doświadczył.

— Powiedział do mnie „mój drogi przyjacielu”. Najwyraźniej zależało mu na mnie. Pomógł mi przynieść bagaże... Trwało to dość długo, a w tym czasie rozmawialiśmy. Nie używał żadnych nadzwyczajnych słów i wyrażał się bardzo jasno, wbrew temu, co się czasem o nim słyszy. No więc nosiliśmy te bagaże i rozmawialiśmy, a potem powiedział, że chce mnie pobłogosławić. Dlaczego? Dlatego, powiedział, że jestem jednym z tych ludzi, na jakich zawsze mu najbardziej zależy. Stwierdził to zupełnie normalnie, ot tak, po prostu: „Jesteś jednym z ludzi, na których mi najbardziej zależy” albo coś w tym rodzaju. “Jestem z ciebie dumny”, dodał. „Najważniejszymi składnikami twojej świadomości są miłość do zwierząt i zrozumienie dla niższych form życia. Zrozumienie i współczucie stanowią najważniejsze cechy ludzi, którym udało się zrzucić ciężar Klątwy. Poszukujemy właśnie takich osobowości jak twoja”. Morley umilkł.

- Niech pan mówi dalej - poprosiła go Maggie Walsh. Była całkowicie zafascynowana.

- A potem powiedział coś bardzo dziwnego - kontynuował Morley. - Powiedział: „Ponieważ kierowany współczuciem ocaliłem twoje życie, wiem, że twoje współczucie pozwoli ci ocalić życie innych ludzi, zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym”. Przypuszczam, że miał na myśli Delmak-O.

- Ale tego nie powiedział - wtrąciła się Susie Smart.

- Nie musiał - odparł Morley. - I tak wiedziałem, o co mu chodzi. Rozumiałem wszystko, co do mnie mówił. W gruncie rzeczy rozumiałem go znacznie lepiej niż większość ludzi, których znam. Nie chodzi mi o was, bo was przecież jeszcze prawie wcale nie znam, ale chyba wiecie, co mam na myśli. Nie było żadnych transcendentnych symboli, żadnego metafizycznego nonsensu, o jakim wszyscy mówili, zanim Specktowsky napisał Księgę. Specktowsky miał rację: mogę to potwierdzić na podstawie własnych kontaktów z Chodzącym po Ziemi.

- Spotykał pan go już wcześniej? - zapytała Maggie Walsh.

- Wiele razy.

- Ja spotkałem go siedem razy — odezwał się doktor Milton Babble. - A raz widziałem Konstruktorą, więc jeżeli dodamy to do siebie, to okaże się, że miałem osiem kontaktów z Jedynym Prawdziwym Bogiem.

Spojrzeli na niego z różnymi wyrazami twarzy. Susie Smart z lekkim sceptycyzmem, Maggie Walsh z kompletnym niedowierzaniem, a Tallchief i Morley z ostrożnym zainteresowaniem.

- Do tego trzeba jeszcze dodać dwa spotkania z Orędownikiem - dorzucił Babble. - Czyli razem wychodzi dziesięć. Przez całe życie, ma się rozumieć.

- Czy to, co usłyszał pan od pana Morleya, przypomina pańskie osobiste doświadczenia? - zapytał Tallchief.

Babble kopnął kamyk leżący na ganku; kamyk potoczył się po podłodze, uderzył w ścianę i znieruchomiał.

- W pewnym sensie. Raczej tak. Owszem, wydaje mi się, że w znacznej części możemy uwierzyć w to, co mówi Morley. Mimo to... - zawiesił znacząco głos. - Obawiam się, że mam pewne wątpliwości. Czy to na pewno był Chodzący, panie Morley? Czy nie mógł to być jakiś włóczęga, który chciał, żeby wziął go pan za Chodzącego? Brał pan to pod uwagę? Och, nie chcę przez to powiedzieć, że Chodzący po Ziemi nie pojawia się od czasu do czasu między nami. Wiem, że to robi, bo sam go widziałem.

- To na pewno był on! - odparł z gniewem Morley. - Tylko on mógł wiedzieć o moim kocie!

- Ach, o pańskim kocie... - Babble uśmiechnął się szeroko, czując, jak ogarnia go głębokie, serdeczne rozbawienie. - A więc stąd się wzięło to pańskie „rozumienie dla niższych form życia”.

- Skąd ktokolwiek miałby wiedzieć o moim kocie? - zapytał z narastającą wściekłością Morley. Zdawał sobie sprawę, że wpadł we własne sidła. - Poza tym w Tekel Upharsin nie było żadnych włóczęgów. Wszyscy tam ciężko pracują, w końcu na tym polega życie w kibucu.

Nagle opadła z niego cała złość; teraz było mu już tylko przykro.

W pogłębiającej się ciemności za ich plecami rozległ się donośny głos Glena Belsnora:

- Chodźcie wszyscy! Połączyłem się z tym cholernym satelitą! Zaraz włączę magnetofon! Babble ruszył pierwszy.

- Nie sądziłem, że mu się uda - powiedział. Czuł się znakomicie, choć nie był w stanie stwierdzić dlaczego. Chyba miało to coś wspólnego z Morleyem i jego budzącą lęk relacją o spotkaniu z Chodzącym. Teraz już wcale nie budziła lęku, bo została dokładnie zweryfikowana przez człowieka o w pełni rozwiniętym, krytycznym umyśle.

Cała piątka weszła do sali zebrań i usadowiła się wśród pozostałych. Z głośników odbiornika dobiegał ostry szum, przerywany od czasu do czasu niezrozumiałymi, przypominającymi ludzkie głosy dźwiękami. Babble nie znosił takiego szumu, ale nic nie powiedział, okazując jedynie formalne zainteresowanie, jakiego oczekiwał siedzący przy radiu technik.

- To, co teraz słyszemy, to sygnał dostrojenia — poinformował zebranych Belsnor. - Taśma jeszcze nie zaczęła się przesuwac i nie zacznie, dopóki nie wysłę odpowiedniego sygnału.

- Więc go wyślij - powiedział Wade Frazer.

- Tak, Glen, wyślij sygnał! - odezwały się tu i tam głosy.

- W porządku.

Belsnor dotknął przycisków na czołowej płycie aparatu. Zamrugały kolorowe światełka, informując o odebraniu polecenia przez urządzenia zainstalowane na pokładzie satelity.

- General Treaton z Interplanu Zachód przekazuje pozdrowienia mieszkańcom kolonii na Delmak-O — powiedział głos z odbiornika.

- To taśma - poinformował ich Belsnor.

- Zamknij się. Słuchamy.

- Taśmę można odtwarzać dowolną liczbę razy.

- Właśnie dobiegł końca proces waszej rekrutacji — ciągnął generał Treaton z Interplanu Zachód. - Tutaj, w kwaterze głównej Interplanu, spodziewaliśmy się, że nastąpi to nie później niż czternastego września ziemskiego czasu standardowego. Przede wszystkim chciałbym wam wyjaśnić, po co została utworzona kolonia na Delmak-O, a także przez kogo i w jakim celu. Otóż przede wszystkim jest to...

Nagle głos umilkł, po czym głośniki powiedziały UU-UUUUU!, a potem GRRRRR! i AAAAAAAA! Belsnor wpatrywał się w aparat z niemym osłupieniem. UBBBBBB! dodały głośniki; Belsnor pokręcił gałką, rozległ się donośny szum, a następnie zapadła cisza.

Ignatz Thugg parsknął śmiechem.

- Co się stało, Glen? - zapytał Tony Dunkelwelt.

- W takich magnetofonach jak ten na satelicie są tylko dwie głowice - odparł ponurym tonem Belsnor. - Kasująca na początku i odtwarzająco-zapisująca na końcu toru przesuwu taśmy. Stało się to, że odtwarzająco-zapisująca przełączyła się z odtwarzania na nagrywanie, w związku z czym kasująca zaczęła automatycznie kasować wszystko, co było na taśmie. Nie mam jak tego wyłączyć: magnetofon teraz tylko nagrywa i pewnie będzie nagrywał, aż cała taśma zostanie skasowana.

- Ale wtedy nic na niej nie będzie - odezwał się Wade Frazer. - I już nic na to nie poradzisz.

- To prawda - odparł Glen Belsnor. - Magnetofon kasuje to, co na niej jest, a potem nic nie nagrywa. Nie mogę go wyłączyć. Popatrzcie. - Pstryknął kilkoma przełącznikami. - Nic. Zacięło się i już. - Zaklął, usiadł głębiej na krześle, zdjął okulary i otarł pot z czoła. - Chryste! - powiedział. - Tak to właśnie wygląda.

Głośniki wybełkotały coś niezrozumiałego, po czym umilkły. Nikt z zebranych nie odezwał się ani słowem. Nie było o czym mówić.

Rozdział piąty

Bezład panujący w życiu podatkowym doktora Babble'a staje się dla niego nie do wytrzymania.

- Możemy tylko nadać sygnał do sieci przekaźników, żeby dotarł na Ziemię, i poinformować generała Treatona z Interplanu Zachód o tym, że nie otrzymaliśmy jego instrukcji - powiedział Glen Belsnor. - Biorąc pod uwagę okoliczności, zechcą chyba, i mam nadzieję, że będą w stanie, wysłać do nas raketę z drugą taśmą, którą tutaj odtworzymy. - Wskazał na magnetofon zainstalowany przy nadajniku.

- Ile czasu to zajmie? - zapytała Susie Smart.

- Nigdy nie próbowałem połączyć się stąd z siecią przekaźników - odparł Belsnor. - Nie mam pojęcia. Przekonamy się. Może uda nam się od razu, ale nie sądzę, żeby nawet w najgorszym wypadku trzeba było na to więcej niż dwa do trzech dni. Jedyne problemy polegają na tym... - Potarł w zamyśleniu nie ogolony podbródek. - W grę może wchodzić czynnik bezpieczeństwa. Treaton może sobie nie życzyć, żeby tego rodzaju prośba szła przez ogólnie dostępną sieć przekaźników, gdzie może ją przechwycić każdy, kto ma odpowiedni odbiornik, i po prostu ją zignoruje.

- Jeśli to zrobią, powinniśmy się natychmiast spakować i odlecieć - oświadczył Babble.

- Czym odlecieć? - zapytał z uśmiechem Ignatz Thugg.

Nosaczami, pomyślał Seth Morley. Nie mamy tu innych maszyn oprócz unieruchomionych, pozbawionych paliwa nosaczy, a nawet gdyby udało nam się zdobyć paliwo - na przykład przelewając resztki do jednego zbiornika - to bez sygnału naprowadzającego nie będziemy wiedzieli, dokąd lecieć. Jako jednego z dwóch niezbędnych punktów odniesienia musielibyśmy używać Delmak-O, a Delmak-O nie figuruje na oficjalnych mapach Interplanu Zachód. Czyżby właśnie dlatego kazali nam wszystkim używać nosaczy?

Przeprowadzają na nas doświadczenia, pomyślał, dając się ogarnąć panice. To jakiś eksperyment. Może nigdy nie było żadnych instrukcji na taśmie w tym satelicie. Może wszystko było od początku ukartowane.

- Niech pan spróbuje się połączyć z któryś z przekaźników - powiedział Tallchief. - Może uda się od razu.

- Czemu nie - zgodził się Belsnor. Pokręcił gałkami, wsadził na głowę słuchawki, włączył jedne przełączniki, wyłączył inne. Wszyscy siedzieli w całkowitej ciszy, obserwując i czekając. Zupełnie jakby od tego zależało nasze życie, pomyślał Morley. Możliwe, że tak właśnie jest.

- I co? - zapytała wreszcie Betty Jo Berm.

- Nic - odparł Belsnor. - Włączę wizję. - Mały ekran ożył, ale pojawiły się na nim tylko poprzeczne

linie zakłóceń. - Na tej częstotliwości działają wszystkie przekaźniki. Powinniśmy je odbierać.

- Ale nie odbieramy - zauważył Babble.

- Nie odbieramy. - Belsnor w dalszym ciągu obracał pokrętłami. - To nie to, co w dawnych czasach, kiedy mogłeś się bawić kondensatorem o zmiennej pojemności tak długo, aż wreszcie złapałeś sygnał. Teraz wszystko jest bardziej skomplikowane.

Niespodziewanie wyłączył dopływ prądu; ekran ściemniał, ucichł też szum wydobywający się z głośników.

- Co się stało? - zapytała Mary Morley.

- Nic nie nadajemy - odparł Belsnor.

- Co takiego? Co to znaczy? - odezwały się zmieszane głosy z różnych stron sali.

- Nie wysyłamy żadnego sygnału. Nie mogę ich złapać, a skoro my nie nadajemy sygnału, to oni tym bardziej nie złapią nas. - Odsunął się od stołu z wyrazem obrzydzenia na twarzy. - To jakiś spisek. Cholerny, pieprzony spisek.

- Mówisz serio? — odezwał się Wade Frazer. - Uważasz, że to wszystko zostało zrobione celowo?

- Nie ja montowałem nasz nadajnik i nie ja sprawdzałem pozostałe wyposażenie — powiedział Glen Belsnor. - Przez ten miesiąc, kiedy tu jestem, przeprowadzałem pewne próby. Przechwyciłem kilka depesz nadanych w tym układzie planetarnym i odpowiedziałem na nie. Wszystko wydawało się w porządku, a teraz nagle coś takiego. - Spojrzał w zamyśleniu na aparat. - Chyba już wiem - rzekł nagle i skinął głową. - Tak, rozumiem, co się stało.

- Czy to coś poważnego? - zapytał Ben Tallchief.

- Kiedy satelita otrzymał ode mnie sygnał nakazujący mu uruchomienie magnetofonu i włączenie swojego nadajnika, natychmiast wysłał swój, do tego urządzenia. - Wskazał na stojący przed nim na stole sprzęt. - Ten sygnał skasował wszystkie moje polecenia i unieruchomił aparaturę. Nic nie odbierzemy ani nic nie nadamy, bez względu na to, co zrobię z tym złomem. Przypuszczam, że może go ponownie uruchomić tylko satelita, wysyłając następny sygnał. - Potrząsnął głową. - Pozostaje nam tylko to podziwiać. Zupełnie jak w szachach: ruch i odpowiedź. Sam to zacząłem, jak szczur w klatce, który szuka właściwego przycisku, żeby dostać coś do jedzenia, nie dając się porazić prądem.

Mówił głuchym głosem kogoś, kto przed chwilą doznał bolesnej porażki.

- Niech pan rozmontuje nadajnik i odbiornik - poradził mu Seth Morley. — Chyba można wymontować tę część, która blokuje ich działanie?

- Tak, ale ona najprawdopodobniej... do diabła, nawet na pewno!... ma zainstalowany układ autodestrukcyjny. Albo już został uaktywniony, albo zadziała w chwili, kiedy zacznę go szukać. Gdyby coś zniszczył, nie mógłbym nic poradzić, bo nie mam żadnych części zamiennych.

- Automatyczny sygnał kierunkowy - nie ustępował Morley. - Ten, który wskazywał mi drogę, kiedy tu leciałem. Może pan wysłać wiadomość, podłączając się do niego.
- Automatyczne sygnały kierunkowe docierają na sto czterdzieści lub sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów, a potem nikną. Czy wychwycił go pan w takiej odległości?
- Mniej więcej — przyznał Morley.
- Jesteśmy całkowicie odizolowani - oznajmił Belsnor. - Osiągnięto to w ciągu zaledwie kilku minut.
- Musimy przygotować wspólną modlitwę - oświadczyła Maggie Walsh. - Jeżeli będzie krótka, może uda się nam ją nadać za pomocą promieniowania szyszynki.
- Skoro podstawowym kryterium ma być zwięzłość, to mogę pomóc ją opracować — zaofiarowała się Betty Jo Berm. - Jako lingwista znam się na tym.
- To nasza ostatnia deska ratunku - powiedział Belsnor.
- Nie ostatnia deska ratunku, tylko efektywna, sprawdzona metoda sprowadzania pomocy. Na przykład pan Tallchief znalazł się tutaj wyłącznie dzięki swojej modlitwie.
- Ale ona szła normalną drogą, przez przekaźniki - odparł Belsnor. - My nie możemy na to liczyć.
- Czyżby nie wierzył pan w siłę modlitwy? — zapytał z niemiłym uśmiechem Wade Frazer.
- Nie wierzę w siłę modlitwy, która nie jest wzmocniona elektronicznie. Nawet Spektowski zgodził się z poglądem, że jeśli modlitwa ma być efektywna, musi zostać przetworzona elektronicznie i wysłana na boskie planety, żeby dotrzeć do wszystkich Manifestacji.
- Proponuję, żebyśmy posłali naszą modlitwę tak daleko, jak się da, za pomocą sygnału kierunkowego - powiedział Seth Morley. — Nawet jeśli dotrze tylko na sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od planety, to i tak Bogu powinno być łatwiej przechwycić ją tam niż tutaj. Działanie siły przyciągania jest odwrotnie proporcjonalne do mocy modlitwy, co oznacza, że jeżeli uda się wysłać modlitwę daleko od planety albo gwiazdy, a sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów to dosyć daleko, istnieją spore szanse na to, że zostanie przechwycona przez którąś z Manifestacji. Wspomina o tym nawet Spektowski, ale już zapomniałem gdzie... Chyba pod koniec, w jednym z przypisów.
- Ziemskie prawo zakazuje wątpić w siłę modlitwy - wtrącił Wade Frazer. - Na wszystkich terenach należących do Interplanu Zachód stanowi to poważne pogwałcenie kodeksu cywilnego.
- A ty pewnie od razu o tym zameldujesz - mruknął Ignatz Thugg.
- Nikt nie wątpi w moc modlitwy - odparł Ben Tallchief, obrzucając Frazera nieprzyjaznym spojrzeniem. - Po prostu nie możemy się porozumieć, jak najlepiej się do tego zabrać. - Wstał. - Muszę się napić - oświadczył. - Do widzenia.

Wyszedł z sali, zataczając się odrobinę.

- Dobry pomysł - powiedziała Susie Smart do Setha Morleya. - Chyba z nim pójdę. - Wstała, obdarzając go odruchowym, pozbawionym uczuć uśmiechem. - To naprawdę straszne, prawda? Nie mogę uwierzyć, że generał Treaton o wszystkim wiedział. To na pewno jakaś pomyłka albo awaria, o której jeszcze nie wiedzą, nie uważa pan?
- Sądząc z tego, co o nim słyszałem, generał Treaton jest pod każdym względem człowiekiem honoru - odparł Morley. W rzeczywistości nigdy wcześniej nie słyszał o generale Treatonie, ale miał wrażenie, że powinien coś takiego powiedzieć, żeby podnieść ją na duchu. Ci wszyscy ludzie potrzebowali podniesienia na duchu, a jeżeli mogło się do tego przyczynić przeświadczenie, że generał Treaton jest człowiekiem honoru, to on, Seth Morley, nie ma nic przeciwko temu. Wiara stanowiła nieodzowny element nie tylko w kwestiach teologicznych, ale także najzupełniej świeckich. Bez niej nie dałoby się żyć.
- Do którego aspektu Boga powinniśmy się modlić? - zapytał doktor Babble Maggie Walsh.
- Gdybyśmy chcieli zrolować czas, na przykład do chwili, kiedy jeszcze nikt z nas nie został tu skierowany, trzeba by się modlić do Konstruktora. Jeśli chcemy, żeby Bóg przeniósł nas gdzie indziej, rozwiązując za nas tę sytuację, powinniśmy się zwrócić do Orędownika. Jeżeli każdy z osobna pragnąłby znaleźć drogę wyjścia...
- Prośmy o wszystko - przerwał jej drżącym głosem Bert Kosler. - Niech Bóg sam zdecyduje, której swojej części zechce użyć.
- Może nie będzie chciał użyć żadnej - zauważyła z przekąsem Susie Smart. - Lepiej postanowimy to za niego. Czy nie na tym między innymi polega sztuka modlitwy?
- Owszem - potwierdziła Maggie Walsh.
- Niech ktoś to notuje - polecił Wade Frazer. - Powinniśmy zacząć w ten sposób: „Dziękujemy ci za wszelką pomoc, jaką okazałeś nam w przeszłości. Wahamy się, czy ponownie cię niepokoić, bo wiemy, jak dużo masz zajęć, ale znaleźliśmy się w takiej oto sytuacji...” - Umilkł na chwilę, po czym zwrócił się do Belsnora. - Właściwie jaka jest nasza sytuacja? Chodzi tylko o naprawienie nadajnika?
- O dużo więcej - odparł Babble. - Chcemy się stąd wydostać i już nigdy tu nie wrócić.
- Gdyby działał nadajnik, moglibyśmy to zrobić sami - powiedział Belsnor, ogryzając w zamyśleniu kciuk prawej ręki. - Uważam, że powinniśmy się ograniczyć do prośby o zapasowe części do nadajnika, a resztą zająć się samodzielnie. Czy Księga nie mówi, że o im mniej prosi się w modlitwie, tym lepiej? — zwrócił się do Maggie Walsh.
- Na stronie 158 Specktowsky pisze: „Żyjemy bardzo krótko, a duszą wszelkiej zwięzłości jest sens. Co się tyczy sztuki modlenia, ładunek sensu jest zawsze odwrotnie proporcjonalny do długości modlitwy”.
- Najlepiej powiedzmy po prostu coś takiego: „Chodzący po Ziemi, pomóż nam znaleźć części

zamienne do nadajnika” - zaproponował Belsnor.

- Modlitwę musi sformułować pan Tallchief, ze względu na to, że jego poprzednia modlitwa okazała się tak skuteczna - zdecydowała Maggie Walsh. - Wygląda na to, że on wie, jak to trzeba robić.

- Przyprawdźcie tu Tallchiera - polecił Babble. - Na pewno przenosi bagaże z nosacza do kwatery. Niech ktoś go przyprawdź.

- Ja pójdę - zaofiarował się Seth Morley, po czym wstał i wyszedł z sali w panującą na zewnątrz ciemność.

- To był bardzo dobry pomysł, Maggie - usłyszał jeszcze głos Babble'a. Zawtórowały mu inne głosy, łącząc się w zgodny chór.

Szedł powoli i ostrożnie, zdając sobie sprawę, że łatwo mógłby się zgubić w nieznanym terenie. Może powinienem był poczekać, aż zgłosi się ktoś inny, pomyślał. W oknie budynku, do którego się zbliżał, paliło się światło.

Może on tam jest, pomyślał Seth Morley i skierował się w tamtą stronę.

Ben Tallchief skończył drinka, ziewnął, podrapał się po szyi, ponownie ziewnął i dźwignął się z trudem na nogi. Pora się zabrać do przeprowadzki, pomyślał. Mam nadzieję, że trafię po ciemku do mojego nosacza.

Wyszedł na zewnątrz, poczuł pod stopami zwirową ścieżkę i ruszył w kierunku, w którym, jak przypuszczał, znajdowało się lądowisko. Dlaczego oni nie mają tu żadnych świateł? - pomyślał, a potem doszedł do wniosku, że koloniści byli zbyt zajęci, żeby pamiętać o ich włączeniu. Awaria nadajnika zaprzętnęła całkowicie ich uwagę, i trudno było się temu dziwić. Dlaczego nie jestem z nimi? - zadał sobie w duchu pytanie. Dlaczego nie działam jako część grupy? Ale ta grupa i tak nie funkcjonowała jak prawdziwa grupa, tylko jak zlepek egoistycznych indywidualistów, bez ustanku szczerzących na siebie zęby. Miał wrażenie, że nic go z nimi nie łączy. Był w odpowiednim nastroju do podjęcia jakiejś wędrówki i odczuwał potrzebę fizycznego wysiłku. Na przykład niedawno coś kazało mu wyjść z sali zebrań i pójść do kwatery, a teraz znowu wypchnęło go na dwór, kierując na poszukiwania nosacza.

Coś poruszyło się w ciemności przed nim, a po chwili na tle nieba pojawiła się czarna sylwetka.

- Tallchief?

- Tak. A pan kto jest? — zapytał, wyęzając wzrok.

- Morley. Wysłali mnie, żebym pana znalazł. Chcą, żeby sformułował pan naszą modlitwę, bo tak dobrze udało się panu kilka dni temu.

- Koniec z modlitwami - oświadczył Tallchief i zacisnął na moment zęby. - Proszę, gdzie wylądowałem po ostatniej: tutaj, z wami wszystkimi... Nie chcę pana obrazić, lecz... - Wykonał szeroki gest. - To było okrutne i nieludzkie spełnić w ten sposób moją prośbę, zważywszy na

okoliczności. A on na pewno dobrze je znał.

- Rozumiem, co pan czuje.

- Więc czemu sam pan tego nie zrobi? Przecież niedawno spotkał pan Chodzącego. Na pewno lepiej by to panu wyszło.

- Nie znam się na modlitwach. Nie wezwałem Chodzącego. On sam do mnie przyszedł.

- Napije się pan? - zapytał Tallchief. - A potem mógłby mi pan pomóc nosić bagaże do kwatery i w ogóle...

- Mam swoje do przeniesienia.

- To niezwykle społeczne nastawienie.

- Gdyby pan mi pomógł...

- Zobaczymy się później - przerwał mu Tallchief. Ruszył przed siebie, macając na oślep w ciemności wyciągniętymi rękami, aż wreszcie wpadł na metalowy kadłub. Nosacz. Znalazł lądowisko; teraz pozostało już tylko odszukać właściwą maszynę.

Obejrzał się, ale Morley zniknął. Był zupełnie sam.

Dlaczego ten facet nie chciał mi pomóc? Większość kartonów muszą nieść dwie osoby, sam nie dam rady. Muszę się rozejrzeć, zdecydować. Gdyby mi się udało włączyć światła postojowe nosacza, przynajmniej widziałbym cokolwiek. Namacał koło blokujące klapę, zakręcił nim i pociągnął drzwi do siebie; automatycznie włączyły się światła bezpieczeństwa. Chyba na razie przeniosę tylko ubrania, przybory toaletowe i Księgę, postanowił. Będę czytał Księgę tak długo, aż zachce mi się spać. Jestem bardzo zmęczony; pilotowanie nosacza zupełnie mnie wykończyło. To i awaria nadajnika. Całkowita klęska.

Dlaczego poprosiłem go o pomoc? Przecież go prawie nie znam, a on nie zna mnie. Moje bagaże to mój problem, on ma dość swoich.

Dźwignął pudło z książkami i ruszył w kierunku - miał nadzieję - swojej kwatery. Muszę zdobyć skądś latarkę, postanowił. Cholera, zapomniałem wyłączyć światła. Nagle sobie uświadomił, że wszystko odbywa się nie tak, jak powinno. Chyba będzie lepiej, jeśli zostawię to i wrócę do pozostałych, pomyślał. Albo zaniosę tylko to pudło i przyrządzę sobie jeszcze jednego drinka; zanim skończę, tamci na pewno wyjdą już z sali i pomogą mi. Pocąc się i stękając z wysiłku, szedł szutrową ścieżką w kierunku ciemnej, nieruchomej budowli mieszczącej kwatery mieszkalne. Żadnych świateł. Koloniści w dalszym ciągu byli zajęci układaniem wspólnej modlitwy. Nie mógł się powstrzymać od uśmiechu. Możliwe, że będą nad tym ślepcze całą noc, pomyślał i ponownie się uśmiechnął, tym razem z niesmakiem.

Do swojej kwatery trafił wyłącznie dzięki temu, że była jedyną, której drzwi stały otworem. Znalazłszy się w środku, postawił pudło na podłodze, westchnął ciężko, wstał i pozapalał wszystkie

światła. Jego oczom ukazał się niewielki pokój wyposażony w szafkę i łóżko. Łóżko nie spodobało mu się: sprawiało wrażenie małego i twardego.

- Chryste - powiedział, siadając na nim. Wyjął z pudła kilka książek, aż znalazł wreszcie butelkę szkockiej. Otworzył ją i pociągnął spory łyk.

Przez otwarte drzwi widział nocne niebo i gwiazdy, drżące za warstwą otaczającej planetę atmosfery. Przez te załamania światła w powietrzu naprawdę trudno je obserwować, pomyślał.

W drzwiach pojawił się ogromny, szary kształt, zasłaniając gwiazdy.

Postać trzymała w rękach jakąś rurę, wymierzoną w jego kierunku. Tallchief widział wyraźnie celownik i mechanizm spustowy. Kto to jest? Co to jest? Wysilił wzrok, lecz w tej samej chwili rozległo się niezbyt donośne pyknięcie i postać znikła, odsłaniając gwiazdy. Ale teraz wyglądały zupełnie inaczej: dwie właśnie wpadły na siebie, tworząc nową, która rozbłysła raptownie, po czym natychmiast zaczęła przygasać. Widział, jak przeistacza się z oślepiająco jasnego pierścienia w żarzące się jądro ze starego żelaza, a potem stygnie jeszcze bardziej, znikając zupełnie z oczu. Inne gwiazdy także stygły, jedna za drugą. Ben obserwował, jak entropia -najsilniejsza broń Niszczyciela Formy - zamienia gwiazdy w ciemnoczerwone węgle, a następnie w pyliste milczenie. Całun energii cieplnej zawisł nad tym małym, dziwnym światem, którego nie kochał ani nie potrzebował.

On umiera, uświadomił sobie. Wszechświat umiera. Fala ciepła biegła coraz dalej i dalej, stając się jedynie ledwo dostrzegalnym zakłóceniem pola widzenia, a potem całe niebo nagle zamigotało, kiedy nawet ten termiczny powiew uległ zagładzie. Jakie dziwne i cholernie okropne, pomyślał. Wstał i ruszył w kierunku drzwi. Umarł po pierwszym kroku.

Znaleźli go w godzinę później. Seth Morley stał z żoną nieco na uboczu zbiegowiska wypełniającego mały pokój. Zabili go, żeby nie mógł nam pomóc ułożyć modlitwy, pomyślał.

- To ci sami, którzy zepsuli nadajnik - stwierdził Ignatz Thugg. - Dobrze wiedzieli, że gdyby to on ułożył modlitwę, dotarłaby, gdzie trzeba. Nawet bez przekaźników.

Był szary na twarzy i sprawiał wrażenie ciężko przestraszonego. Wszyscy tak wyglądali. Ich twarze wyglądały jak wyciosane z kamienia albo odlane z ołowiu. Przypominają tysiącletnie posągi bogów, pomyślał Seth Morley.

Czas zamyka się wokół nas, przemknęła mu niespodziewana myśl. Zupełnie, jakbyśmy nagle utracili przyszłość. Wszyscy, nie tylko Tallchief.

- Może pan przeprowadzić autopsję? - zapytała Babble'a Betty Jo Berm.

- Do pewnego stopnia. - Doktor Babble przykucnął obok ciała Tallchiefa i mówił, dotykając go to tu, to tam. — Żadnych śladów krwi ani widocznych obrażeń. Sami widzicie, że śmierć mogła nastąpić z przyczyn naturalnych, na przykład z powodu niewydolności krążenia. Choć, oczywiście, mógł zostać zabity strzałem z miotacza promieni cieplnych, oddanym z niedużej odległości... Ale wtedy powinny zostać ślady oparzeń. - Rozpiął Tallchiefowi kołnierzyk i sięgnął do klatki piersiowej. - Mógł to

zrobić ktoś z nas - dodał. - Nie należy tego wykluczać.

- Oni to zrobili - powiedziała Maggie Walsh.

- Możliwe - odparł Babble. - Zrobię, co będę mógł. - Skinął na Thugga, Frazera i Belsnora. - Pomóżcie mi go zanieść do kliniki. Od razu przystąpię do autopsji.

- Nikt z nas nawet go nie znał - zauważyła Mary.

- Zdaje mi się, że chyba widziałem go ostatni - odezwał się Seth Morley. - Miał zamiar przenieść swoje bagaże z nosacza do kwatery. Powiedziałem, że pomogę mu później, jak będę miał trochę czasu. Wyglądało na to, że jest w kiepskim nastroju. Próbowałem go namówić, żeby pomógł nam ułożyć modlitwę, ale nie był tym zainteresowany. Chciał się tylko rozpakować.

Morley czuł olbrzymi ciężar winy. Może gdybym mu wtedy pomógł, żyłby nadal, pomyślał. Może Babble ma rację: może to rzeczywiście atak serca, spowodowany noszeniem ciężkich pakunków. Kopnął stojące na podłodze pudło z książkami, zastanawiając się, czy to ono właśnie zawiniło - ono, a także jego odmowa udzielenia pomocy. Zdał sobie sprawę, że odmówiłby nawet wtedy, gdyby Tallchief poprosił go jeszcze raz.

- Czy zauważył pan coś, co by świadczyło o jego samobójczym nastawieniu? - zapytał doktor Babble.

- Nie.

- Bardzo dziwne - powiedział Babble i potrząsnął głową. - Dobra, bierzemy go do kliniki.

Rozdział szósty

Ignatz Thugg po raz pierwszy w życiu staje twarzą w twarz z przerastającą go siłą.

Czterej mężczyźni nieśli ciało Tallchiefa przez pogrążony w ciemnościach teren. Kiedy dotknął ich powiew zimnego wiatru, zadrżeli i skupili się bliżej siebie, jednocząc się przeciwko wrogim siłom Delmak-O, które zabiły Bena Tallchiefa.

Babble zapalił światła i położyli zwłoki na wysokim, metalowym stole.

- Chyba powinniśmy wrócić do naszych kwater i zostać tam, póki doktor Babble nie zakończy autopsji - powiedziała Susie Smart, drżąc na całym ciele.

- Lepiej zostanmy razem - zaproponował Wade Frazer. - Przynajmniej dopóty, dopóki doktor nie powie nam, co znalazł. Poza tym wydaje mi się, że w związku z nieoczekiwanym rozwojem wydarzeń i tym okropnym wypadkiem musimy natychmiast dokonać wyboru przywódcy potrafiącego utrzymać nas jako grupę, którą w gruncie rzeczy nie jesteśmy, choć powinniśmy nią być. Zgadza się ze mną?

- Aha - odezwał się po chwili Glen Belsnor.

- Będziemy głosować - oznajmiła Betty Jo Berm. - W całkowicie demokratyczny sposób. Uważam jednak, że powinniśmy zachować ostrożność. - Widać było, że stara się maksymalnie precyzyjnie formułować myśli. - Nie możemy dać temu przywódcy zbyt dużych uprawnień i powinniśmy mieć możliwość odwołania go, jeśli nie będziemy z niego zadowoleni, żeby wybrać kogoś innego. Ale dopóki będzie nami rządził, musimy go słuchać. Nie może być zbyt słaby, bo wtedy będziemy wyglądali tak samo jak teraz: zlepek indywidualistów nie potrafiących podjąć wspólnego działania nawet w obliczu śmierci.

- Skoro tak, to wracajmy do sali zebrań, a nie do kwater - zaproponował Tony Dunkelwelt. - Natychmiast przeprowadzimy głosowanie. Nie możemy dopuścić do tego, żeby pozabijali nas, zanim wybierzemy przywódcę.

Drogę z kliniki do sali zebrań przebyli w posępnym milczeniu. Stojący na stole aparat nadawczo-odbiorczy wciąż był włączony; wchodząc do pomieszczenia, słyszeli niskie, ciche brzęczenie.

- Taki duży, a zupełnie do niczego - westchnęła Maggie Walsh, spoglądając na aparat.

- Nie sądzi pan, że powinniśmy się uzbroić? - zapytał Bert Kosler Morleya, ciągnąc go za rękaw. - Jeżeli coś chce nas pozabijać...

- Zaczekajmy na wyniki autopsji - odparł Seth Morley.

- Będziemy głosowali przez podniesienie ręki - oznajmił urzędowym tonem Wade Frazer, siadając przy stole. - Wszyscy mają usiąść i być cicho, a ja kolejno odczytam nazwiska i policzę głosy.

Wszyscy się zgadzają? - W jego głosie pobrzmiwała ironiczna nuta, która bardzo nie podobała się Sethowi.

- Nie uda ci się, Frazer - powiedział Ignatz Thugg. - Choćbyś nie wiadomo jak bardzo tego chciał. Nikt w tej sali nie pozwoli, aby ktoś taki jak ty mówił mu, co ma robić. - Usiadł w fotelu, założył nogę na nogę i wyciągnął papierosa z kieszeni kurtki.

Kiedy Wade Frazer odczytywał nazwiska i zapisywał liczbę głosów, kilka osób robiło własne notatki. Nie wierząc Frazerowi, pomyślał Seth Morley. Podejrzewają, że będzie próbował oszukiwać. Wcale im się nie dziwię.

- Najwięcej głosów uzyskał... Glen Belsnor - oznajmił Frazer, kiedy głosowanie dobiegło końca, po czym z pogardliwym parsknięciem rzucił kartkę na stół. Zupełnie jakby chciał powiedzieć: proszę bardzo, będziecie mieli to, na co zasługujecie, przemknęło przez myśl Morleyowi. Uważał, że dokonali trafnego wyboru. On sam także głosował na elektronika, opierając się na szczupłej wiedzy, którą zdążył osiąść, i był całkowicie zadowolony, nawet jeśli Frazer miał na ten temat inne zdanie. Sądząc po pełnym ulgi poruszeniu, jakie zapanowało w sali, większość zebranych podzielała jego pogląd.

- Czekając na raport doktora Babble'a, pomódlmy się wspólnie o to, żeby psyche pana Tallchiera została natychmiast przeniesiona do nieśmiertelności - zaproponowała Maggie Walsh.

- Niech pani czyta z Księgi Specktowsky'ego - powiedziała Susie Smart. Wyjęła z kieszeni swój egzemplarz i podała go Maggie Walsh. - Ten kawałek na stronie siedemdziesiątej, o Orędowniku. Chyba do niego zaadresujemy modlitwę, prawda?

Maggie zaczęła recytować z pamięci znane im doskonale słowa:

- „Poprzez Swoje pojawienie się w historii i dziele tworzenia Orędownik złożył sam Siebie w ofierze, dzięki której nastąpiło częściowe uchylenie Klątwy. Upewniwszy się, że Swoim objawieniem odkupił tych, których stworzył, osiągając wielkie, choć częściowe, zwycięstwo, Orędownik «umarł», a następnie pojawił się ponownie, okazując w ten sposób, że pokonał Klątwę, a tym samym śmierć. Potem wrócił przez koncentryczne kręgi do samego Boga". Dodam jeszcze jeden fragment, bo jest bardzo na miejscu: „Następnym i zarazem ostatnim etapem jest Dzień Posłuchania, w którym niebiosą zwiną się niczym pergamin, a wszystkie żywe istoty, zarówno człowiek, jak i inne, nieziemskie organizmy, złączą się ponownie z Bogiem, od którego pochodzi jedność wszystkiego (ewentualnie z wyjątkiem Niszczyciela Formy)”. - Umilkła na chwilę, po czym nakazała: - A teraz powtarzajcie na głos albo w myślach to, co powiem.

Tak jak było przyjęte w podobnych sytuacjach, unieśli głowy i spojrzeli w górę, żeby Bóg łatwiej mógł ich usłyszeć.

- Nie znaliśmy zbyt dobrze pana Tallchiera...

- Nie znaliśmy zbyt dobrze pana Tallchiera - powtórzyli.

- Ale wyglądał na porządnego człowieka...
- Ale wyglądał na porządnego człowieka. Maggie zawahała się na ułamek sekundy.
- Dlatego usuń go poza czas, czyniąc tym samym nieśmiertelnym...
- Dlatego usuń go poza czas, czyniąc tym samym nieśmiertelnym.
- Przywróć mu kształt, jaki miał, zanim dopadł go Niszczyciel Formy...
- Przywróć mu kształt, jaki miał, zanim... - Przerwali, bo do sali wszedł wyraźnie wzburzony doktor Milton Babble.
- Musimy dokończyć modlitwę - poinformowała go Maggie.
- Dokończycie ją kiedy indziej - odparł Babble. - Udało mi się ustalić przyczynę śmierci. - Przejrzał plik kartek, który ścisnął w rękę. - Oto ona: rozległe zapalenie oskrzeli związane z nienaturalnie wysoką zawartością histaminy we krwi, co spowodowało zwężenie tchawicy. Bezpośrednią przyczynę zgonu stanowiło uduszenie będące reakcją na alergen pochodzenia zewnętrznego. Możliwe, że rozładowując nosacza, został ukąszony przez owada albo otarł się o jakąś kolczastą roślinę wydzielającą związek, na który był uczulony. Pamiętajcie, jak bardzo chorowała Susie Smart przez cały pierwszy tydzień, po tym, jak wpadła w te krzaki przypominające pokrzywy? To samo Kosler. - Wskazał w kierunku historyka. - Gdyby przyszedł do mnie trochę później, też już by nie żył. W wypadku Tallchiewa wszystko działało na jego niekorzyść: wyszedł sam, w nocy, a w pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mu pomóc. Umarł, ale gdyby był z nami, może udałoby się go ocalić.
- Ciszę, która zapadła po słowach doktora, przerwała Roberta Rockingham, siedząca w fotelu z obszernym szalem zarzuconym na ramiona.
- Cóż, mam wrażenie, że pański raport jest znacznie bardziej optymistyczny niż nasze domysły. Wygląda na to, że jednak nikt nie chce nas pozabijać. Nie uważacie, że to wspaniale? - Rozejrzała się po otaczających ją twarzach, natężając słuch, żeby dosłyszeć ewentualną odpowiedź.
- Może i tak - mruknął Frazer z trudnym do rozszyfrowania grymasem na twarzy.
- Głosowaliśmy bez pana, Babble - odezwał się Ignatz Thugg.
- Dobry Boże, rzeczywiście! - wykrzyknęła Betty Jo Berm. — Musimy powtórzyć wybory.
- Wybraliście przywódcę? - zapytał doktor Babble. -I nie przyszło wam na myśl zasięgnąć mojej opinii? Na kogo się zdecydowaliście?
- Na mnie - poinformował go Glen Belsnor. Babble zastanowił się przez chwilę.
- Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam zastrzeżeń - oznajmił wreszcie. - Glen może być naszym przywódcą.

- Wygrał trzema głosami - powiedziała Susie Smart. Babble skinął głową.
- Tak czy inaczej, jestem zadowolony. Seth Morley podszedł do lekarza, spojrzał mu prosto w oczy i zapytał:
- Jest pan pewien przyczyny śmierci?
- Całkowicie. Dysponuję wyposażeniem, które pozwala stwierdzić...
- Znalazł pan na jego ciele ślad po ukąszeniu?
- Szczerze mówiąc, nie - przyznał Babble.
- Miejsce, które mogło zostać oparzone przez roślinę?
- Nie, ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Niektóre owady są tak małe, że ślad ich ukąszenia byłby widoczny dopiero pod mikroskopem. Na takie badanie potrzeba wielu dni.
- Mimo to jest pan przekonany, że ma rację - powiedział Belsnor, również zbliżając się do niego. Stał ze skrzyżowanymi na piersi ramionami, kołysząc się na piętach.

Babble skinął energicznie głową.

- Najzupełniej.
- Wie pan, co to będzie dla nas oznaczało, jeśli się pan pomylił?
- Co? Nie rozumiem...
- O Boże, Babble, przecież to oczywiste! - wtrąciła się Susie Smart. - Jeżeli ktoś albo coś zabiło go z premedytacją, to nam wszystkim grozi takie samo niebezpieczeństwo, ale jeśli to było tylko ukąszenie owada...
- Tak właśnie było - przerwał jej Babble. - Ukąsił go owad. - Uszy poczerwieniały mu od ślepego, zawziętego gniewu. - Myślicie, że to pierwsza autopsja, jaką przeprowadzałem? Że nie wiem, jak sobie radzić z narzędziami, którymi posługuję się prawie całe dorosłe życie? - Utkwił nienawistne spojrzenie w Susie Smart. - Panna Dumb - wycodził pogardliwie.

- Daj spokój, Babble - odezwał się Tony Dunkelwelt.

- Dla ciebie jestem doktor Babble, synu.

Nic się nie zmieniło, pomyślał Seth Morley. Jesteśmy tacy sami jak przedtem: zlepek dwunastu obcych sobie ludzi. To nas może zniszczyć, przerwać naszych dwanaście niezależnych istnień.

- Od razu zrobiło mi się lżej na sercu - powiedziała Susie Smart, podchodząc do niego i Mary. - Mam wrażenie, że zachowywaliśmy się jak paranoicy. Wydawało nam się, że ktoś cały czas próbuje

nas zabić.

Morley nie podzielał tego poglądu, a tym bardziej jej nastawienia, bo jeszcze zbyt wyraźnie pamiętał swoje ostatnie spotkanie z Benem Tallchiefem.

- Umarł człowiek - powiedział.

- Prawie go nie znaleźliśmy. W gruncie rzeczy wcale go nie znaleźliśmy.

- To prawda - przyznał Morley. Może to dlatego, że odczuwam wyrzuty sumienia, pomyślał. - Może to ja zrobiłem - powiedział.

- Jakiś owad to zrobił - odparła Mary.

- Czy możemy już dokończyć modlitwę? - odezwała się Maggie Walsh.

- Jak to jest, że modlitwę z prośbą o pomoc musimy wysyłać na sto pięćdziesiąt tysięcy kilometrów od planety, a przy tej nie trzeba nam żadnej elektroniki? - zapytał ją Seth. Znam odpowiedź, przemknęło mu przez myśl. Ta modlitwa... W gruncie rzeczy nie ma dla nas żadnego znaczenia, czy zostanie wysłuchana, czy nie. To tylko taki zwyczaj. Z tamtą sprawą wygląda zupełnie inaczej. W tamtej modlitwie prosimy o coś dla nas, nie dla Tallchiefa. Nagle poczuł się jeszcze bardziej przygnębiony niż do tej pory. - Zobaczmy się później - powiedział do Mary. - Idę rozpakować kartony, które przyniosłem z nosacza.

- Ale nie zbliżaj się do lądowiska - ostrzegła go żona. - Z samego rana trzeba będzie odszukać tego owada albo roślinę...

- Dobrze. - Morley skinął głową. — Pójdę prosto do naszej kwatery.

Wyszedł na dwór, a po chwili wchodził już po schodkach na ganek budynku mieszczącego kwatery mieszkalne.

Zasięgnę porady Księgi, pomyślał Seth Morley. Zaczął szukać w tekturowych pudłach, aż wreszcie znalazł swój egzemplarz Jak w wolnej chwili powstałem z martwych, co i Wam może się zdarzyć. Usiadłszy z książką na kolanach, położył na niej ręce, zamknął oczy, uniósł twarz ku górze i zapytał na głos:

- Kto lub co zabiło Bena Tallchiefa?

Następnie otworzył Księgę na chybił trafił, dotknął palcem miejsca na stronie i otworzył oczy.

Przeczytał to, co wskazywał jego palec: Niszczyciel Formy.

Niewiele nam to mówi, przemknęło mu przez myśl. Każda śmierć następuje w wyniku zdegenerowania się formy, co jest bezpośrednio związane z działaniem Niszczyciela.

Mimo to przestraszył się.

To mi nie wygląda na owada ani roślinę, pomyślał ponuro. Zdaje się, że chodzi o coś zupełnie innego.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Wstał ostrożnie i podszedł powoli do wejścia, a następnie, nie otwierając drzwi, odsunął zasłonę wiszącą w niewielkim oknie i wyjrzał w panującą na zewnątrz ciemność. Na ganku stał ktoś niezbyt wysoki, o długich włosach, ubrany w obcisły sweter, skąpy biustonosz, krótką spódniczkę, bez butów. Susie Smart przyszła złożyć mi wizytę, pomyślał, i otworzył drzwi.

- Hej - powiedziała z uśmiechem. - Mogę wejść i trochę porozmawiać?

Wpuścił ją do środka i pokazał Księgę.

- Zapytałem ją, kto lub co zabiło Bena Tallchiefa.

- I co odpowiedziała? - Usiadła, założyła nogę na nogę i nachyliła się, kiedy pokazał palcem to miejsce. - Niszczyciel Formy - przeczytała z kamienną twarzą. - To zawsze jest Niszczyciel Formy.

- Ale jednak coś to znaczy.

- Że to nie był owad? Skinął głową.

- Masz coś do jedzenia albo picia? - zapytała Susie. - Jakiegoś cukierka?

- Niszczyciel Formy szaleje na zewnątrz - powiedział.

- Nie strasz mnie.

- Właśnie, że chcę cię przestraszyć. Musimy wysłać modlitwę do sieci przekaźników. Zginiemy, jeżeli nie otrzymamy pomocy.

- Chodzący zjawia się i bez modlitwy - zauważyła Susie.

- Mam batonik Baby Ruth - powiedział. - Możesz się poczęstować. — Pogrzebał w walizce Mary, znalazł go i podał dziewczynie.

- Dziękuję - odparła i zdarła papier z jednego końca.

- Wydaje mi się, że jesteśmy skazani na zagładę - oświadczył.

- Cały czas jesteśmy skazani na zagładę. Na tym polega życie.

- Chodzi mi o bezpośrednie zagrożenie, nie o abstrakcyjne, takie jak wtedy, kiedy wybrałem dla Mary i dla mnie Morowego Kurczaka. Mors certa, hora incerta. To ogromna różnica wiedzieć, że się umrze, i wiedzieć, że się umrze w ciągu najbliższego miesiąca.

- Masz bardzo atrakcyjną żonę. Westchnął.

- Od jak dawna jesteście małżeństwem? - Wpatrywała się w niego uważnie.

- Od ośmiu lat.

Susie Smart poderwała się.

- Chodź do mojej kwatery. Pokażę ci, jak miło można sobie urządzić taki pokoik. Chodź, tu jest okropnie ponuro. - Z miną małej, sprytniej dziewczynki pociągnęła go za rękę i ku swemu zdziwieniu Morley przekonał się, że za nią idzie.

Przebiegli szybko przez ganek, mijając kilka kwater, i dotarli do drzwi pokoju Susie. Nie były zamknięte na klucz; nacisnęła klamkę i wprowadziła go do jasnego, ciepłego wnętrza. Czy uda się nam tak urządzić? - pomyślał, spoglądając na wiszące na ścianach obrazki, przytulne obicia i na niezliczone doniczki z roślinami. Niektóre kwitły, olśniewając przepychem barw.

- Miło tutaj - zauważył.

Susie zatrzasnęła za nimi drzwi.

- To wszystko, co powiesz? Potrzebowałam całego miesiąca, żeby to tak urządzić.

- Sama powiedziałaś, że tu jest miło. Roześmiała się.

- Ja mogę, ale ty, gość, powinieneś się okazać trochę hojniejszy.

- W porządku. Tu jest cudownie.

- Tak już lepiej. - Usiadła w czarnym, wyściełanym fotelu, oparła się wygodnie, zatarła ręce, po czym ponownie skoncentrowała na nim uwagę. - Czekam - oznajmiła.

- Na co?

- Żebyś złożył mi propozycję.

- Dlaczego miałbym to zrobić?

- Jestem tutejszą dziwką. Najprawdopodobniej z mojego powodu umrzesz na bolesny wzwód prącia. Nie słyszałeś o tym?

- Przyleciałem dopiero dzisiaj po południu - przypomniał jej.

- Ale na pewno ktoś już ci o tym powiedział.

- Ten, kto to robi, dostanie ode mnie w nos.

- Ale to prawda.

- Dlaczego?
- Doktor Babble twierdzi, że przyczyną są zaburzenia w moim mózgu.
- Ten Babble... Wiesz, co powiedział o moim spotkaniu z Chodzącym? Że to, co mówię, jest w większości nieprawdą.
- Doktor Babble ma spore zasoby złości. Lubi wszystkich kasować.
- Skoro o tym wiesz, to nie powinnaś zwracać na niego uwagi - zauważył Seth Morley.
- On tylko wyjaśnił, dlaczego taka jestem. Bo jestem. Spałam ze wszystkimi mężczyznami z wyjątkiem Wade'a Frazera. - Skrzywiła się i potrząsnęła głową. - On jest okropny.
- A co Frazer sądzi o tobie? - zapytał z ciekawością. - Bądź co bądź jest psychologiem, a przynajmniej podaje się za niego.
- Uważa, że... - Zamyśliła się na chwilę ze wzrokiem wbitym w sufit, gryząc delikatnie dolną wargę. - Że to poszukiwanie archetypu ojca-świata. Tak by w każdym razie powiedział Jung. Znasz Junga?
- Tak - odparł, choć w rzeczywistości słyszał niewiele więcej niż nazwisko. Podobno Jung położył fundamenty pod most łączący intelekt z religią; na tym kończyła się wiedza Morleya. - Rozumiem - dodał.
- Jung uważał, że nasz taki a nie inny stosunek do rodziców bierze się stąd, że stanowią dla nas uosobienie pewnych męskich i kobiecych archetypów. Na przykład istnieje wielki i zły ojciec-ziemia, dobry ojciec-ziemia, groźny ojciec-ziemia i tak dalej... To samo z kobietami. Moja matka była złą matką-ziemią, więc całą energię psychiczną skierowałam na ojca.
- Hmm... - mruknął. Nagle pomyślał o Mary. Nie dlatego, żeby się jej bał, ale co ona powie, kiedy przyjdzie do ich pokoju i zobaczy, że go tam nie ma? A gdyby, nie daj Boże, znalazła go tutaj, z Susie Dumb, która według własnych słów jest miejscową dziwką?
- Czy uważasz, że akt seksualny czyni człowieka nieczystym? - zapytała Susie.
- Czasami - odpowiedział odruchowo, z myślami zaprzątniętymi żoną. Serce waliło mu jak młotem, a w skroniach czuł tętent pulsu. - Spektowsky nie wyraża się na ten temat zbyt jasno - wymamrotał.
- Pójdiesz ze mną na spacer - poinformowała go Susie.
- Teraz? Dokąd? Dlaczego?
- Nie teraz. Jutro, kiedy będzie jasno. Zaprowadzę cię poza osiedle, gdzie zaczyna się prawdziwy Delmak--O. Tam, gdzie są różne dziwne rzeczy, które poruszają się tak, że możesz to dostrzec tylko kątem oka... I Budynek.
- Chciałbym go zobaczyć - powiedział zgodnie z prawdą.

Nagle wstała z fotela.

- Lepiej niech pan wraca do swojej kwatery, panie Morley.

- Dlaczego?

On także się podniósł, zbity z tropu.

- Dlatego, że jeśli pan tutaj zostanie, pańska atrakcyjna żona znajdzie nas i spowoduje zamieszanie, z którego będzie mógł skorzystać Niszczyciel Formy, według pana słów grasujący teraz na zewnątrz. - Roześmiała się, pokazując doskonale równe, białe zęby.

- Czy Mary może pójść z nami na spacer? - zapytał. Pokręciła głową.

- Nie. Tylko ty, dobrze?

Zawahał się, bo w głowie zakotłowało mu się od sprzecznych myśli. Odepchnął je od siebie i odpowiedział dopiero wtedy, kiedy odeszły.

- Jeżeli mi się uda.

- Spróbuj. Bardzo proszę. Pokażę ci wszystkie miejsca i istoty, które odkryłam.

- Czy są ładne?

- Niektóre. Dlaczego tak mi się przyglądasz? Niepokoisz mnie.

- Myślę, że jesteś nienormalna - powiedział.

- Jestem tylko szczerą - odparła. - Mówię po prostu: „Człowiek to sposób, w jaki plemniki produkują nowe plemniki”. To tylko praktyczne nastawienie do sprawy.

- Nie znam się zbyt dobrze na jungowskiej analizie, ale nie przypominam sobie, żeby... — zaczął Morley, lecz nagle przerwał, bo coś poruszyło się na granicy jego pola widzenia.

- O co chodzi? - zapytała Susie Smart.

Odwrócił się raptownie i tym razem zobaczył to wyraźnie: stojący na szafce mały, szary sześcian pełził powoli w kierunku krawędzi, po czym nagle znieruchomiał, jakby czując na sobie jego spojrzenie. Seth podszedł szybko do szafki i wziął do ręki tajemniczy przedmiot.

- Nie zrób mu krzywdy - poprosiła Susie. - Jest nieszkodliwy. Daj mi go. - Wyciągnęła rękę i Morley niechętnie rozprostował zaciśnięte palce.

Przedmiot przypominał maleńki budynek.

- Tak - powiedziała Susie, dostrzegłszy wyraz jego twarzy. - Pochodzi z Budynku. Przypuszczam, że

to coś w rodzaju jego potomstwa. Jest dokładnie taki sam jak on, tylko dużo mniejszy. - Wzięła go od Setha, przyjrzała mu się i odstawiła z powrotem na szafkę. - Jest żywy - dodała.

- Wiem - odparł Morley. Trzymając go w rękę, czuł, że to coś żywego. Budynek naciskał na jego palce, usiłując wydostać się na wolność.

- Są wszędzie - wyjaśniła Susie Smart. - Tam, na zewnątrz. - Wykonała nieokreślony ruch ręką. - Może jutro znajdziemy jednego dla ciebie.

- Nie chcę - powiedział.

- Będziesz chciał, kiedy pomieszkasz tu odpowiednio długo.

- Dlaczego?

- To coś w rodzaju towarzystwa, jakieś urozmaicenie. Pamiętam, jak będąc dzieckiem, znalazłam w naszym ogrodzie ropuchę z Ganimeda. Była taka piękna z tym swoim lśniącem płomieniem i długą, jedwabistą sierścią, że...

- Może to któryś z nich zabił Tallchiefa - przerwał jej Morley.

- Glen Belsnor rozebrał jeden na części - odparła. - Powiedział... - Zamyśliła się na chwilę. - W każdym razie chodziło o to, że są zupełnie nieszkodliwe. Reszta to był jakiś elektroniczny żargon, z którego nikt nic nie rozumiał.

- Potrafiłby poznać, gdyby coś było z nimi nie tak?

- Na pewno. - Skinęła głową.

- Macie... to znaczy mamy dobrego przywódcę - powiedział Seth. Ale nie wydaje mi się, żeby był wystarczająco dobry, dodał w duchu.

- Pójdziemy do łóżka? - zapytała Susie.

- Proszę?

- Chciałabym pójść z tobą do łóżka. Nie wiem, co myśleć o mężczyźnie, dopóki nie byłam z nim w łóżku.

- A co z kobietami?

- W ogóle nie wiem, co o nich myśleć. A co, uważasz, że śpiam też z kobietami? To zboczenie. Mogłaby to robić Maggie Walsh, ale nie ja. Ona jest lesbijką, wiesz? A może o tym też nie wiedziałeś?

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie. Ani żeby to była nasza sprawa. - Czuł się niepewnie i trzęsły mu się ręce. - Powinnaś się zwrócić do psychiatry - powiedział, ale w tej samej chwili

przypomniawszy sobie, że to samo radził mu Chodzący po Ziemi na parkingu nosaczy w kibucu Tekel Upharsin. Może my wszyscy powinniśmy się zwrócić do psychiatry, pomyślał. Ale nie do Wade'a Frazera. To całkowicie, nieodwołalnie wykluczone.

- Więc nie chcesz pójść ze mną do łóżka? Na pewno byłbyś zadowolony, pomimo twojej pruderii i zastrzeżeń. Jestem bardzo dobra, znam wiele sposobów. W tym takie, o których na pewno nigdy nie słyszałeś, bo sama je wymyśliłam.

- Zapewne korzystając z wieloletniego doświadczenia.

- Owszem. Zaczęłam, kiedy miałam dwanaście lat.

- Nie...

- Tak - powiedziała Susie, chwytając go za rękę. Jej twarz wykrzywiła się w rozpaczliwym grymasie, jakby walczyła o życie. Napięła wszystkie mięśnie, usiłując przyciągnąć go do siebie, ale nie udało się jej przezwyciężyć jego oporu.

Susie Smart poczuła, że mężczyzna odsuwa się od niej. Jest bardzo silny, pomyślała.

- Skąd masz taką siłę? - zapytała, ciężko dysząc. Z trudem mogła nabrać powietrza w płuca.

- Od noszenia kamieni - odparł z uśmiechem.

Chcę go mieć. Jest taki duży, zły, potężny... Mógłby mnie rozedrzeć na kawałki, pomyślała. Jej pragnienie rosło z każdą chwilą.

- Będiesz mój, bo tego chcę! - syknęła.

Muszę cię mieć, dodała w duchu. Skryję się pod tobą jak w wielkim cieniu, chroniącym przed słońcem i spojrzzeniami. Przygnieć mnie, pokaż mi prawdziwego siebie, bez upiększającego ubrania. Sięgnęła ręką do pleców i rozpięła skąpy biustonosz, a następnie wyciągnęła go spod swetra i rzuciła na fotel. Mężczyzna roześmiał się.

- Z czego się śmiejesz?

- Z twojego zamiłowania do porządku - odpowiedział. - Nie upuściłaś go na podłogę, tylko położyłaś na fotelu.

- Niech się szlag trafi! - prychnęła, zdając sobie sprawę, że i on, podobnie jak wszyscy, stroi sobie z niej żarty. - Dopadnę cię! - wysyczała i pchnęła go z całej siły. Tym razem udało się jej przesunąć go o kilka kroków w stronę łóżka.

- Hej, co robisz! - zaprotestował, ale Susie zyskała kolejnych kilka kroków. — Przestań! - krzyknął, lecz jej właśnie w tym momencie udało się przewrócić go na łóżko. Przytrzymała go kolanem, a sama nadzwyczaj sprawnie ściągnęła spódnice i rzuciła ją na podłogę.

- Widzisz? Wcale nie muszę zawsze być porządna. — Osunęła się na niego, obejmując go kolanami. - Nie mam natręctwa - dodała, pozbywając się resztek ubrania, po czym zaczęła rozpinąć mu koszulę. Jeden guzik oderwał się i niczym małe kółko potoczył po podłodze. Parsknęła śmiechem. Czuli się wspaniale. Ta część zawsze najbardziej ją podniecała; przypominała końcowy fragment polowania, w tym wypadku polowania na grubego zwierza cuchnącego potem, papierosami i strachem. Dlaczego on się mnie boi? Ale to zawsze wyglądało właśnie tak, musiała się z tym pogodzić. W gruncie rzeczy nawet to polubiła.

- Puść mnie! - wysapał, usiłując się wyzwolić spod jej ciężaru. - Jesteś cholernie... nieuczciwa! - wydusił z siebie, kiedy jego głowa znalazła się między jej kolanami.

- Mogę cię uszczęśliwić seksualnie — powiedziała. Zawsze to mówiła i czasem przynosiło to skutek, a czasem mężczyzna rezygnował z perspektyw, które przed nim roztaczała. - No, rusz się!

Drzwi pokoju otworzyły się gwałtownie. Susie instynktownie zerwała się z łóżka i stanęła wyprostowana, oddychając głośno i wpatrując się w postać stojącą w wejściu. Jego żona, Mary Morley. Susie błyskawicznie złapała ubranie; tej części bardzo nie lubiła i czuła potworną nienawiść do Mary Morley.

- Wynoś się stąd! - wrzasnęła. - To mój pokój!

- Seth! - krzyknęła piskliwie Mary. - Co się z tobą dzieje, na litość boską?! Jak mogłeś to zrobić?! - Z pobladłą twarzą ruszyła w kierunku łóżka.

- O, Boże! - wykrztusił Morley, siadając na łóżku i przyglądając włosy. - Ta dziewczyna jest szalona - wyjaśnił żonie płaczliwym tonem. - Nie miałem z tym nic wspólnego. Próbowałem się wyrwać. Chyba to widziałaś, prawda? Nie widziałaś, że chciałem uciec? Jak mogłaś tego nie widzieć?

- Gdybyś chciał stąd uciec, zrobiłbyś to! - stwierdziła jego żona tym samym głosem co poprzednio.

- Nieprawda! - jęknął błagalnie. - Przysięgam na Boga! Przygwoździła mnie, ale już prawie udało mi się oswobodzić. Nawet gdybyś nie weszła, i tak bym się wyrwał.

- Zabiję cię - powiedziała Mary Morley i rozejrzała się po pokoju w poszukiwaniu czegoś, czym mogłaby go uderzyć.

Susie znała doskonale ten ruch, to spojrzenie, ten wyraz niedowierzania i wściekłości na twarzy. Mary dostrzegła wazon stojący na szafce; z falującą gwałtownie pierśią podeszła, chwyciła go kurczowo, uniosła nad głowę...

W miniaturowym budyńeczku otworzyła się klapka i przez otwór wysunęła się lufa maleńkiego działa. Zauważyli to tylko Seth i Susie.

- Uważaj! - krzyknął Seth. Wyciągnął rękę, chwycił żonę za ramię i pociągnął ją mocno do siebie. Wazon roztrzaskał się na podłodze, a lufa obróciła się w poszukiwaniu nowego celu. W kierunku Mary Morley wystrzelił z niej wąski promień. Susie roześmiała się i cofnęła o krok.

Promień minął Mary, trafiając w ścianę. Natychmiast pojawiła się w niej spora dziura, przez którą wtargnęło do pokoju zimne nocne powietrze. Mary Morley zachwiała się i cofnęła o krok.

Seth pobiegł do łazienki, po czym wrócił, niosąc w ręku szklankę wody. Podbiegł do szafki i wlał jej zawartość do wnętrza małego budynku; lufa przestała się obracać.

- Chyba go załatwiłem - wychrypiał, oddychając astmatycznie.

Z miniaturowej budowli wydobyła się smużka dymu. Rozległo się krótkie brzęczenie, a następnie na blat szafki wyciekła niewielka kałuża gęstej, oleistej cieczy, mieszając się ze stojącą tam wodą. Budynek podskoczył, zatoczył się, wreszcie zupełnie znieruchomiał. Seth miał rację: załatwił go.

- Zabiłeś go - powiedziała oskarżycielskim tonem Susie.

- To on zabił Tallchiera - stwierdził Morley.

- Czy mnie też próbował zabić? - zapytała słabym głosem Mary. Rozejrzała się niepewnie po pokoju; wściekłość i zawziętość zniknęły bez śladu z jej twarzy. Błada jak kartka papieru usiadła ostrożnie i przez chwilę wpatrywała się w nieruchomą miniaturkę, po czym powiedziała do męża: - Chodźmy stąd.

- Powiem o tym Glenowi Belsnorowi - poinformował Seth Susie. Delikatnie, z wielką ostrożnością wziął budynek z szafki, postawił go sobie na dłoni i przez długą chwilę przypatrywał mu się bez słowa.

- Oswajałam go przez trzy tygodnie - powiedziała Susie Smart. - Teraz muszę sobie znaleźć nowy, przynieść go tutaj, nie dając się przy tym zabić, i oswoić go, jak tamten. - Czuła, jak w jej wnętrzu wzbierają coraz bardziej oskarżycielskie fale. - Zobacz, co narobiłeś - dodała i zaczęła zbierać swoje porzucane ubranie.

Seth objął żonę ramieniem i we dwoje ruszyli do drzwi.

- Niech was szlag trafi! - wrzasnęła Susie. Poszła za nimi, nie skończywszy się ubierać. - Co robimy jutro? - zapytała Seta. - Idziemy na spacer? Chcę ci pokazać...

- Nie - uciał ostro, a potem odwrócił się, mierząc ją przeciągłym, poważnym spojrzeniem. - Ty chyba naprawdę nie rozumiesz, co się stało - powiedział.

- Wiem, co się prawie stało - odparła Susie.

- Czy naprawdę ktoś musi zginąć, żebyś się obudziła? - zapytał.

- Nie - mruknęła, czując dziwny niepokój. Nie podobało jej się jego ostre, świdrujące spojrzenie. - Dobra - powiedziała wreszcie. - Skoro tak ci zależy na tej zabaweczce...

- Zabaweczce - powtórzył z przekąsem.

- Tak, zabaweczce. Jeżeli tak ci na niej zależy, to powinno cię interesować, co jest poza osiedlem. Nie rozumiesz? To model prawdziwego Budynku. Nie chcesz go zobaczyć? Ja byłam bardzo blisko. Tak blisko, że widziałam napis nad głównym wejściem. Nie nad tym, przez które wjeżdżają i wyjeżdżają ciężarówki, ale...

- Co to za napis? - zapytał Morley.

- A pójdziesz ze mną? Ty też - dodała, zwracając się do Mary Morley z największą uprzejmością, na jaką w tej chwili było ją stać. - Możecie iść oboje.

- Pójde sam - oznajmił Seth. - To zbyt niebezpieczne - powiedział do żony. - Nie chcę, żebyś tam szła.

- Nie chcesz, żebym tam szła, z zupełnie innych, oczywistych powodów - odparła Mary. Wydawała się jednak przygaszona i przestraszona, jakby strumień energii, który przemknął tuż koło jej głowy, pozbawił ją wszystkich uczuć i emocji oprócz nagiego, obezwładniającego strachu.

- Co to za napis nad wejściem? — powtórzył pytanie Morley.

- „Biczownia” - powiedziała po chwili wahania Susie.

- Co to znaczy?

- Nie jestem pewna, ale brzmi bardzo interesująco. Może tym razem uda nam się jakoś wejść do środka. Byłam już bardzo blisko, prawie przy ścianie, ale nie mogłam znaleźć bocznych drzwi, a bałam się, choć nie wiem dlaczego, wchodzić przez główne...

Seth Morley odwrócił się bez słowa i prowadząc oszołomioną żonę, wyszedł w ciemność. Susie została w swoim pokoju, sama i częściowo rozebrana.

- Suka! - zawołała za nimi, mając na myśli Mary. Zaraz potem zniknęli jej z oczu.

Rozdział siódmy

Seth Morley uzyskuje ze swoich licznych inwestycji żałośnie mały dochód.

- Nie próbuj się oszukiwać - powiedział Glen Belsnor. - Jeżeli to coś strzeliło do twojej żony, to tylko dlatego, że ta pokrecona damulka, Susie Dumb, Smart czy jak tam się nazywa, chciała, żeby to zrobiło. Można je wytresować.

Siedział zamyślony, trzymając w dłoni mały budynek i wpatrując się w niego z poważną miną.

- Gdybym jej nie złapał, mielibyśmy drugiego trupa - poinformował go Seth.

- Może tak, a może nie. Biorąc pod uwagę małą moc tych urzędzonek, prawdopodobnie tylko straciłaby przytomność.

- Promień zrobił dziurę w ścianie.

- Ściany są tu z cienkiego plastyku - odparł Belsnor. - Tylko jedna warstwa. Gdybyś chciał, mógłbyś wybić dziurę pięścią.

- Nie przejąłeś się tym zbyt.

Belsnor przygryzł w zamyśleniu dolną wargę.

- Przejąłem się całą sprawą. Co robiłeś z Susie w jej pokoju, do jasnej cholery? - Uniósł rękę. - Nie mów mi, wiem. Ona ma świra na punkcie seksu. Nie, nie chcę słyszeć żadnych szczegółów. - Przez chwilę bawił się martwą miniaturką Budynku. - Wielka szkoda, że nie zastrzelił Susie - mruknął częściowo do siebie.

- Z wami wszystkimi jest coś nie w porządku - powiedział Seth.

Belsnor uniósł kudłatą głowę i spojrzał na niego.

- W jakim sensie?

- Nie jestem pewien. To jakiś debilizm albo coś w tym rodzaju. Każdy z was zdaje się żyć w prywatnym, odseparowanym świecie, nie zwracając uwagi na innych. Zupełnie jakby... - zastanawiał się przez chwilę - jakby każdy chciał tylko tego, żeby zostawiono go w spokoju. Glen pokręcił głową.

- Wcale nie. Wszyscy chcemy się stąd wydostać. Może nie łączy nas nic innego, ale to jedno na pewno. - Podał Sethowi zniszczony budynek. - Zatrzymaj go na pamiątkę.

Morley cisnął go na podłogę.

- Idziesz jutro z Susie? - zapytał Belsnor.

- Tak.

- Możliwe, że znowu cię zaatakują.

- Nie interesuje mnie to ani się tego nie boję. Myślę, że mamy do czynienia z aktywnym przeciwnikiem, działającym na zewnątrz osiedla. Wydaje mi się, że to właśnie on... albo oni... zabił Tallchiefa, niezależnie od tego, co ustalił Babble.

- Jesteś tutaj nowy - powiedział Glen Belsnor. - Tallchief też był nowy, a teraz nie żyje. Myślę, że to ma ze sobą coś wspólnego. Moim zdaniem jego śmierć miała związek z nieznanymi warunkami panującymi na tej planecie. Tak więc tobie grozi takie samo niebezpieczeństwo, ale cała reszta...

- Uważasz, że nie powinienem iść.

- Idź, jak najbardziej, ale bądź bardzo ostrożny. Niczego nie dotykaj ani nie podnoś, miej oczy szeroko otwarte. Staraj się chodzić tylko za nią, nie pchaj się tam, gdzie ona nie była...

- Dlaczego nie pójdziesz z nami?

- A chcesz, żebym poszedł? - zapytał Belsnor, przypatrując mu się z uwagą.

- Jesteś teraz naszym przywódcą. Tak, uważam, że powinieneś pójść. Uzbrojony, ma się rozumieć.

- Ja... - Belsnor zastanawiał się przez chwilę. - Mógłbym na to odpowiedzieć, że powinienem zostać tutaj i zająć się naprawą nadajnika. Mógłbym powiedzieć, że zamiast włóczyć się po okolicy, powinieneś się skoncentrować na układaniu modlitwy. Jako przywódca muszę wziąć pod uwagę wszystkie aspekty sytuacji. Mógłbym powiedzieć, że...

- A ja mógłbym powiedzieć, że twoje „mógłbym powiedzieć” może nas wszystkich zabić.

- Mógłbyś nawet mieć rację. - Belsnor uśmiechnął się do jakichś swoich skrytych myśli. Uśmiech, w którym nie sposób było się doszukać śladu wesołości, pozostał na jego twarzy, zamieniając się w sardoniczne skrzywienie warg.

- Powiedz mi, co wiesz o ekologii planety - zażądał Seth Morley.

- Żyje tu organizm, który nazwaliśmy linem. Z tego, co się zorientowaliśmy, jest ich pięć albo sześć. Wszystkie bardzo stare.

- Co robią? Wytwarzają jakieś artefakty?

- Te słabsze nic nie robią, tylko siedzą tu i tam, natomiast te silniejsze kopiują.

- Kopiują?

- Powielają przedmioty, które się im przyniesie. Niewielkie przedmioty: zegarki, kubki, maszynki do golenia.

- Czy te kopie działają?

Belsnor poklepał się po kieszeni kurtki.

- Pióro, którego używam, to kopia. Ale... — Wyjął je i podał Morleyowi. - Widzisz, jak się rozkłada? - Powierzchnia wiecznego pióra była nierówna i chropawa, jakby pokryta pyłem. - Bardzo szybko się zużywają. To będzie działało jeszcze przez kilka dni, a potem zrobię sobie następną kopię z oryginalnego pióra..

- Dlaczego?

- Dlatego, że mamy ich mało, a w tych, które mamy, kończy się atrament.

- Co z pisaniem tymi skopiowanymi piórami? Czy tekst nie niknie po kilku dniach?

- Nie - odparł Belsnor, ale nie miał zbyt tęgiej miny.

- Nie jesteś pewien - stwierdził Seth.

Belsnor wstał, wyjął z kieszeni portfel i przez chwilę przeglądał wydobyte z niego kartki, po czym położył je przez Morleyem. Pismo było ciemne i wyraźne.

Do sali weszła Maggie Walsh, zobaczyła ich i podeszła bliżej.

- Mogę się przyłączyć?

- Jasne - powiedział odruchowo Belsnor. - Weź sobie krzesło. - Zerknął na Setha, a następnie oznajmił spokojnym tonem: - Parę minut temu budynek Susie Smart usiłował zabić żonę Morleya. Nie trafił, a Morley wylał na niego szklankę wody.

- Ostrzegałam ją, że one mogą być niebezpieczne.

- On był w porządku - odparł Belsnor. - To Susie jest niebezpieczna. Właśnie tłumaczyłem to Sethowi.

- Będziemy się za nią modlić - oświadczyła Maggie.

- A widzisz? - Belsnor zwrócił się do Setha Morleya. - Jednak troszczymy się o siebie. Maggie chce ocalić nieśmiertelną duszę Susie Smart.

- Módlcie się, żeby nie złapała nowego egzemplarza i nie wytresowała go tak jak tego.

- Wiesz co, Morley? Właśnie myślałem sobie nad tym, co ty sądzisz o nas - powiedział Glen Belsnor.

- W pewnym sensie masz rację: z nami rzeczywiście jest coś nie w porządku. Ale nie to, co ci się

wydaje. Naszą wspólną cechą jest to, że mamy wady. Weź na przykład Tallchiefa: nie domyśliłeś się od razu, że lubi zaglądać do butelki? Albo Susie. Jedyne, o czym potrafi myśleć, to kolejne seksualne podboje. Mogę spróbować zgadnąć, co tobie dolega. Jesteś otyły, więc pewnie jesz za dużo. Czy żyjesz tylko po to, żeby jeść, Morley? Zadałeś sobie kiedyś to pytanie? Babble jest hipochondrykiem, Betty Jo Berm lekomanką: jej życie mieści się w tych plastikowych fiolkach. Ten dzieciak Tony Dunkelwelt jest prawie cały czas w schizofrenicznym transie, który Babble i Frazer nazywają stuporem katatonicznym. Z kolei Maggie... - Wskazał na nią ręką. - Maggie żyje w iluzorycznym świecie modlitw i umartwień, służąc bogu, który w ogóle się nią nie interesuje. Widziałaś kiedyś Orędownika, Maggie? - zapytał ją.

Pokręciła przecząco głową.

- A Chodzącego po Ziemi?

- Nie - przyznała.

- Ani Konstruktora - uzupełnił Belsnor. - Albo weźmy Wade'a Frazer'a. Jego świat...

- A ty? - przerwał mu Seth. Belsnor wzruszył ramionami.

- Ja też mam własny świat.

- Jest wynalazcą - poinformowała Morleya Maggie Walsh.

- Ale nigdy nie udało mi się niczego wynaleźć - rzekł Glen. - Wszystko, co wynaleziono w ciągu ostatnich dwustu lat, pochodzi z wielobranżowych laboratoriów, gdzie pracują setki, a nawet tysiące ludzi. Teraz nie ma już prawdziwych wynalazców. Powiedzmy, że lubię się bawić w składanie różnych rzeczy z części elektronicznych. Znaczna część przyjemności, jakiej zaznaję na tej planecie, o ile nie cała, bierze się z montowania obwodów i układów, które nie mają żadnego zastosowania.

- Sen o sławie - mruknęła Maggie.

- Wcale nie - zaprotestował Belsnor, kręcąc głową. - Próbuję coś z siebie dać, nie chcę być tylko konsumentem, jak wy wszyscy. - Jego głos był ostry i bardzo poważny. - Żyjemy w świecie stanowiącym wynik pracy milionów ludzi, z których zdecydowana większość już nie żyje, a żaden nie doczekał się sławy ani uznania. Nie obchodzi mnie, czy to, co stworzę, uczyni mnie sławnym. Zależy mi tylko na tym, żeby być przydatnym i użytecznym, żeby zrobić coś, co przyda się ludzkości i na czym będzie można polegać, jak na czymś niezawodnym, co było od zawsze, choćby na agrafce. Czy ktoś wie, kto ją wymyślił? Nikt, a mimo to korzystają z niej ludzie w całej Galaktyce, wynalazca zaś...

- Agrafki zostały wynalezione na Krecie - przerwał mu Morley. - W czwartym albo piątym wieku przed naszą erą.

- W dziesiątym - poprawił go Belsnor.

- Więc jednak ma dla ciebie znaczenie, kiedy i gdzie zostały wynalezione.

- Kiedyś niewiele brakowało, żebym coś stworzył — ciągnął Belsnor. - Układ tłumiący. Mógł przerywać przepływ elektronów w każdym przewodniku w promieniu mniej więcej pięciu metrów. Mógłby się przydać jako broń, ale zamiast zasięgu pięciu metrów udało mi się osiągnąć tylko czterdzieści pięć centymetrów. Tak to się skończyło.

Umilkł i opuścił ponuro głowę, jakby próbował się schować w nie istniejącej skorupie.

- I tak cię kochamy - powiedziała Maggie. Belsnor spojrzał na nią.

- Bóg docenia nawet to, nawet próbę, która do niczego nie doprowadziła - dodała. - Zna motywy, jakie tobą kierowały, a motywy są najważniejsze.

- Nie miałyby żadnego znaczenia, gdyby ta cała kolonia wymarła - odezwał się Belsnor. - Nikt z nas niczego z siebie nie daje. Jesteśmy zaledwie pasożytami żyjącymi w organizmie Galaktyki. Świat nie wie, co tu robimy, a nawet gdyby wiedział, to zaraz by o tym zapomniał.

- Oto nasz przywódca - powiedział Seth Morley do Maggie. - Człowiek, który ma nas wszystkich utrzymać przy życiu.

- Zrobię to - odparł Belsnor. - Najlepiej, jak potrafię. Właśnie to będzie stanowiło mój wkład: wynalezienie urządzenia opartego na obwodach strumieniowych, które nas uratuje, rozbijając wszystkie zabawkowe armatki.

- Nie wydaje mi się, abyś mądrze postępował, nazywając coś zabawką tylko dlatego, że jest małe - zauważyła Maggie. - To by znaczyło, że sztuczna nerka też jest zabawką.

- Chyba właśnie na tym polega mój problem... - mruknął kwaśno Belsnor. - Nie wiem, co jest zabawką, a co nią nie jest, co oznacza, że nie wiem, co jest prawdziwe, a co nie. Statek-zabawka nie jest prawdziwym statkiem, a działo-zabawka nie jest prawdziwym działem, ale jeżeli może zabijać...

- Zastanawiał się przez chwilę. - Możliwe, że jutro każę wszystkim przeszukać dokładnie całe osiedle i pozbierać wszystkie budyneczki. Potem usypimy z nich stos i rozprawimy się z nimi.

- Czy coś jeszcze przybyło z zewnątrz do osiedla? - zapytał Seth Morley.

- Na przykład sztuczne muchy - odparł Glen Belsnor.

- Robią zdjęcia?

- Nie. Zdjęcia robią sztuczne pszczoły. Sztuczne muchy tylko latają i śpiewają.

- Śpiewają? - Wydawało mu się, że się przesłyszał.

- Mam tutaj jedną. - Belsnor pogrzebał w kieszeni i wyjął niewielkie plastikowe pudełko. — Przyłóż je do ucha. Mucha siedzi w środku.

- Co takiego śpiewają? - Seth przyłożył pudełeczko do ucha i natężył słuch. Rzeczywiście, z wnętrza dobiegał przytłumiony, słodki dźwięk, przypominający smyczki. Albo szum wielu skrzydeł, pomyślał.

- Znam tę muzykę, ale nie potrafię jej zidentyfikować. - Uzmysłowił sobie, że kiedyś bardzo lubił ten utwór. Musiał pochodzić z jakiejś odległej epoki.

- Zawsze śpiewają to, co lubisz - wyjaśniła Maggie Walsh.

Teraz to poznał: Granada.

- Niech mnie licho! - powiedział głośno. - Jesteście pewni, że to mucha?

- Możesz zajrzeć do środka - pozwolił mu Belsnor. - Tylko ostrożnie, żeby ci nie uciekła... Jest ich niedużo i trudno je złapać.

Seth Morley odsunął delikatnie przykrywkę pudełka; w środku ujrzał czarną muchę, przypominającą nieco taśmomuchy z Proximy 6 - dużą, włochatą, trzepoczącą skrzydełkami, o wystających, wielosegmentowych oczach, takich, jakie mają muchy. Pozbywszy się wątpliwości, zatrzasnął pokrywkę.

- Zdumiewające - przyznał. - Czy ona działa jak odbiornik, przechwytyjąc sygnał z nadajnika ukrytego gdzieś na planecie? To coś w rodzaju radia, prawda?

- Rozebrałem jedną na części - powiedział Belsnor. — To nie jest odbiornik. Muzyka wydobywa się z głośnika, ale jest wytwarzana przez samą muchę. Sygnał powstaje w miniaturowym generatorze i ma postać elektrycznego impulsu, zbliżonego do impulsu nerwowego u żywych organizmów. Sygnał może być nawet bardzo skomplikowany, bo z generatorem jest połączony element potrafiący zmieniać przewodnictwo. Co zaśpiewała dla ciebie?

- Granadę - odparł Seth Morley. Nagle zapragnął zatrzymać muchę, żeby dotrzymywała mu towarzystwa. - Sprzedasz mi ją? - zapytał.

- Sam sobie złap. - Belsnor odebrał mu pudełeczko i schował je do kieszeni.

- Jest tu jeszcze coś, co przybyło z zewnątrz, oprócz pszczoł, much, kopiarek i miniaturowych budynków?

- Inny rodzaj kopiarek, mniejszych od tamtych - powiedziała Maggie Walsh. - Ale one kopią bez przerwy tylko jedno.

- Co?

- Księgę Specktowsky'ego.

- I to wszystko?

- Wszystko, o czym wiemy - wyjaśniła Maggie. - Mogą być jeszcze jakieś rzeczy, których nie zauważyliśmy. - Spojrzała szybko na Belsnora.

Glen nic nie powiedział; znowu zagłębił się w swój prywatny świat, obojętny na to, co dzieje się

wokół niego.

Seth Morley ponownie wziął do ręki miniaturowy budynek.

- Jeżeli liny tylko powielają istniejące przedmioty, to na pewno nie wyprodukowały tego - stwierdził. - Musiało to zrobić coś dysponującego zaawansowaną wiedzą techniczną.

- Mogło to być kilkaset lat temu - odezwał się Belsnor, wstając. - Jakaś rasa, która już nie istnieje.

- I proces powielania trwał bez przerwy tyle lat?

- Owszem. Albo został wznowiony po naszym przybyciu. Specjalnie dla nas.

- Jak długo wytrzymują te budyneczki? Dłużej niż twoje pióro?

- Rozumiem, o co ci chodzi - odparł Glen. - Nie, nie niszczą się szybko, chyba. Może wcale nie są kopiami. Zresztą nie wydaje mi się, żeby to miało większe znaczenie. Przecież mogli je trzymać w magazynie, jako zapas na wypadek, gdyby na planecie pojawiło się coś takiego jak nasza kolonia.

- Czy w osiedlu jest jakiś mikroskop? Belsnor skinął głową.

- Jasne. U Babble'a.

- W takim razie pójdę do niego. - Morley ruszył w kierunku drzwi. - Dobranoc - rzucił przez ramię.

Nie otrzymał odpowiedzi: Maggie i Glena wydawało się zupełnie nie obchodzić, co robi ani co mówi. Czy ja też taki będę za kilka tygodni? - przemknęło mu przez myśl. Było to dobre pytanie i już wkrótce miał na nie uzyskać odpowiedź.

- Tak - zgodził się Babble. - Może pan skorzystać z mojego mikroskopu. - Był w kapciach, piżamie i pasiastym szlafroku ze sztucznej wełny. - Właśnie kładłem się spać. - Zobaczył w ręku Seta miniaturowy budynek. - Ach, to... Pełno ich tutaj.

Usiadłszy przy mikroskopie, Seth Morley otworzył domek, wytrząsnął z niego zawartość i położył ją pod obiektywem. Ustawił powiększenie na 600x i spojrzał w okular.

Wąskie ścieżki... Obwody drukowane, ma się rozumieć, na szeregach modułów. Oporniki, kondensatory, tranzystory... Źródło energii: ultraminiaturowa baterijka. Mógł dostrzec oś, na której obracało się działo, i coś przypominającego łuk germanowy, wytwarzający zapewne strumień energii. W pewnym sensie Belsnor miał rację, pomyślał Seth. Moc, mierzona w ergach, musi być niewiarygodnie mała.

Przyjrzał się silnikowi poruszającemu działo, a potem lufie. Widniał na niej jakiś napis; poprawił ostrość pokrętkiem mikrometrycznym i przeczytał słowa, które potwierdziły jego najgorsze obawy:

MADE AT TERRA, 35082R

Przedmiot został wyprodukowany na Ziemi. Nie stanowił wytworu jakiegokolwiek obcej cywilizacji ani nie był produktem istot z Delmak-O. Co do tego nie było najmniejszych wątpliwości.

Więc to jednak pan usiłuje nas zniszczyć, generale Treaton, pomyślał ponuro Seth. Nasz nadajnik, odbiornik... A do tego to żądanie, żebyśmy wszyscy przylecieli tu nosaczami. Czy to właśnie pan zabił Bena Tallchiefa? Oczywiście, że tak.

- Co pan odkrył? - zapytał Babble.

- Odkryłem, że generał Treaton jest naszym wrogiem i że nie mamy żadnych szans. - Morley odsunął się od mikroskopu. - Proszę spojrzeć.

Babble przyłożył oko do okularu.

- Nikt na to nie wpadł - odezwał się po pewnym czasie. - A przecież już dawno mogliśmy zbadać któryś z nich. Po prostu nikomu nie przyszło to na myśl. - Spojrzał niepewnie na Morleya. - Co teraz zrobimy?

- Przede wszystkim trzeba je zebrać, a także wszystko, co dostało się z zewnątrz do osiedla, i zniszczyć.

- To znaczy, że Budynek też jest z Ziemi. Seth Morley skinął głową.

- Owszem. - Bez wątplenia, pomyślał. - Stanowimy część eksperymentu - dodał.

- Musimy się wydostać z tej planety - oświadczył Babble.

- Nigdy się nam nie uda.

- Wszystko bierze swój początek w Budynku. Trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby go zniszczyć, ale nie bardzo wiem, jak powinniśmy się do tego zabrać.

- Chce pan zmienić swoje orzeczenie na temat śmierci Tallchiefa?

- Nie mam się na czym oprzeć. Mogę tylko stwierdzić, że prawdopodobnie został zamordowany za pomocą jakiegokolwiek broni, o której nie mamy najmniejszego pojęcia. Musiało to być coś, co spowodowało pojawienie się we krwi olbrzymiej ilości histaminy, a to z kolei stworzyło pozory, że chodzi o naturalne schorzenie dróg oddechowych. Jest jeszcze jedna możliwość, którą powinien pan wziąć pod uwagę: fałszerstwo. Bądź co bądź Ziemia jest teraz jednym ogromnym szpitalem psychiatrycznym.

- Ale są tam ściśle tajne wojskowe laboratoria badawcze. Opinia publiczna nic o nich nie wie.

- W takim razie skąd pan się dowiedział?

- Pracując jako biolog morski w kibucu Tekel Upharsin, często miałem z nimi do czynienia - powiedział Morley. - Kupowaliśmy od nich broń.

Ściśle rzecz biorąc, prawda przedstawiała się w ten sposób, że słyszał tylko plotki. Ale te plotki całkowicie go przekonały.

- Czy naprawdę widział pan Chodzącego po Ziemi? - zapytał Babble, przypatrując mu się uważnie.

- Tak - odparł Seth. - I mam wiadomości z pierwszej ręki na temat tajnych laboratoriów badawczych na Ziemi. Na przykład...

- Wierzę panu, że na pewno kogoś pan widział - przerwał mu Babble. - Kogoś, kogo pan nie znał, a kto nagle podszedł i powiedział coś, co powinno dla pana od razu być oczywiste: że nosacz, którego pan wybrał, nie nadaje się do użytku. Pan jednak miał zakodowane głęboko w umyśle... bądź co bądź powtarzano to panu od dziecka... że jeśli nagle zjawi się obok pana ktoś obcy i nie proszony zaofiaruje pomoc, to musi on być jedną z Manifestacji Boga. Proszę się jednak przez chwilę zastanowić: widział pan to, co spodziewał się zobaczyć. Uznał pan, że nieznajomy jest Chodzącym po Ziemi, bo tak każe panu myśleć Specktowsky w swojej Księdze, w którą powszechnie się wierzy. Ale ja w nią nie wierzę.

- Nie wierzy pan? - zapytał ze zdumieniem Seth Morley.

- Ani trochę. Nieznajomi... prawdziwi nieznajomi, zwyczajni ludzie... zjawiają się od czasu do czasu i udzielają dobrych rad, bo większa część ludzkości ma z zasady dobre intencje. Gdybym ja tamtędy przechodził, też zwróciłbym panu uwagę, że pański statek nie nadaje się do użytku.

- To by znaczyło, że Chodzący po Ziemi wcielił się w pana i że pan nim przez chwilę jest. Czasem zdarza się coś takiego. Właśnie na tym polega cud.

- Nie ma cudów. Spinoza dowiódł tego wiele wieków temu. Cud, jako naruszenie prawa natury, stanowiłby świadectwo słabości Boga. Oczywiście zakładając, że w ogóle istnieje jakiś Bóg.

- Dziś wieczorem wspomniał pan, że sam widział siedem razy Chodzącego po Ziemi - odparł nieufnie Morley; przyłapał doktora na niekonsekwencji. - I Orędownika.

- Chciałem przez to powiedzieć, że byłem świadkiem sytuacji, w których ludzie zachowali się tak, jak zachowałyby się na ich miejscu Chodzący po Ziemi, gdyby istniał - wyjaśnił gładko Babble. - Pański problem jest bardzo typowy: zapoczątkowało go nasze zetknięcie z niehumanoidalnymi inteligentnymi rasami, w tym także tymi, które nazywamy „bogami”, mieszkającymi na „boskich planetach”. Są od nas o tyle bardziej rozwinięte, że jesteśmy dla nich tym, czym dla nas, powiedzmy, psy albo koty. Psu lub kotu człowiek wydaje się Bogiem, bo potrafi dokonywać różnych boskich czynów. Ale te pseudobiologiczne, ultrainteligentne formy życia zamieszkujące „boskie planety” stanowią taki sam produkt naturalnej ewolucji jak my. Kiedyś i my możemy osiągnąć taki poziom, a kto wie, czy nawet nie wyższy... Nie twierdzę, że tak będzie na pewno, tylko że jest to możliwe. - Wycelował palec w Morleya. - Nie oni stworzyli wszechświat. Nie są Manifestacjami Konstruktora. Wszystko, na czym się opieramy, to ich werbalne oświadczenia, że nimi są. Dlaczego mamy im wierzyć? Oczywiście, jeśli ich zapytamy, czy są Bogiem i czy stworzyli wszechświat, odpowiedzą twierdząco. My zrobilibyśmy to samo. W szesnastym i siedemnastym wieku biali ludzie wmawiali to tubylcom z Ameryki Północnej i Południowej.

- Ale Hiszpanie, Anglicy i Francuzi byli kolonistami. Mieli powody, żeby udawać bogów. Weźmy na przykład Corteza, który...

- Istoty z tak zwanych „boskich planet” kierują się podobnymi motywami.

- To znaczy jakimi? - Seth czuł, że stopniowo ogarnia go coraz większy gniew. - Są jak święci. Medytują, słuchają naszych modlitw, o ile uda im się je przechwycić, i spełniają nasze prośby, na przykład tę, którą przedstawił im Ben Tallchief.

- Wysłali go tutaj na śmierć. Czy to w porządku?

Sethowi również nie dawało to spokoju, i to już od chwili, kiedy po raz pierwszy zobaczył martwe, nieruchome ciało Tallchiefa.

- Może o tym nie wiedzieli — powiedział bez większego przekonania. - Przecież Specktowsky mówi wyraźnie, że Bóg nie jest wszechwiedzący. Nie wiedział o tym, że istnieje Niszczyciel Formy, że sam zostanie obudzony przez koncentryczne kręgi promieniowania, które wypełnią wszechświat, ani o tym, że Niszczyciel Formy pojawi się w tymże wszechświecie, a tym samym w czasie, i zniszczy wszystko, co Konstruktor stworzył na swój obraz i podobieństwo, tak że teraz już nic nie jest takie, jakie było przedtem...

- Zupełnie jak Maggie Walsh. Ona też mówi w ten sposób. - Doktor Babble parsknął krótkim, chrapliwym śmiechem.

- Nigdy w życiu nie spotkałem ateisty - powiedział Seth Morley. W rzeczywistości kiedyś spotkał jednego, ale to było wiele lat temu. - To bardzo niezwykle w naszych czasach, kiedy mamy niezbite dowody na istnienie Boga. Rozumiem, że ateizm był bardzo rozpowszechniony w dawnych wiekach, kiedy religia opierała się wyłącznie na wierze i rzeczach niedostrzegalnych, ale teraz jest już zupełnie inaczej. Nawet Specktowsky zwrócił na to uwagę.

- Chodzący po Ziemi jest kimś w rodzaju anti-Człowieka z Porlock - wycedził z sardonicznym uśmiechem doktor Babble. - Zamiast przyłożyć rękę do jakiegoś korzystnego zjawiska lub wydarzenia... - Przerwał w pół zdania.

Otworzyły się drzwi i stanął w nich mężczyzna ubrany w roboczą kurtkę z miękkiego plastyku, spodnie ze sztucznej skóry i wysokie buty. Miał ciemne włosy, twarz o silnych rysach - wysokie kości policzkowe, jasne, duże oczy - i mógł sobie liczyć nieco poniżej czterdziestu lat. Wyłączył trzymaną w ręce latarkę i stał w milczeniu, przyglądając się Babble'owi i Morleyowi. Po prostu stał i czekał. Pewnie jakiś mieszkaniec osiedla, którego jeszcze nie widziałem, pomyślał Seth Morley. Jednak kiedy zerknął na Babble'a i spostrzegł wyraz jego twarzy, zrozumiał, że doktor także nigdy go jeszcze nie widział.

- Kim pan jest? - wychrypiał Babble.

- Właśnie tu przyleciałem nosaczem - odparł mężczyzna niskim, cichym głosem. - Nazywam się Ned Russell. Jestem ekonomistą.

Wyciągnął rękę do Babble'a, który uściskał ją niepewnie.

- Wydawało mi się, że wszyscy już są - powiedział lekarz. - Jest tu trzynaście osób. Tyle, ile miało być.

- Poprosiłem o przeniesienie i zostałem skierowany tutaj, na Delmak-O. - Russell wymienił uścisk dłoni z Morleyem.

- Mogę zobaczyć rozkaz przeniesienia? Russell sięgnął do kieszeni kurtki.

- Dziwnie tutaj żyjecie. Prawie żadnych świateł, nie działa automatyczne naprowadzanie... Przy lądowaniu musiałem przejść na ręczne sterowanie, a nie jestem w tym zbyt dobry, jeśli chodzi o nosacze. Zostawiłem go z innymi, na lądowisku zaraz za budynkami.

- Musimy więc powiedzieć Belsnorowi o dwóch sprawach - odezwał się Seth Morley. - O napisie we wnętrzu miniaturowego budynku. I o nim.

Ciekawe, co okaże się ważniejsze, pomyślał. W tej chwili nie był w stanie tego przewidzieć. Wszystkie elementy składały się na równanie, którego wynik mógł ich ocalić albo doprowadzić do zagłady. Na razie szansę były równe.

Susie Smart przemykała pod osłoną nocy w kierunku kwatery Tony'ego Dunkelwelta. Miała na sobie czarną halkę i pantofle na wysokich obcasach. Wiedziała, że chłopak bardzo to lubi.

Puk, puk.

- Kto tam? - zapytał niewyraźny głos.

- Susie. - Nacisnęła klamkę. Drzwi nie były zamknięte na klucz, więc weszła do środka.

Tony Dunkelwelt siedział ze skrzyżowanymi nogami na środku pokoju przed zapaloną świeczką. Miał zamknięte oczy i bez wątplenia znajdował się w transie. Wydawało się, że jej nie poznaje ani nawet nie dostrzega, ale przecież przed chwilą zapytał, kto puka.

- Mogę wejść?

Obawiała się jego transów, bo zawsze odgradzał się całkowicie od normalnego świata. Czasami siedział tak wiele godzin, a kiedy potem pytano go, co widział, mówił niewiele albo wcale.

- Nie chciałabym przeszkadzać - dodała, kiedy nie doczekała się odpowiedzi.

- Witaj — powiedział Tony obojętnym, modulowanym głosem.

- Dziękuję - odparła z ulgą. Usiadła na prostym krześle, wyjęła papierosa, zapaliła go i przygotowała się na długie oczekiwanie.

Ale tym razem zupełnie nie miała ochoty czekać.

Dotknęła go ostrożnie czubkiem pantofla.

- Tony?

- Tak.

- Powiedz mi, Tony, co widzisz? Inny świat? Widzisz bogów zajętych spełnianiem dobrych uczynków? A może Niszczyciela Formy? Jak on wygląda?

Oprócz Tony'ego Dunkelwelta nikt nigdy nie widział Niszczyciela Formy. Tylko on miał okazję stanąć oko w oko z kwintesencją zła. Właśnie dlatego Susie bała się interweniować, kiedy pogrążał się w jednym ze swoich transów. Wołała pozostawić go samemu sobie, żeby stopniowo wrócił ze świata wizji do normalnej, codziennej odpowiedzialności.

- Nie mów nic do mnie - wymamrotał Tony. Oczy miał wciąż zamknięte, a twarz napiętą i czerwoną.

- Otrząśnij się na chwilę - poprosiła. - Powinieneś być w łóżku. Chcesz pójść do łóżka, Tony? Na przykład ze mną? - Położyła rękę na jego ramieniu, ale on odsunął się nieco, tak że jej dłoń zawisała w powietrzu. - Pamiętasz, jak powiedziałeś, że kochasz mnie, bo jeszcze nie jesteś prawdziwym mężczyzną? Jesteś nim, Tony. Ja się na tym znam, możesz mi wierzyć. Zawsze ci powiem, kiedy jesteś mężczyzną, a kiedy nie, gdyby to ci się kiedyś zdarzyło. Ale do tej pory byłeś nawet kimś więcej niż mężczyzną. Czy wiesz, że osiemnastolatek może mieć nawet siedem orgazmów w ciągu dwudziestu czterech godzin? - Czekwała, ale on się nie odzywał. - To całkiem niezłe - dodała.

- Istnieje bóg ponad Bogiem - powiedział nagle Tony. - Ten, który obejmuje wszystkie cztery.

- Cztery? Co cztery?

- Cztery Manifestacje. Konstruktor, Orę...

- Kto jest czwartą?

- Niszczyciel Formy.

- Chcesz powiedzieć, że możesz się połączyć z bogiem, który łączy Niszczyciela Formy z tamtymi trzema? Przecież to niemożliwe, Tony! Bogowie są dobrzy, a Niszczyciel Formy jest zły.

- Wiem o tym - powiedział markotnie. - Właśnie dlatego to, co widzę, jest takie niesamowite: bóg nad bogami, którego nie dostrzega nikt oprócz mnie.

Umilkł i znowu pogrążył się w transie.

- Jak możesz nazywać rzeczywistością coś, czego nie widzi nikt oprócz ciebie? - zapytała Susie. - Specktowsky nic nie wspominał o żadnym superbogu. Myślę, że to wszystko jest tylko w twojej głowie. - Miała wrażenie, że w pokoju zrobiło się bardzo zimno, a papieros parzył ją w nos. Jak zwykle za długo go paliła. - Chodźmy do łóżka, Tony! - powiedziała dziarsko i zgasiła papierosa. - Chodźmy. - Schyliła się i chwyciła go za ramię, ale chłopak pozostał nieruchomy jak skała.

Czas mijał, a on wciąż siedział na podłodze, zaciskając powieki.

- Jezu! - parsknęła gniewnie. - Do diabła z tym wszystkim! Idę sobie. Dobranoc. - Podniósłszy się z krzesła, doszła do drzwi, otworzyła je i spojrzała na niego. - Mogłoby być tak fajnie, gdybyśmy poszli do łóżka - powiedziała błagalnie. - Czy coś ci się we mnie nie podoba? Na pewno mogłabym to zmienić. Ostatnio dużo czytałam. Okazało się, że istnieje sporo pozycji, o których nie miałam pojęcia. Chciałabym cię ich nauczyć, bo wyglądają bardzo interesująco.

Tony Dunkelwelt otworzył oczy i utkwiał w dziewczynie nieruchome spojrzenie. Nie mogła zidentyfikować wyrazu jego twarzy, ale była pewna, że zupełnie jej się nie podoba; zadrżała i zacięła rozcierać nagie ramiona.

- Niszczyciel Formy jest „całkowicie nie-Bogiem” - oświadczył Tony.

- Wiem o tym - odparła.

- Ale „całkowicie nie-Bóg” to nowa kategoria istot.

- Skoro tak twierdzisz...

- A Bóg obejmuje sobą wszystkie kategorie istot, w związku z czym może być także „całkowicie nie-Bogiem”, co przekracza zdolność pojmowania człowieka. Mimo to instynktownie zdajemy sobie z tego sprawę, nieprawdaż? Czy nie wolałabyś monizmu, sięgającego znacznie dalej niż nasz żaloszny dualizm? Spektowski był wielkim człowiekiem, ale ponad dualizmem istnieje większa, monistyczna struktura, której nie udało mu się dostrzec. Istnieje wyższy Bóg. - W dalszym ciągu nie spuszczał jej z oka. - Co o tym myślisz? — zapytał nieco bojaźliwie.

- Myślę, że to wspaniała sprawa! - odparła z entuzjazmem Susie. - To musi być cudownie: wpadać w transy i widzieć to wszystko co ty! Powinieneś napisać książkę, w której powiedziałabyś wszystkim, że Spektowski nie miał racji.

- Miał rację, tylko ja dostrzegłem więcej od niego. Kiedy już dotrze się na ten poziom, dwie przeciwstawne rzeczy mogą się okazać równe sobie. Właśnie tego staram się dowieść.

- A nie mógłbyś tego dowieść jutro? - zapytała, w dalszym ciągu drżąc i rozcierając zmarznięte ramiona. - Trzęsę się z zimna, jestem bardzo zmęczona, a na dodatek miałam dziś okropne przejście z tą przekłętą Mary Morley, więc proszę, chodźmy już do łóżka.

- Jestem prorokiem - oświadczył Tony. — Tak jak Chrystus, Mojżesz i Spektowski. Nigdy nie zostanę zapomniany.

Ponownie zamknął oczy. Wątlý płomyk świecy zamigotał i o mało nie zgasł, ale on nie zwrócił na to uwagi.

- Skoro jesteś prorokiem, to dokonaj jakiegoś cudu - zażądała Susie. Czytała kiedyś w Księdze, że wszyscy prorocy dysponują nadzwyczajnymi umiejętnościami. - Udowodnij mi to.

Tony otworzył jedno oko.

- Dlaczego koniecznie potrzebujesz znaku?

- Nie potrzebuję znaku, tylko chcę zobaczyć cud.

- Cud jest znakiem - wyjaśnił. - W porządku. Zrobię coś, co cię przekona. - Rozejrzał się z głęboką odrazą po pokoju. Susie uświadomiła sobie, że wyrwała go z transu. Wcale nie była tym zachwycona.

- Twoja twarz robi się czarna - poinformowała go. Dotknął ostrożnie swojej brwi.

- Nie czarna, tylko czerwona, ale światło świecy nie zawiera całego widma, więc wydaje się czarna.

Dźwignął się na nogi i zaczął chodzić po pokoju, trąc podstawę karku.

- Jak długo tak siedziałeś? - zapytała.

- Nie wiem.

- Prawda, przecież przy tym traci się poczucie czasu. - Słyszała kiedyś, jak o tym mówił. Już to napawało ją niesłychanym zdumieniem. - Dobra, zamień to w kamień - poleciała. Wzięła w dłonie leżący na stole bochenek chleba i podeszła do chłopca, czując się odrobinę tak, jakby szykowała komuś świetny kawał. - Możesz to zrobić?

- Odwrotność cudu, jakiego dokonał Chrystus - powiedział poważnie.

- Dasz radę?

Wziął od niej chleb, ujął go w ręce i skoncentrował na nim spojrzenie, poruszając lekko ustami. Jego twarz zaczęła drżeć, jakby pod wpływem ogromnego wysiłku, przybierając jeszcze ciemniejszy kolor. Oczy zupełnie zniknęły, a ich miejsce zajęły dziury nieprzeniknionej czerni.

W pewnej chwili bochenek uniósł się, zawisł wysoko w powietrzu, stał się na moment prawie zupełnie przezroczysty... a potem upadł jak kamień na podłogę. Jak kamień? Susie przyklękła, żeby lepiej widzieć, zastanawiając się jednocześnie, czy przyćmiony blask świecy nie wprowadził jej w trans hipnotyczny. Bochenek chleba zniknął. To, co leżało na podłodze, przypominało duży, wygładzony przez wodę kamień o nieco jaśniejszych brzegach.

- Dobry Boże... — wymamrotała. - Mogę go podnieść? Nic mi się nie stanie?

Tony, którego oczy ponownie zabłyśły życiem, uklęknął przy niej.

- Była we mnie boska siła - powiedział. - To nie ja zrobiłem, to zrobiono przeze mnie.

Kiedy Susie wzięła kamień do ręki - okazał się bardzo ciężki, przekonała się, że jest ciepły i wydaje się niemal żywy. Żywa skała, przemknęło jej przez myśl. Jeżeli to coś organicznego, to może wcale

nie jest prawdziwym kamieniem. Uderzyła nim o podłogę. Był twardy i wydał odpowiedni odgłos. A więc jednak kamień.

- Mogę go zatrzymać? - zapytała. Jej podziw nie miał granic. Wpatrywała się z nadzieją w Tony'ego, pragnąc zrobić wszystko, czego sobie zażyczy.

- Możesz, Suzanne - odparł Tony spokojnym głosem. - Ale powstań i wróć do swego pokoju. Jestem znużony. - Istotnie wyglądał na bardzo zmęczonego. - Zobaczymy się rano przy śniadaniu. Dobrej nocy.

- Dobranoc — odpowiedziała. - Jeśli chcesz, mogę cię rozebrać i położyć do łóżka.

- Nie.

Podszedł do drzwi i otworzył je przed nią.

- Buzi. - Wspięła się na palce i pocałowała go w usta. - Dziękuję - powiedziała, czując się bardzo mała. - Dobranoc, Tony. Jeszcze raz dziękuję za cud. - Drzwi zaczęły się za nią zamykać, ale zatrzymała je zręcznie, wsuwając w szczelinę czubek pantofla. - Czy mogę o tym wszystkim opowiedzieć? To chyba pierwszy cud, jakiego dokonałeś, prawda? Chyba powinni o tym wiedzieć. Ale jeśli sobie nie życzysz, nie pisnę ani słowa...

- Chce mi się spać - powiedział i zatrzasnął drzwi.

Susie poczuła, że ogarnia ją zwierzęcy strach. Tego właśnie bała się najbardziej: trzasku drzwi zamykanych jej przed nosem przez mężczyznę. Odruchowo uniosła rękę, żeby zapukać... Była to ręka, w której trzymała kamień, więc zastukała nim niezbyt głośno, tylko tyle, żeby wiedział, jak bardzo chciałyby wejść do środka, ale żeby mu nie przeszkadzać, gdyby nie zechciał jej otworzyć.

Nie chciał. Nie usłyszała żadnego dźwięku ani poruszenia. Zupełnie nic.

- Tony? - szepnęła, przyciskając ucho do drzwi. - Jak chcesz - bąknęła i ściskając kamień w ręce, ruszyła przez ganek do swojego pokoju.

Kamień zniknął.

- Cholera! - zakląła głośno, nie bardzo wiedząc, jak powinna zareagować. Co się z nim stało? Rozpłynął się w powietrzu. Skoro tak, to znaczy, że był złudzeniem. Zahipnotyzował mnie i oszukał, pomyślała. Powinnam była wiedzieć, że to nieprawda.

Milion gwiazd rozbłysło zimnym, jaskrawym światłem, kąpiąc ją w swoim blasku. Uderzenie nastąpiło z tyłu; w chwili, w której ją dosięgło, poczuła jeszcze jego ogromny ciężar.

- Tony... - wyszeptała, zanim runęła w czekającą pustkę. Nic nie myślała ani nic nie czuła. Widziała tylko rozciągającą się poniżej i po bokach pustkę, która oczekiwała na nią, lecącą wiele kilometrów w dół.

Umarła na kolanach, zupełnie sama na ganku, sięgając rozpaczliwie ręką po coś, co nie istniało.

Rozdział ósmy

Glen Belsnor ignoruje ostrzeżenia rodziców i wyrusza na zuchwałą morską wyprawę.

Glen Belsnor leżał w ciemności i śnił. Śnił o sobie, widząc się tym, kim rzeczywiście był, to znaczy mądrym i pożytecznym twórcą przedmiotów. Potrafię to zrobić, myślał radośnie. Mogę się o nich zatroszczyć, pomóc im i ich chronić. Muszę ich chronić za wszelką cenę, pomyślał w swoim śnie.

We śnie podłączył kabel, wkręcił w odpowiednie miejsce urządzenie przerywające przepływ prądu, uruchomił zespół zdalnego sterowania.

Skomplikowany mechanizm ożył wysokim brzęczeniem. Generowane pole sięgało na wiele kilometrów we wszystkie strony. Nikomu nie uda się przedostać, pomyślał z zadowoleniem. Część jego lęków zniknęła, nie pozostawiając najmniejszego śladu. Kolonia jest bezpieczna. Dzięki mnie.

Po osiedlu chodzili ludzie ubrani w długie czerwone szaty. Nadeszło południe, które trwało tysiąc lat, i wszyscy zrobili się bardzo starzy. Trzęsący się, ze zmierzwionymi brodami - nawet kobiety - poruszali się jak owady. Przyjrzał się im dokładniej i stwierdził, że niektórzy są ślepi.

A więc jednak nie jesteśmy bezpieczni, uświadomił sobie. Nawet przy włączonym polu. Coś ich niszczy od środka. I tak wszyscy umrą.

- Belsnor!

Zanim otworzył oczy, wiedział już, co się stało.

Przez zasłony wiszące w oknie pokoju sączyło się szare światło wczesnego poranka. Jego samonakręcający się zegarek wskazywał siódmą rano. Glen odsunął kołdrę i usiadł; zadrżał, kiedy poczuł powiew chłodnego, świeżego powietrza.

- Kto? - zapytał ludzi tłoczących się w pokoju, skrzywił się i na chwilę przymknął oczy. Mimo nadzwyczajnej sytuacji resztki senności nie chciały go opuścić.

- Susie Smart - powiedział głośno Ignatz Thugg, ubrany w kolorową pizamę.

Belsnor wstał i zakładając szlafrok, ruszył bez słowa do drzwi.

- Wiesz, co to znaczy? - zapytał Wade Frazer.

- Tak - odpowiedział. - Dobrze wiem, co to znaczy.

- Była takim pogodnym duchem, przynosiła wszystkim radość swoją obecnością... - powiedziała Roberta Rockingham, ocierając oczy rąbkiem niewielkiej, lnianej chusteczki. - Jak ktoś mógł zrobić coś takiego? - Po jej pomarszczonych policzkach popłynęły łzy.

Belsnor szedł szybkim krokiem. Pozostali podążali za nim w milczeniu.

Leżała na ganku, zaledwie kilka kroków od drzwi swojego pokoju. Pochylił się nad nią i dotknął szyi. Zupełnie zimna. Ani śladu życia.

- Badał ją pan? - zapytał Babble'a. - Na pewno jest martwa? Nie ma żadnych wątpliwości?

- Spójrz na swoją rękę - odezwał się Wade Frazer.

Belsnor cofnął dłoń i zobaczył, że jest cała we krwi. Dopiero teraz zauważył szkarłatne wgłębienie w czaszce dziewczyny, blisko szczytu. Ktoś rozwalił jej głowę.

- Chce pan zmienić swoją opinię na temat śmierci Tallchiefa? - zapytał z przekąsem doktora Babble'a.

Nikt mu nie odpowiedział.

Belsnor rozejrzał się i spostrzegł leżący na ziemi bochenek chleba.

- Pewnie go niosła - mruknął.

- Ja jej go dałem - odezwał się Tony Dunkelwelt. Był blady jak ściana i mówił tak cicho, że ledwie go było słyhać. - Wyszła w nocy z mojego pokoju, a ja poszedłem do łóżka. Nie zabiłem jej. Nie wiedziałem, że nie żyje, dopóki nie usłyszałem doktora Babble'a i innych.

- Nikt nie twierdzi, że ją zabiłeś - pocieszył go Glen Belsnor. To prawda, pomyślał. Co noc biegała od pokoju do pokoju. Żartowaliśmy sobie z niej, a ona na pewno była trochę postrzelona, ale nigdy nikomu nie zrobiła krzywdy. Była najbardziej niewinną istotą, jaką można sobie wyobrazić, bo nawet nie zdawała sobie sprawy z niewłaściwości swojego postępowania.

Zbliżył się Russell. Wyraz jego twarzy świadczył o tym, że choć nie znał dziewczyny, to rozumiał, jak okropne było to, co ją spotkało i to, co teraz wszyscy przeżywali.

- Zobaczył już pan, co chciał zobaczyć? - zapytał go ostro Belsnor.

- Zastanawiam się, czy nie moglibyście wezwać pomocy przez nadajnik mojego nosacza - powiedział Russell.

- Jest za słaby - odparł Belsnor. - Te nadajniki w nosaczach są do niczego.

Wyprostował się z trudem, słysząc, jak trzeszczą mu stawy. To wszystko sprawka Terry, pomyślał, przypomniawszy sobie, co powiedzieli poprzedniego wieczoru Seth Morley i Babble, kiedy przyprowadzili do niego Russella. To sprawka naszego rządu. Jakbyśmy byli szczurami zamkniętymi w labiryncie śmierci, zmuszonymi do konfrontacji z ostatecznym przeciwnikiem, która będzie trwała tak długo, aż wyginiemy co do jednego.

Seth Morley odciągnął go na stronę, z dala od pozostałych.

- Jesteś pewien, że nie chcesz im tego powiedzieć? Chyba mają prawo wiedzieć, kto jest naszym przeciwnikiem.

- Nie chcę, żeby wiedzieli, bo ich morale jest już wystarczająco niskie — odparł Belsnor. - Gdyby się dowiedzieli, że to wszystko zorganizowała Terra, nie potrafiliby przeżyć. Dostaliby cholernego pierdolca.

- Rób, jak uważasz - mruknął Seth Morley. - To ciebie wybraliśmy na przywódcę. — Ale ton jego głosu świadczył o tym, że ma na ten temat całkowicie odmienne zdanie. Tak samo jak poprzedniego dnia wieczorem.

- W swoim czasie - powiedział Belsnor, zaciskając swoje długie, doświadczony palce na ramieniu Morleya. - Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila...

- Nigdy nie nadejdzie - uciął Morley, odsuwając się o krok. - Umrą, nie wiedząc o niczym.

Może tak właśnie będzie lepiej, pomyślał Belsnor.

Może w ogóle byłoby lepiej, żeby wszyscy ludzie, bez względu na to, kim są, umierali, nie wiedząc, kto to zrobił ani dlaczego.

Russell pochylił się, przewrócił ciało Susie na plecy i przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

- Była bardzo ładna - stwierdził wreszcie.

- Ładna, ale zwariowana - rzucił ostrym tonem Belsnor. - Miała nadmiernie rozbudzony popęd seksualny. Musiała iść do łóżka z każdym mężczyzną, jakiego spotkała. Damy sobie radę bez niej.

- Ty sukinsynu - wycodził rozwścieczony Seth Morley.

Glen nie odpowiedział.

- Proszę się pomodlić - zwrócił się Belsnor do Maggie Walsh. Nadszedł czas na ceremoniał śmierci, rytuał tak ściśle z nią związany, że nawet on nie potrafił sobie wyobrazić, że można by się obejść bez niego.

- Dajcie mi kilka minut - wyszeptała Maggie. - Ja... na razie nie mogę mówić. - Odwróciła się i zaczęła szlochać.

- W takim razie ja powiem modlitwę - oświadczył Belsnor z wściekłością.

- Proszę o zezwolenie na wyprawę badawczą poza teren osiedla - odezwał się Morley. - Russell chce iść ze mną.

- Po co? - zapytał Belsnor.

- Widziałem miniaturową kopię Budynku — wyjaśnił Seth spokojnym, cichym głosem. - Myślę, że

nadszedł już czas, żeby się zainteresować oryginałem.

- Weźcie ze sobą jeszcze kogoś — poradził Glen Belsnor. - Kogoś, kto zna teren.

- Ja pójdę - zgłosiła się Betty Jo Berm.

- Przydałby się jeszcze jakiś mężczyzna — nie ustępował Glen, choć jakiś wewnętrzny głos szeptał mu, że nie powinni się rozdzielać. Śmierć zabierała tylko tych, którzy byli sami. - Weźcie Frazera i Thugga — zdecydował. — Oczywiście B. J. też. - Oznaczało to podział grupy, ale ani Roberta Rockingham, ani Bert Kosler nie byli fizycznie zdolni do podjęcia takiego wysiłku. Żadne z nich jeszcze ani razu nie wyszło poza osiedle. - Zostanę tutaj z resztą - dodał.

- Wydaje mi się, że powinniśmy być uzbrojeni - powiedział Wade Frazer.

- Nie ma mowy - odparł Belsnor. - Jesteśmy już w wystarczająco złej sytuacji. Jeżeli będziecie mieli broń, pozabijacie się nawzajem, przez przypadek albo celowo.

Nie wiedział, dlaczego tak uważa, ale instynkt mu podpowiadał, że ma rację. Susie Smart, pomyślał. Może ciebie też zabił jeden z nas... Ten, który jest agentem Terry i generała Treatona.

Zupełnie jak w moim śnie, pomyślał. Wewnętrzny wróg. Wiek, wyniszczenie i śmierć. Pomimo ochronnego pola otaczającego osiedle. Właśnie to próbował mi powiedzieć mój sen.

- Chcę pójść z nimi - oświadczyła Maggie Walsh, trąc zaczerwienione od płaczu oczy.

- Dlaczego? - zapytał Glen. - Dlaczego wszyscy chcą opuścić osiedle? Przecież tutaj jesteśmy bezpieczni. - Jednak jego przekonanie o tym, że mówi nieprawdę, przedarło się na powierzchnię i dało się wyraźnie słyszeć w głosie. - W porządku - powiedział. - Powodzenia. - Następnie zwrócił się do Setha Morleya. - Spróbuj złapać jedną z tych śpiewających much. Chyba że znajdziesz coś ciekawszego.

- Postaram się - obiecał Morley, po czym odwrócił się i ruszył przed siebie. Ci, którzy zdecydowali się na udział w wyprawie, poszli za nim.

Już nie wrócą, pomyślał Belsnor. Patrzył w ślad za nimi, czując w piersi powolne, ciężkie uderzenia serca, jakby kołysało się tam wahadło kosmicznego zegara.

Wahadło śmierci.

Siedmioro ludzi szło wzdłuż pasa niskich krzewów, obserwując uważnie wszystko, co znajdowało się w polu widzenia. Prawie się do siebie nie odzywali.

Po pewnym czasie dotarli do nieznanych wzgórz, majaczących niewyraźnie za zasłoną unoszącego się w powietrzu pyłu. Dokoła rozrastały się bujnie zielone porosty, a ziemię pokrywała płatanina roślin. Czuli wyraźny, złożony zapach organicznego życia, nie przypominający niczego, z czym mieli okazję zetknąć się do tej pory. W oddali strzelały w niebo potężne kolumny pary i gejzery wrzącej wody, przeciskającej się ku powierzchni przez popękane skały. Gdzieś jeszcze dalej zaczynał się ocean,

szumiący za ruchomą zasłoną pyłu i pary wodnej.

Weszli na podmokły teren. Stopy zaczęły im grzęznąć w ciepłym błocie składającym się z wody, rozpuszczonych minerałów i rozkładającej się papki. Resztki porostów i pierwotniaków zabarwiały na różne kolory krople wilgoci osadzające się na mokrych skałach i gąbczastej roślinności.

W pewnej chwili Wade Frazer schylił się i podniósł jakieś przypominające ślimaka, jednonogie stworzenie.

- Prawdziwe - oznajmił. - Nie sztuczne, tylko prawdziwe.

Thugg trzymał w ręce gąbkę wyłowioną z niewielkiej, ciepłej kałuży.

- Ta jest sztuczna, ale są też takie same prawdziwe. To też jest sztuczne - dodał, chwytając wijącego się wściekle stworza przypominającego węża o kilku krótkich, klockowatych nogach. Thugg sprawnym ruchem oderwał stworzeniu głowę; natychmiast przestało się poruszać. - Zwyczajny mechanizm, widać wszystkie przewody. - Umieścił głowę na miejscu i znowu zaczęło się szaleńczo trzepotać. Kiedy Thugg wrzucił je do kałuży, odpłynęło pośpiesznie na drugą stronę.

- Gdzie jest Budynek? - zapytała Mary Morley.

- On tak jakby... zmieniał położenie - powiedziała Maggie Walsh. - Ostatni raz widziano go za gejzerami, przed tym łańcuchem wzgórz, ale wątpię, czy teraz tam będzie.

- Możemy przyjąć to miejsce za punkt odniesienia - zaproponowała Betty Jo Berm. - Kiedy dojdziemy tam, gdzie był przedtem, rozejdziemy się we wszystkie strony. - Umilkła, by po chwili dodać: - Szkoda, że nie mamy krótkofalówek. Bardzo by się nam przydały.

- To wina Belsnora - stwierdził stanowczo Thugg. - Jako przywódca powinien myśleć o takich sprawach.

- Podoba ci się tutaj? - zapytała Betty Jo Berm Seta Morley'a.

- Jeszcze nie wiem. - Być może z powodu śmierci Susie Smart czuł odrazę do wszystkiego, co widział. Nie podobało mu się to pomieszanie sztucznych form życia z prawdziwymi, bo odnosił przez to wrażenie, jakby znajdował się w prowizorycznych dekoracjach: wzgórza po lewej stronie i rozległy płaskowyż po prawej były namalowane na płótnie, a to wszystko, łącznie z ludźmi i osiedlem, zostało umieszczone w ogromnej, wysoko sklepionej kopule, nad którą siedzą naukowcy Treatona, przypominający komiksowe karykatury szalonych uczonych, i zagląдают do środka, śledząc mozolną wędrówkę maleńkich, śmiesznych ludzików.

- Odpocznijmy trochę - poprosiła Maggie Walsh z wciąż jeszcze szarą, wydłużoną twarzą. Jeszcze się nie otrząsnęła z szoku wywołanego śmiercią Susie. - Jestem zmęczona. Nie jadłam śniadania, a nie wzięliśmy ze sobą żadnych zapasów. Tę wyprawę trzeba było starannie zaplanować.

- Nikt z nas nie myśli zupełnie jasno - powiedziała ze współczuciem Betty Jo Berm. Wyjęła z kieszeni spódnicy fiolkę z pastylkami, wytrząsnęła kilka na dłoń i wybrała tę, która najbardziej jej

odpowiadała.

- Potrafi je pani łykać bez popicia? - zapytał Russell. Uśmiechnęła się.

- Oczywiście. Lekoman może połknąć pastylkę w każdych okolicznościach.

- Słabością B. J. są pastylki - wyjaśnił Russellowi Seth Morley, a następnie obrzucił go zamyślonym spojrzeniem. Czy nowy kolonista także ma, jak pozostali, jakąś słabość? A jeśli tak, to na czym ona polega?

- Myślę, że wiem, co gnębi pana Russella - odezwał się Wade Frazer nieprzyjemnym, zgryźliwym tonem. - Z tego, co widzę, ma obsesję na punkcie czystości.

- Czy to prawda? - zapytała Mary Morley.

- Obawiam się, że tak - odparł Russell i uśmiechnął się, pokazując nienagannie równe białe zęby.

Szli dalej, aż wreszcie dotarli do rzeki. Zatrzymali się, ponieważ była zbyt szeroka, żeby przejść ją w bród.

- Musimy pójść wzdłuż brzegu - powiedział Thugg i skrzywił się z niechęcią. - Byłem tu już kiedyś, ale nie przypominam sobie żadnej rzeki.

Frazer zachichotał i spojrzał na Seta.

- To coś dla pana, Morley. W końcu jest pan biologiem morskim.

- Bardzo dziwna uwaga — zareagowała natychmiast Maggie Walsh. - Czyżby chciał pan przez to powiedzieć, że krajobraz zmienia się zależnie od naszych życzeń?

- To miał być żart - prychnął pogardliwie Frazer.

- Ale to jednocześnie niezwykły pomysł - zauważyła Maggie. - Jak pamiętacie, Spektowski mówi o nas jako o „więźniach własnych oczekiwań i nadziei”, a jedną z podstawowych cech Klątwy jest to, że ma pozostać na zawsze wtopiona w pseudorealność tych dążeń, w związku z czym nigdy nie będziemy w stanie dostrzec świata takim, jakim jest naprawdę.

- Nikt nie widzi prawdziwej rzeczywistości - odparł Frazer. - Już Kant to udowodnił. Choćby dlatego, że przestrzeń i czas stanowią tylko niektóre ze sposobów jej postrzegania. Wiedzieliście o tym? - Wycelował palec w Seta Morleya. - Wiedział pan o tym, panie biologu morski?

- Tak - powiedział Seth, choć nigdy nie słyszał o Kancie, a tym bardziej nie czytał jego dzieł.

- Spektowski jednak twierdzi, że w końcu dostrzegamy autentyczną rzeczywistość - odparła Maggie Walsh. - Wtedy, kiedy Orędownik wyzwala nas z naszego świata i jego uwarunkowań, za swoim pośrednictwem uwalniając nas od ciężaru Klątwy.

- Czasem, jeszcze podczas fizycznego życia, udaje nam się dostrzec jej przeblyski - odezwał się Russell.
- Jednak tylko wtedy, gdy Orędownik zdecyduje się nam je pokazać.
- To prawda - zgodził się Russell.
- Skąd pan jest? - zapytał go Morley.
- Z Alfy Centauri 8.
- To kawał drogi stąd - zauważył Wade Frazer. Russell skinął głową.
- Wiem. Właśnie dlatego tak późno tutaj dotarłem. Leciałem prawie trzy miesiące.
- Skoro tak, to musiał pan dostać rozkaz przeniesienia jako jeden z pierwszych - powiedział Seth. - Znacznie wcześniej niż ja.
- Znacznie wcześniej niż ktokolwiek - dodał Frazer. Nie spuszczał wzroku z Russella, górującego nad nim o półtorej głowy. - Ciekaw jestem, po co ściągali tutaj ekonomistę. Przecież na tej planecie nie ma żadnej ekonomii.
- Jeżeli spojrzymy na to od tej strony, to właściwie nikt z nas nie jest tu potrzebny - wtrąciła się Maggie Walsh. - Nasze zdolności, nasze wykształcenie nie mają żadnego znaczenia. Nie wydaje mi się, żeby przy selekcji brano to pod uwagę.
- Jasne - zgodził się Thugg.
- To naprawdę dla ciebie takie jasne? - zapytała Betty Jo. - W takim razie co, twoim zdaniem, stanowiło główne kryterium?
- To, co powiedział Belsnor. Wszyscy jesteśmy nieudacznikami.
- Nie powiedział, że jesteśmy nieudacznikami, tylko że nie powiodło nam się w życiu - poprawił go Morley. Thugg wzruszył ramionami.
- To jedno i to samo. Jesteśmy śmieciami Galaktyki. Przynajmniej raz Belsnor miał rację.
- Mnie do tego nie licz - poprosiła Betty Jo. - Na razie wcale nie mam ochoty przyznawać się do tego, że jestem „śmieciem Galaktyki”. Może jutro.
- Kiedy umieramy, tonimy w nicości - wyszeptała jakby do siebie Maggie Walsh. - W nicości, w której już jesteśmy i z której może nas wydobyć tylko Bóg.
- A więc Bóg próbuje nas ocalić, a generał Treaton usiłuje... - Seth Morley umilkł w pół zdania. Powiedział za dużo, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

- W końcu właśnie na tym polega życie - powiedział spokojnym, neutralnym tonem Russell. - To dialektyka wszechświata. Jedna siła, czyli Niszczyciel Formy we wszystkich swoich manifestacjach, ciągnie nas ku śmierci, a drugą jest Bóg i jego trzy Manifestacje, teoretycznie zawsze przy naszym boku. Prawda, panno Walsh?

Potrząsnęła głową.

- Wcale nie teoretycznie. Naprawdę.

- Widzę Budynek - wyszeptała Betty Jo Berm.

Seth Morley także go zobaczył. Osłoniwszy oczy przed blaskiem stojącego wysoko na niebie słońca, przyglądał mu się uważnie. Szary i wielki, wznosił się na granicy jego pola widzenia. Prawie dokładnie równoboczny sześciąt z dziwacznymi wieżyczkami... Prawdopodobnie przewody wentylacyjne. Unosił się nad nim słup dymu. To jakaś fabryka, pomyślał Morley.

- Chodźmy - powiedział Thugg, ruszając w tamtą stronę.

Poszli za nim, rozciągnięci w nierówny szereg.

- Wcale się nie zbliżamy - zauważył po pewnym czasie Wade Frazer z bezproduktywnym szyderstwem w głosie.

- Więc chodźmy szybciej - zaproponował Thugg, uśmiechając się krzywo.

- To nic nie da. - Maggie Walsh zatrzymała się raptownie. Chwytała łapczywie powietrze szeroko otwartymi ustami, a na ubraniu wokół jej pach wystąpiły ciemne plamy potu. - Zawsze jest tak samo. Idzie się i idzie, a on coraz bardziej się oddala.

- I nigdy nie można do niego podejść - dodał Wade Frazer. On także przystanął i zajął się zapalaniem podniszczonej fajki z drzewa różanego. Seth Morley zwrócił uwagę, że psycholog używa chyba najgorszego i najmocniejszego tytoniu na świecie. Kiedy z fajki buchnęły kłęby dymu, w powietrzu rozszedł się ohydny smród.

- W takim razie co robimy? - zapytał Russell.

- Może tobie uda się coś wymyślić - mruknął Thugg. - Może gdy zanikniemy oczy i będziemy iść szerokim łukiem, a potem je otworzymy, okaże się, że jesteśmy tuż przy nim.

Morley ponownie osłonił oczy i spojrzał w stronę Budynku.

- Zbliża się - powiedział.

Był tego całkowicie pewien. Widział teraz wyraźnie wszystkie wieżyczki, a słup dymu wydawał się znacznie mniej gęsty. Może to jednak nie jest fabryka, pomyślał. Jeżeli zbliży się jeszcze trochę, może uda mi się poznać, co to jest. Wyteżał wzrok, a inni robili to samo.

- To złudzenie - odezwał się po chwili Russell. - Obraz z projektora umieszczonego nie dalej niż kilometr od nas. Z bardzo nowoczesnego wideoprojektora, ale mimo to nie udało im się wyeliminować lekkiego drżenia.
- W takim razie co pan proponuje? — zapytał Seth. - Jeżeli ma pan rację, to nie ma sensu do niego iść, bo go po prostu nie ma.
- Jest, ale nie w tym miejscu - poprawił go Russell. - To, co widzimy, jest złudzeniem, ale prawdziwy Budynek na pewno istnieje i sądzę, że jest gdzieś niedaleko stąd.
- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?
- Znam metody, jakimi posługuje się Interplan Zachód. To złudzenie ma na celu oszukanie tych, którzy wiedzą o istnieniu Budynku i mają nadzieję go odszukać. Kiedy to widzą, myślą, że im się udało. Jeżeli ktoś nie wie, że gdzieś w okolicy powinien być Budynek, nie zwróci na to żadnej uwagi. Ten sposób sprawdził się znakomicie w czasie wojny między Interplanem Zachód i wyznawcami kultu wojowników z Rigel 10. Pociski Rigelan spadały bez przerwy na obrazy naszych kompleksów przemysłowych, bo ten rodzaj iluzji pozostawia wyraźny ślad na ekranach radarów i skanerów komputerowych. Ma półmaterialną strukturę i nie jest mirażem w ścisłym znaczeniu tego słowa.
- Cóż, pan chyba coś wie na ten temat - powiedziała Betty Jo Berm. - Jest pan ekonomistą i na pewno interesował się pan tym, co się dzieje podczas wojny z kompleksami przemysłowymi. - Mimo to jej głos nie zdradzał większego przekonania.
- Czy właśnie dlatego się odsuwa, kiedy się do niego zbliżamy? - zapytał Morley.
- Po tym go poznałem - odparł Russell.
- Proszę nam powiedzieć, co powinniśmy zrobić - poprosiła go Maggie Walsh.
- Zastanówmy się... - Russell westchnął i zamyślił się. Pozostali czekali cierpliwie. - Prawdziwy Budynek może być wszędzie. Nie istnieje żaden sposób, żeby odróżnić go z daleka od złudzenia, bo gdyby istniał, cała metoda nie miałaby najmniejszego sensu. Wydaje mi się... — Wyciągnął przed siebie rękę. — Wydaje mi się, że cały ten płaskowyż stanowi złudzenie, a ściślej mówiąc, negatywną halucynację oddziałującą na każdego, kto patrzy w tamtą stronę. Z negatywną halucynacją mamy do czynienia wtedy, kiedy nie widzimy tego, co powinniśmy widzieć - wyjaśnił.
- W porządku - mruknął Thugg. - Chodźmy na ten płaskowyż.
- Będziemy musieli przejść przez rzekę - zauważyła Mary Morley.
- Czy Specktowsky pisze coś na temat chodzenia po wodzie? - zapytał Wade Frazer Maggie Walsh. - Teraz bardzo by się nam to przydało. Rzeka wygląda na cholernie głęboką, a wcześniej ustaliliśmy, że nie będziemy jej forsować.
- Rzeka też może być złudzeniem - zauważył Seth Morley.

- Jest prawdziwa. - Russell podszedł do samego brzegu, nachylił się i zaczerpnął garść wody.
- Zupełnie serio: czy Specktowsky wspomina coś o chodzeniu po wodzie? - powtórzyła Betty Jo pytanie Frazera.
- Można to zrobić, ale tylko wtedy, gdy jest się w towarzystwie Boga - odparła Maggie. - Bóg poprowadzi jego, lub ich, na drugą stronę. Bez jego pomocy każdy utonie.
- Może pan Russell jest Bogiem - zauważył Thugg, po czym dodał, zwracając się bezpośrednio do niego: — Jest pan jedną z Manifestacji Boga? Przybył pan, żeby nam pomóc? Jest pan Chodzącym po Ziemi?
- Obawiam się, że nie - odpowiedział Russell swoim spokojnym, obojętnym głosem.
- Proszę nas poprowadzić przez wodę - zażądał Seth Morley.
- Nie mogę. Jestem tylko człowiekiem, jak wy wszyscy.
- Mimo to niech pan spróbuje - nie ustępował Seth.
- To dziwne, że wzięliście mnie za Chodzącego po Ziemi - powiedział Russell. - Już kiedyś mi się to zdarzyło. Pewnie dlatego, że nie prowadzę osiadłego życia i wszędzie jestem obcy, a jeśli uda mi się zrobić coś mądrego, ktoś natychmiast wpada na genialny pomysł, że muszę być trzecią Manifestacją Boga.
- Bo może pan nią jest - odparł Morley, przypatrując mu się uważnie. Usiłował sobie przypomnieć, jak wyglądał Chodzący po Ziemi, kiedy objawił mu się w kibucu Tekel Upharsin. Podobieństwo było niewielkie, lecz dziwne przeczucie w dalszym ciągu szeptało mu do ucha, że jego podejrzenia są słuszne. Dopadło go bez ostrzeżenia: w jednej chwili uważał Russella za zwyczajnego człowieka, a już w następnej dostrzegł w nim wcielenie Boga. Nadal tak uważał.
- Wiedziałbym, gdybym nim był - przekonywał ich Russell.
- Może pan wie. Może pan Morley ma rację - powiedziała Maggie Walsh. Ona także taksowała uważnym spojrzeniem Russella, który sprawiał wrażenie lekko zażenowanego. - Jeżeli pan nim jest, to prędzej czy później i tak się dowiemy.
- Widziała pani kiedyś Chodzącego? - zapytał ją Russell.
- Nie.
- Nie jestem nim.
- Może po prostu wejdźmy do tej cholernej wody i przekonajmy się, czy uda nam się przejść na drugą stronę - zaproponował zniecierpliwiony Thugg. - Jeżeli będzie za głęboka, to do diabła z tym wszystkim. Wrócimy i już. Ja idę. - Ruszył w kierunku rzeki i zaczął wchodzić w błękitnoszarą wodę, zanurzając się coraz bardziej. Inni poszli za nim.

Dotarli na drugi brzeg bez żadnych kłopotów. Rzeka na całej swej szerokości była stosunkowo płytka. Odczuwając coś w rodzaju zawodu, czekali, aż woda ocieknie z ich ubrań. Zamoczyli je tylko do pasa.

- Ignatz Thugg, Manifestacja Boga - przemówił Wade Frazer. - Poskramiający rzeki i uciszający tajfuny. Nigdy bym się nie domyślił.

- Nawzajem - warknął Thugg.

- Niech się pani modli - zwrócił się niespodziewanie Russell do Maggie Walsh.

- O co?

- O to, żeby zniknął welon iluzji, odsłaniając ukrytą pod nim rzeczywistość.

- Czy mogę to zrobić po cichu? Russell skinął głową.

- Dziękuję - powiedziała i odwróciła się plecami do grupy. Stała przez chwilę ze złożonymi rękami i schyloną głową, po czym odwróciła się z powrotem. - Zrobiłam wszystko, co mogłam - poinformowała ich.

Morley natychmiast zwrócił uwagę, że Maggie wygląda na znacznie szczęśliwszą. Może udało jej się zapomnieć na chwilę o Susie Smart.

Gdzieś w pobliżu rozległ się pulsujący łomot.

- Słyszę to - odezwał się Seth Morley, czując potworny, instynktowny strach.

Sto metrów od nich wznosiła się szara ściana, sięgającą wysoko w zasnuते mgłą niebo. Drżała i poruszała się jak żywa, a daleko w górze z kominów wydobywały się kłęby czarnego dymu. Ogromne rury z donośnym gulgotem tłoczyły do rzeki zużytą wodę. Gulgotanie trwało bez chwili przerwy.

Dotarli do Budynku.

Rozdział dziewiąty

Widzimy Tony'ego Dunkelwelta roztrząsającego jedne z najstarszych problemów ludzkości.

- Teraz go widzimy - powiedział Seth Morley. Nareszcie. Hałasuje jak tysiąc kosmicznych bachorów walących o podłogę nieskończoną liczbą olbrzymich przykrywek do garnków, pomyślał. Co oni robią tam w środku? Ruszył w kierunku głównego wejścia do budowli, żeby przeczytać widniejący nad nim napis.

- Ale hałas, co?! - krzyknął Wade Frazer.

- Tak - odpowiedział Seth, ale nie usłyszał własnego głosu.

Szedł wyłożoną płytami ścieżką prowadzącą wzdłuż ściany. Pozostali podążali za nim, niektórzy zasłaniając rękami uszy. Gdy znalazł się przed głównym wejściem, osłonił dłonią oczy i spojrzał w górę, nad zamknięte rozsuwane drzwi.

WINIARNIA

Tyle hałasu z winiarni? To nie ma żadnego sensu, przemknęło mu przez myśl.

Na usytuowanych nieco z boku, znacznie mniejszych drzwiach widniał napis: „Wejście dla klientów. Degustacja wina i serów”. Na wspomnienie o serze niemal poczuł jego apetyczny zapach. Chyba tam wejść, pomyślał. Na pewno nie każą za to płacić, choć z pewnością będą liczyli na to, że kupię kilka butelek wina. Ale przecież nie zmuszą mnie do tego.

Szkoda, że nie ma tu Bena Tallchiefa. Biorąc pod uwagę jego zainteresowanie trunkami, byłoby to dla niego fantastyczne odkrycie.

- Zaczekaj! - krzyknęła Maggie Walsh. - Nie wchodź tam!

Z dłonią na klamce odwrócił się w jej stronę, zastanawiając się, o co może chodzić.

Maggie Walsh spojrzała w górę pod słońce i zobaczyła jakieś litery migoczące w jego zaskakująco jasnych promieniach. Przesuwała palec od jednej do drugiej, usiłując odczytać napis. Co to może być? Co to za wiadomość, którą wszyscy tak bardzo chcemy poznać?

ROZUMOWNIA

- Zaczekaj! - krzyknęła do Morleya, który stał z ręką na klamce drzwi opatrzonej napisem „Wejście dla klientów”. - Nie wchodź tam!

- Dlaczego?! - odkrzyknął.

- Bo nie wiemy, co to właściwie jest!

Podbiegła szybko do niego. Potężna budowla lśniła w ruchliwych promieniach słońca, spływających po jej powierzchni. Ach, gdyby tak można było wznieść się tam na drobince pyłu, pomyślała tęsknie. Na takim maleńkim nośniku jaźni, istniejącym na granicy światów. Rozumownia... Miejsce, w którym gromadzi się wiedzę? Ale jak na składnicę książek, taśm i mikrofilmów robi zdecydowanie zbyt wiele hałasu. Miejsce, w którym odbywają się uczone dysputy? Może uzyskuje się tam esencję ludzkiego rozumu i ona, Maggie, mogłaby się zanurzyć w zjadliwej, zaprawionej ciętym dowcipem wiedzy doktora Johnsona albo Woltera?

Ale rozum to nie dowcip, tylko mądrość. Najbardziej podstawowa forma inteligencji połączona ze sporą dawką wdzięku. A przede wszystkim zdolność ogarnięcia wiedzy absolutnej.

Jeśli tam wejść, pomyślała, dowiem się wszystkiego, co może wiedzieć człowiek zamknięty w tych wymiarach. Muszę wejść. Podeszła do Setha Morleya i skinęła głową.

- Otwórz drzwi - powiedziała. - Musimy wejść do tej rozumowni i przekonać się, co jest w środku.

Idący za nimi spokojnym krokiem Wade Frazer obserwował z wyniosłą ironią ich podniecenie, a potem podniósł wzrok, żeby samemu zapoznać się z treścią napisu umieszczonego nad potężnymi, zamkniętymi drzwiami Budynku.

W pierwszej chwili zmieszał się nieco, bo choć mógł bez większych kłopotów odczytać słowo, to nie miał najmniejszego pojęcia, co ono może znaczyć.

- Nie rozumiem... - mruknął do Setha Morleya i religijnej fanatyczki. Wyteżył jeszcze bardziej wzrok, zastanawiając się, czy nie jest to związane ze swego rodzaju psychologiczną ambiwalencją: być może w głębi duszy nie chciał się dowiedzieć, co oznacza napis, więc podświadomie przekreślił go, uniemożliwiając zrozumienie jego znaczenia.

ZATRZYMALNIA

Chwileczkę! Chyba wiem, co to jest zatrzymalnia. To niezbyt rozpowszechnione słowo, wywodzące się chyba z języka celtyckiego, zrozumiałe wyłącznie dla ludzi o rozległym humanistycznym wykształceniu, dla innych pozbawione wszelkiego znaczenia.

To miejsce, do którego przywozi się osoby niespełna rozumu i ogranicza ich swobodę. Jakby coś w rodzaju sanatorium, ale jednocześnie dużo więcej. Celem działalności nie jest wyleczenie chorych i przywrócenie ich społeczeństwu - zwykle w jeszcze gorszym stanie, niż byli przedtem - ale zamknięcie raz na zawsze drzwi do ludzkiej ignorancji i szaleństwa. Tutaj funkcjonowanie psychicznie chorych jest ostatecznie zatrzymywane, jak głosi napis. Nie zwraca się ich społeczeństwu, lecz cicho i bezboleśnie usypia, co i tak prędzej czy później staje się udziałem wszystkich nieuleczalnie chorych. Nie mogą bez końca zatruwać Galaktyki swoim jadem, pomyślał Frazer. Dzięki Bogu, że istnieje takie miejsce; dziwię się, że nie zamieścili żadnych ogłoszeń w pismach fachowych.

Muszę tam wejść, postanowił. Chcę zobaczyć, jak pracują. Ciekawe, jak rozwiązali problem podstawy prawnej; przecież z pewnością mają kłopoty z władzami - o ile w ogóle można je tak nazwać - wciskającymi wszędzie nos i utrudniającymi normalną działalność zatrzymalni.

- Nie wchodźcie! - zawołał do Setha Morleya i religijnej wariatki Maggie Baggie. - Nie wolno! To na pewno jest ściśle tajne, rozumiecie?! - Wskazał na tabliczkę przytwierdzoną do mniejszych, bocznych drzwi. Widniał na niej napis: „Wstęp wyłącznie dla uprawnionego personelu”. - Ja mogę wejść, ale wy nie! - wrzeszczał, przekrzykując ogłuszający łoskot. - Nie jesteście uprawnieni!

Maggie Baggie i Seth Morley wybałuszyli na niego ze zdumieniem oczy, ale zatrzymali się. Frazer przepchnął się obok nich.

Mary Morley bez trudu odczytała napis umieszczony nad wejściem do wielkiego szarego budynku.

CZAROWNIA

Wiem, co to jest, pomyślała, ale oni nie wiedzą. Czarownia to miejsce, w którym poprzez zaklęcia i magiczne formuły uzyskuje się kontrolę nad ludźmi. Wszyscy rządzący zawdzięczają swoją władzę kontaktom z czarownią i jej magicznymi produktami.

- Idę tam - powiedziała do męża.

- Zaczekaj chwilę - poprosił Seth. - Chociaż minutkę.

- Ja mogę tam wejść, ale ty nie - odparła. - To jest specjalnie dla mnie. Wiem o tym. Nie próbuj mnie zatrzymać. Zejdź mi z drogi.

Stała przed bocznymi drzwiami i przeczytała napis ułożony z małych, złożonych literek: „Komnata zapoznawcza dla wykwalifikowanych gości”. To znaczy dla mnie, pomyślała. Wyłącznie dla mnie. Właśnie o mnie im chodziło, kiedy używali słowa „wykwalifikowani”.

- Pójdę z tobą - powiedział Seth.

Mary Morley parsknęła śmiechem. Pójdzie z nią? Zabawne, jemu się wydaje, że wpuszczą go do czarowni. Jego, mężczyznę. To miejsce jest przeznaczone tylko dla kobiet. One są czarownicami, nie mężczyźni.

Gdy tam wejdę, dowiem się różnych rzeczy, które pozwolą mi go kontrolować, pomyślała. Uczynię z niego to, czym powinien być, nie to, czym jest. Tak więc w pewnym sensie robię to dla jego dobra. Sięgnęła do klamki.

Ignatz Thugg stał nieco z boku, chichocząc pod nosem i obserwując wyczyniane przez nich błazeństwa. Kwiczeli i chrząkali jak świnię. Przez chwilę miał ochotę podejść do nich i przyłożyć im jakimś kijem, ale zrezygnował z tego. Założę się, że wszyscy śmierdzą, pomyślał. Z zewnątrz wyglądają na takich czystych, ale pod spodem śmierdzą. A tak w ogóle, to co tu mamy? Zmrużył oczy, usiłując odczytać niewyraźny napis.

HOCKOWNIA-KLOCKOWNIA

O, kurczę! Świetna sprawa; to miejsce, gdzie wsadzają ludzi na zwierzaki, wiecie po co. Zawsze chciałem zobaczyć, jak kobieta robi to z koniem. Założę się, że tutaj wreszcie to zobaczę. Tak, nawet na pewno. Tutaj wszystko pokazują, bez żadnej lipy.

Inni ludzie też będą to oglądać. Prawdziwi ludzie, nie tacy jak Morley, Walsh i Frazer. Gadają takimi długimi słowami, że jak człowiek ich słucha, to ma wrażenie, że właśnie pierdzą. Specjalnie tak mówią, żeby wyglądało na to, że jak się zesrają, to nie śmierdzi. A przecież są tacy sami jak ja.

Może mają tam takich mądrali jak Babble i każą im to robić z psami, pomyślał. Cholernie chciałbym to zobaczyć. Tak samo jak tę Walsh, zerzniętą przez jakieś wielkie psisko. Na pewno by się jej spodobało. Założę się, że w gruncie rzeczy o niczym innym nie marzy.

- Z drogi! - warknął na Morleya, Walsh i Frazera. - Nie możecie tam wejść. Zobaczcie, co tu napisali. - Wskazał na złotą tabliczkę na drzwiach. „Wstęp tylko dla członków klubu”. - Mnie wolno - powiedział i sięgnął do klamki.

Ned Russell przepchnął się szybko między nimi i zasłonił drzwi własnym ciałem, po czym dostrzegłszy na ich twarzach zupełnie różne, intensywne pragnienia, powiedział:

- Myślę, że będzie lepiej, jeśli nikt z nas tam nie wejdzie.

- Dlaczego? - zapytał wyraźnie rozczarowany Seth Morley. - Co może być złego w degustacji serów i wina?

- To nie winiarnia - zarechotał chrapliwie Ignatz Thugg. - Wstydzisz się powiedzieć, co to naprawdę jest. - Roześmiał się ponownie. - Ale j a wiem.

- Winiarnia, dobre sobie! - wykrzyknęła Maggie Walsh. - To nie żadna winiarnia, tylko przybytek najwyższej wiedzy, jaką kiedykolwiek udało się osiąść człowiekowi. Jeżeli tam wejdziemy, zostaniemy oczyszczeni za sprawą miłości Boga do człowieka i miłości człowieka do Boga.

- To jest specjalny klub dla wybranych gości - upierał się Thugg.

- Zdziwiające, jak daleko potrafią się posunąć ludzie kierowani podświadomym pragnieniem uniknięcia kontaktu z rzeczywistością - powiedział z pogardliwym uśmiechem Wade Frazer. - Nie mam racji, Russell?

- To nie jest bezpieczne - odparł Russell. - Dla nikogo z nas. - Ja wiem, co to naprawdę jest, i na pewno mam rację, pomyślał. Muszę ich jakoś stąd wyprowadzić. Siebie też. - Chodźmy - powiedział z powagą w głosie, ale sam nawet nie drgnął.

Ich zapach jakby nieco opadł.

- Naprawdę pan tak myśli? - zapytał Seth Morley.

- Tak - potwierdził. - Naprawdę tak myślę.

- Może ma rację - mruknął do innych Morley.

- Naprawdę pan tak myśli, panie Russell? - zapytała drżącym głosem Maggie Walsh.

Cofnęli się o krok od drzwi. Niedużo. Ale wystarczająco.

- Wiedziałem, że w końcu to zamkną! - jęknął zrozpaczony Ignatz Thugg. - Nie chcę, żeby ludzie mieli coś z życia. Zawsze to samo.

Russell stał bez słowa, zasłaniając sobą drzwi i czekając cierpliwie.

- Gdzie jest Betty Jo Berm? - zapytał w pewnej chwili Morley.

Miłosierny Boże, pomyślał Russell. Zapomniałem o niej.

Zapomniałem sprawdzić, co się z nią dzieje. Odwrócił się raptownie i osłaniając oczy, spojrzał w kierunku, z którego nadeszli. Na lśniąca w promieniach południowego słońca rzekę.

Zobaczyła to samo, co widziała już przedtem. Za każdym razem, kiedy zbliżała się do Budynku, mogła bez trudu odczytać napis na dużej brązowej tablicy, umocowanej solidnie nad głównym wejściem.

MEKKISOWNIA

Jako lingwistka nie miała najmniejszych kłopotów z przetłumaczeniem. Mekkis oznaczało w języku hetyckim siłę; trafiło do sanskrytu, potem do greki i łaciny, a stamtąd do angielskiego jako „maszyna” i „mechaniczny”. To właśnie mieściło się w budowlu, do której zabroniono jej wstępu. Nie mogła tam wejść, w przeciwieństwie do pozostałych.

Chciałabym umrzeć, pomyślała.

A więc to tutaj znajdował się centralny punkt wszechświata, przynajmniej takiego, jakim ona go sobie wyobrażała. A wyobrażała go sobie dokładnie tak, jak przedstawił to Specktowsky w swojej teorii koncentrycznych kręgów. Betty nie dostrzegała w tym Boga, tylko stwierdzenie materialnego faktu, pozbawionego jakichkolwiek aspektów transcendentálnych. Kiedy zażywała jedną ze swoich pastylek, wznosiła się na chwilę do wyższego, mniejszego kręgu, charakteryzującego się większą koncentracją promieniowania. Ciało traciło na wadze, funkcjonując jednocześnie znacznie szybciej i sprawniej, jakby napędzane lepszym paliwem. Lepiej się spalam, pomyślała, po czym odwróciła się i ruszyła z powrotem w kierunku rzeki. Myślę znacznie jaśniej, nie tak jak teraz, powoli i z trudem, omdlewając pod obcym słońcem.

Woda na pewno mi pomoże. W wodzie nie trzeba dźwigać ciężaru ciała; co prawda nie można także dostać się do wyższego kręgu mekkis, ale to nie ma żadnego znaczenia. Woda wszystko łagodzi. Nie jesteś ciężki ani lekki, po prostu cię nie ma.

Nie dam rady taszczyć wszędzie mojego ciała. Jest na to za ciężkie. Nie wytrzymam tego dłużej. Muszę się uwolnić.

Weszła na płyciznę i ruszyła dalej, w kierunku środka rzeki, nie oglądając się za siebie.

Woda na pewno rozpuści wszystkie moje pastylki, pomyślała po jakimś czasie. Ale przecież już ich nie potrzebuję. Gdybym mogła wejść do mekkisowni... Może mi się uda, kiedy wreszcie pozbędę się ciała. Na pewno się uda. Zostanę tam stworzona na nowo. Najpierw przestanę istnieć, żeby zacząć wszystko od początku, ale z zupełnie innego miejsca. Nie chcę jeszcze raz przechodzić przez to wszystko, przez co już przeszłam.

Za plecami słyszała ryk mekkisowni i czuła jej wibrację. W pewnej chwili uświadomiła sobie, że pozostali są już pewnie w środku. Dlaczego tak to wszystko wygląda? Dlaczego oni mogą tam wejść, a ja nie? Nie знаła odpowiedzi na te pytania.

Ale wcale się tym nie przejmowała.

- Jest tam - powiedziała Maggie Walsh, wskazując przed siebie drżącą ręką. - Nie widzicie?

Pobiegła w kierunku rzeki, ale zanim tam dotarła, minęli ją Russell i Seth Morley. Wybuchnąwszy płaczem, zatrzymała się i patrzyła przez łzy, jak Thugg i Frazer dołączają do tamtych dwóch. Czterej mężczyźni i Mary Morley weszli szybko do wody i zanurzając się coraz głębiej, ruszyli w stronę ciemnego przedmiotu znoszonego przez prąd na przeciwległy brzeg.

Stojąc ciągle w tym samym miejscu, obserwowała, jak wynoszą na ląd ciało Betty Jo. Ona nie żyje, uświadomiła sobie. Umarła, kiedy my sprzeczailiśmy się o to, czy wejść do rozumowni. Niech to szlag trafi, pomyślała, po czym z ociąganiem ruszyła w kierunku pięciu postaci klęczących wokół nieruchomego ciała i wykonujących na zmianę sztuczne oddychanie.

- Jest jakaś szansa? - zapytała.

- Nie - odparł Wade Frazer.

- Cholera - powiedziała łamiącym się głosem. - Dlaczego ona to zrobiła? Może ty wiesz, Frazer?

- Pod wpływem silnej presji, narastającej w niej od dłuższego czasu.

Seth Morley spojrział na niego z nienawiścią.

- Ty durniu - wycedził. - Ty głupi, przeklęty durniu.

- To nie moja wina, że ona umarła. Nie mam odpowiedniego sprzętu, żeby poddać wszystkich szczegółowym badaniom. Gdybym miał, na pewno udałoby mi się odkryć u niej skłonności samobójcze i wyleczyć ją z nich.

- Czy możemy zanieść ją do osiedla? - wykrztusiła Maggie Walsh przez ściśnięte gardło. Prawie nie mogła mówić. - Gdybyście wzięli ją we czterech...

- Byłoby dużo łatwiej, gdyby udało się ją splawić rzeką - odezwał się Ignatz Thugg. - Poza tym oszczędzilibyśmy mnóstwo czasu.

- Nie mamy jej na czym położyć - zauważyła Mary Morley.

- Kiedy przechodziliśmy przez wodę, widziałem coś w rodzaju skleconej bryły jak tratwy - powiedział Russell. - Pokażę wam, gdzie to było. - Dał znak, żeby poszli za nim.

Tratwa kołysała się lekko w zakolu rzeki. Zupełnie jakby ktoś zostawił ją tutaj celowo, pomyślała Maggie. Po to, żeby przeniosła do domu tego, kto miał umrzeć.

- Tratwa Belsnora - mruknął Thugg.

- Zgadza się - potwierdził Frazer, skubiąc się w prawe ucho. - Wspominał kiedyś, że zaczął budować tratwę. Połączył pnie kablem elektrycznym. Ciekawe, czy jest zupełnie bezpieczna.

- Jeżeli zbudował ją Belsnor, to jest bezpieczna - oświadczyła stanowczo Maggie. - Połóżcie ją na tratwie. - Tylko ostrożnie, na litość boską, dodała w duchu. Okażcie szacunek. To, co niesiecie, jest święte.

Czterej mężczyźni zdołali wreszcie ułożyć ciało Betty Jo Berm na tratwie Belsnora, pochrzając przy tym, stękając z wysiłku i pouczając się nawzajem, jak należy to robić.

Betty spoczywała na plecach, z rękoma złożonymi na brzuchu i niewidzącymi oczami utkwionymi nieruchomo w ostry, jasny niebie. Jej ciało ociekało wodą, a włosy przypominały rój czarnych os, który dopadł przeciwnika, by już nigdy go wypuścić.

Osy śmierci, pomyślała Maggie Walsh. Została zaatakowana przez śmierć. Kiedy spotka to pozostałych? Kto będzie następny? Możliwe, że ja. Tak, to całkiem prawdopodobne.

- My też możemy popłynąć tratwą - powiedział Russell, po czym zwrócił się do Maggie. - Czy wie pani, w którym miejscu powinniśmy przybić do brzegu?

- Ja wiem - odezwał się Frazer, nim zdążyła odpowiedzieć.

- To dobrze - stwierdził Russell rzeczowo. - W takim razie ruszajmy.

Delikatnie pomógł Mary Morley i Maggie wejść na tratwę. Maggie już od dawna nie zetknęła się z podobną uprzejmością.

- Dziękuję panu - powiedziała.

- Spójrzcie! - zawołał Seth Morley, wskazując w kierunku Budynku.

Sztuczny krajobraz ponownie się pojawił, przesłaniając szarą budowlę. Kiedy tratwa zaczęła płynąć z biegiem rzeki, odepchnięta od brzegu przez mężczyzn, Maggie zobaczyła, jak ściany Budynku nikną za brązową kurtyną fałszywego płaskowyzu.

Kiedy tratwa dotarła do głównego nurtu rzeki, natychmiast wyraźnie zwiększyła szybkość. Maggie, siedząca przy ciele Betty Jo, zadrżała i zacisnęła powieki. Boże, pomóż nam wrócić szczęśliwie do osiedla, pomyślała. Dokąd nas niesie ta rzeka? - zadała sobie niespokojne pytanie. Nigdy jej nie widziałam. Z tego, co wiem, nie przepływa w pobliżu zabudowań kolonii. Nie szliśmy wzdłuż niej, idąc w tę stronę.

- Dlaczego myślicie, że w ten sposób dotrzemy do domu? - zapytała głośno. - Wydaje mi się, że postradaliście zmysły!

- Nie możemy jej nieść, bo to zbyt daleko - wyjaśnił Frazer.

- Ale rzeka pcha nas coraz dalej! - odparła Maggie. Była tego całkowicie pewna. - Chcę wysiąść! - krzyknęła, zrywając się na nogi. Tratwa płynęła zbyt szybko; poczuła obezwładniający strach, kiedy zobaczyła przesuwaną się błyskawicznie brzegi.

- Proszę nie skakać do wody - odezwał się Russell, biorąc ją delikatnie za ramię. - Nic się pani nie stanie. Nikomu nic się nie stanie.

Tratwa w dalszym ciągu nabierała prędkości. Płynęli w milczeniu, czując na sobie ciepłe promienie słońca, przyglądając się wodzie... Wszyscy przestraszeni i otrzeźwieni tym, co się wydarzyło. I tym, co jeszcze nas czeka, pomyślała Maggie Walsh.

- Skąd pan wiedział o tratwie? - zapytał Seth Morley Russella.

- Jak powiedziałem, zauważyłem ją podczas...

- Nikt inny jej nie widział - przerwał mu Morley. Russell nic nie odpowiedział.

- Jest pan człowiekiem czy Manifestacją? - spytał wprost Seth Morley.

- Gdybym był Manifestacją, ocaliłbym ją przed utonięciem - odparł spokojnie Russell. - Czy pani też uważa, że jestem Manifestacją? - zapytał Maggie.

- Nie — powiedziała. Choć bardzo bym chciała, żebyś nią był, dodała w myślach. Przydałoby nam się twoje wstawiennictwo.

Russell schylił się i dotknął czarnych, przesiąkniętych wodą, martwych włosów Betty Jo Berm. Płynęli dalej w milczeniu.

Tony Dunkelwelt siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze swego gorącego pokoju, wiedząc o tym, że to on zabił Susie.

Mój cud, pomyślał. Niechcący wezwałem Niszczyciela Formy. Zamienił chleb w kamień, a potem zabrał jej go i zabił ją. Zabił ją kamieniem, który ja stworzyłem. Z którejkolwiek strony na to patrzeć, wszystko wskazuje na mnie.

Wytężył słuch, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Połowa grupy wyruszyła na wyprawę, a druga

połowa pogrążyła się w zapomnieniu. Może nawet wszyscy poszli, przemknęło mu przez myśl. Może jestem zupełnie sam, wystawiony na pastwę Niszczyciela Formy...

- Wezmę Miecz z Chemosh i pokonam nim Niszczyciela Formy - powiedział. Wyciągnął rękę po Miecz. Widział go wielokrotnie podczas medytacji, ale jeszcze nigdy go nie dotknął. — Dajcie mi Miecz z Chemosh, a ja dokonam dzieła. Odnajdę Czarnego i zniszczę go na zawsze, tak że już nigdy się nie podniesie. Umilkł i czekał, ale nic nie zobaczył.

- Proszę - dodał. Muszę pogrążyć się głębiej w jaźń wszechświata, pomyślał. Jestem sam, osobno.

Zamknął oczy, wprowadzając swoje ciało w stan całkowitego odprężenia. Odbieraj. Musisz się stać wystarczająco czysty i pusty, żeby wszystko się w ciebie wlało. Znowu musisz się stać pustym naczyniem, tak jak wielokrotnie wcześniej.

Jednak tym razem nie mógł tego zrobić.

Domyślił się, że zapewne jest nieczysty. Więc dlatego nic do mnie nie dociera. Przez to, co zrobiłem, straciłem zdolność odbierania, a nawet widzenia. Czy jeszcze kiedykolwiek ujrzę Boga nad bogami? Czyżby wszystko się skończyło?

Oto moja kara.

Ale ja na nią nie zasługuję! Susie nie była aż tak ważna! Wręcz przeciwnie: była obłąkana i kamień odtrącił ją z odrazą. Otóż to! Kamień był czysty, ona zaś nieczysta. Niemniej to okropne, że umarła, pomyślał. Jasność, ruch i światło - Susie miała wszystkie te cechy. Tyle że światło, którym świeciła, było kalekie, niestałe... i sprawiało ból, między innymi mnie. Wszystko, co zrobiłem, zrobiłem w samoobronie. To oczywiste.

- Miecz - powiedział. - Miecz-gniew z Chemosh. Niech do mnie wróci.

Zaczął kołysać się w przód i w tył, sięgając ponownie do rozciągającej się wysoko nad nim świadomości. Jego wyciągnięta ręka zniknęła nagle; szukał po omacku w pustej przestrzeni, w sięgającej na miliony mil w każdą stronę nicości, w pustce otaczającej każdego człowieka... i nagle dotknął czegoś.

Dotknął, lecz nie uchwycił.

Przysięgam, że jeśli otrzymam Miecz, wykorzystam go, wyszeptał bezgłośnie. Pomszczę jej śmierć.

Znowu dotknął czegoś, ale nie zdołał zacisnąć dłoni. Wiem, że tam jest, pomyślał. Czuję go pod palcami.

- Daj mi go! - zażądał głośno. - Przysięgam, że go użyję!

Czekał przez chwilę, a potem w jego dłoni znalazło się coś twardego, ciężkiego i zimnego.

Miecz. Trzymał go.

Przyciągnął go ostrożnie do siebie. Boski w kształcie, promieniował ciepłem i światłem, wypełniając pokój swoim dostojnością. Tony zerwał się na nogi, o mało nie wypuszczając broni z ręki. Mam go, pomyślał radośnie. Podbiegł do drzwi pokoju, z Mieczem chwiejącym się w jego słabej dłoni. Otworzył je, wyszedł na zewnątrz, w blask popołudniowego słońca, i rozejrzał się dookoła.

- Gdzie jesteś, potężny Niszczycielu Formy, wrogu wszelkiego życia? Pokaż się i walcz ze mną!

Na ganek niepewnie, powoli wkroczyła jakaś postać. Była przygarbiona i poruszała się niemal na oślep, jakby przyzwyczajona do ciemności panujących we wnętrzu Ziemi. Kiedy spojrzała na niego szarymi, skrytymi za białawą błoną oczami, Tony Dunkelwelt zrozumiał, skąd się wziął pył pokrywający zgięte w pół ciało, spływający bezszelestnie cienkimi strumyczkami na ziemię i wzbijający się w powietrze niewielkimi obłokami.

Ciało znajdowało się w stanie dość zaawansowanego rozkładu. Żółta, pomarszczona skóra skrywała kruche kości, policzki były zapadnięte, a usta pozbawione zębów. Ujrawszy go, Niszczyciel Formy ruszył w jego stronę z wyciągniętą przed siebie ręką, obciążoną suchą jak pergamin skórą.

- Cześć, Tony! - wyskrzecztał. - Cześć. Jak się miewasz?

- Przyszedłeś po mnie? - zapytał Tony.

- Tak - wycharczał Niszczyciel Formy i zrobił jeszcze jeden krok.

W nozdrza Dunkelwelta uderzył jego zapach: odór pleśni zmieszany z wonią niezliczonych stuleci. Z bezzębnych, rozchylonych ust pociekł strumyczek śliny. Niszczyciel usiłował je otrzeć trzęsącą się dłonią, ale nie mógł.

- Chcę... - zaczął mówić, ale nie dokończył, bo Tony wbił w jego miękki, wzdęty brzuch Miecz z Chemosh.

Kiedy wyszarpnął ostrze, z rany zaczęły się wysypywać garściami tłuste białe robaki. Niszczyciel zaniósł się suchym, chrapliwym śmiechem, przystanął, chwiejąc się na nogach i w dalszym ciągu usiłując dosięgnąć go zmumifikowaną ręką... Po czym cofnął się o krok i spojrzał na stos wijących się przed nim robaków. Ani śladu krwi; stanowił tylko worek zgnilizny, nic więcej.

Wciąż rechocząc, osunął się na jedno kolano, a następnie w konwulsyjnym odruchu chwycił za długie, pozbawione połysku włosy. Zaczął wydzierać je sobie całymi garściami, po czym podał Tony'emu ich naręczę w taki sposób, jakby było to coś niezwykle cennego.

Tony ponownie pchnął Mieczem i Niszczyciel Formy znieruchomiał na ganku z otwartymi ustami i pokrytymi bielmem, niewidzącymi oczami.

Z jego ust wypełzła jakaś włochata istota, przypominająca nadzwyczaj dużego pajaka. Tony rozdeptał ją na miazgę.

Zabiłem Niszczyciela Formy, pomyślał.

- Tony! - usłyszał czyjś głos, dobiegający, jak mu się zdawało, z bardzo daleka. Ktoś biegł w jego stronę. W pierwszej chwili nie mógł dostrzec, kto to jest, więc osłonił oczy przed słońcem i wyteżył wzrok.

Glen Belsnor. Pędzący co sił w nogach.

- Zabiłem Niszczyciela Formy - oznajmił Tony, kiedy zadyszany Belsnor wpadł na ganek. - Widzisz?

Wskazał Mieczem skurczony kształt leżący na podłodze między nimi. W chwili śmierci przybrał pozycję embrionalną.

- To Bert Kosler! - ryknął Belsnor. - Zabiłeś staruszką!

- Ależ skąd. - Spojrzał w dół i zobaczył Berta Koslera, historyka. - Dostał się we władanie Niszczyciela Formy - powiedział, sam w to nie wierząc, bo widział i zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił. - Przykro mi - wykrztusił. - Poproszę Boga nad bogami, żeby go sprowadził z powrotem.

Odwróciwszy się gwałtownie, wpadł do swego pokoju, zatrzęsął za sobą drzwi i oparł się o nie, drżąc spazmatycznie na całym ciele. Poczul wzbierające mdłości, zakrztusił się, zamrugał powiekami... Ból we wnętrzościach był tak silny, że aż zgiał się wpół, jęcząc głośno. Miecz wysunął mu się z ręki i upadł z łoskotem na podłogę; Tony cofnął się o kilka kroków.

- Otwórz drzwi! - wrzasnął z drugiej strony Glen Belsnor.

- Nie... - wymamrotał, dzwoniąc przeraźliwie zębami. Jego ramiona i nogi przenikało okropne zimno, które spłynęło do żołądka, wzmagając kłębiący się tam ból.

Rozległ się donośny trzask; drzwi jakby się zawahały na ułamek sekundy, a potem otworzyły się na oścież.

Stanął w nich szpakowaty, ponury Glen Belsnor, trzymając w ręku wojskowy pistolet wymierzony prosto w Tony'ego Dunkelwelta.

Tony schylił się po Miecz.

- Zostaw to albo cię zabiję - powiedział Glen Belsnor.

Tony zacisnął dłoń na rękojeści.

Glen Belsnor strzelił, trafiając prosto w cel.

Rozdział dziesiąty

Wade Frazer odkrywa, że ci, których radom najbardziej ufał, obrócili się przeciwko niemu.

Ned Russell stal na płynącej w dół rzeki tratwie i wpatrywał się gdzieś przed siebie, pogrążony w myślach.

- Na co pan patrzy? - zapytał go Seth Morley. Russell wskazał ręką.

- Chyba go widzę. - Odwrócił się do Maggie. - Czy to nie jeden z nich?

- Tak, to Wielki Lin - przyznała. - Albo inny, prawie tak duży jak on.

- O co je pytaliście? - zainteresował się Russell. Maggie lekko się zdziwiła.

- O nic ich nie pytaliśmy, bo nie możemy się z nimi porozumieć. O ile wiemy, nie mają języka ani żadnych narządów głosowych.

- A telepatia?

- Nie są telepatami - odparł Frazer. - Tak samo jak my. Robią tylko kopie przedmiotów, które zużywają się po kilku dniach.

- Jestem pewien, że można się z nimi porozumieć - powiedział Russell. - Skierujmy tratwę na płyciznę, chcę porozmawiać z waszym linem. - Ześlizgnął się do wody. - Pomóżcie mi pchać.

Jego zawzięta mina świadczyła o całkowitej determinacji, więc kolejno poszli w jego ślady, pozostawiając na tratwie jedynie nieruchome ciało B. J.

Po kilku minutach tratwa znalazła się przy porośniętym trawą brzegu. Wepchnęli ją najdalej jak mogli na błotnistą płyciznę, po czym wyszli z wody i zbliżyli się do górującego nad nimi sześcianu z żelatynowej masy. Promienie słońca tańczyły w niezliczonych plamach pokrywających jego powierzchnię, a wewnątrz organizmu tętniło i lśniło życiem.

Jest większy, niż sądziłem, pomyślał Morley. Wygląda, jakby był wieczny. Ciekawe, jak długo one żyją?

- Wystarczy położyć przed nim jakiś przedmiot, a on wypycha na zewnątrz kawałek siebie i ten kawałek zamienia się w dokładną kopię - wyjaśnił Thugg. - Pokażę panu. - Położył na ziemi swój zegarek. - Zrób mi duplikat, galareto - powiedział.

Żelatynowa powierzchnia zafalowała i po chwili, zgodnie z zapowiedzią Thugga, jej fragment odłączył się od korpusu, by spocząć obok zegarka. Natychmiast przybrała srebrzysty kolor, spłaszczyła się, na powierzchni zaczęły się pojawiać cyfry, a po krótkiej przerwie, podczas której lin

zdawał się zbierać siły, nie dokończony produkt zamienił się w zegarek ze skórzanym paskiem, identyczny z leżącym obok oryginałem.. lub prawie identyczny. Morley natychmiast spostrzegł, że kopia nie błyszczy równie jasno, ale i tak eksperyment można było uznać za sukces.

Russell usiadł na trawie i zaczął grzebać w kieszeniach.

- Potrzebuję kawałka suchego papieru.

- Powinam mieć kilka kartek w torebce - odparła Maggie. Otworzyła ją, wyjęła cienki bloczek i podała mu go. - Chce pan pióro?

- Dziękuję, mam. - Napisał coś na pierwszej kartce. - Zadam mu pytanie. - Skończywszy pisać, odsunął bloczek od oczu i przeczytał na głos: - „Ilu z nas umrze na Delmak-O?” - Następnie złożył kartkę i zostawił ją na ziemi obok dwóch zegarków.

Sześcian wydzielił kolejną porcję żelatyny.

- Czy on przypadkiem nie wykona po prostu kopii pytania? - zapytał Morley.

- Nie wiem - odparł Russell. - Zobaczymy.

- Wszyscy macie fioła - stwierdził z przekonaniem Thugg.

- Ma pan dość niezwykle poglądy na temat tego, kto ma fioła, a kto nie - powiedział Russell, obrzuciwszy go przelotnym spojrzeniem.

Thugg poczerwieniał.

- Chce mnie pan obrazić? — warknął.

- Spójrzcie! - przerwała im Maggie Walsh. - Jest już druga kartka.

Obie kartki leżały na ziemi przed linem. Russell zaczekał jeszcze chwilę, a potem zapewne doszedł do wniosku, że proces kopiowania już się zakończył, bo wziął je do ręki, rozłożył i zaczął im się przyglądać. Trwało to dłuższą chwilę.

- Odpowiedział? - zainteresował się Seth Morley. - Czy tylko skopiował pytanie?

- Odpowiedział. - Russell podał im jedną kartkę. Zdanie było krótkie, proste i łatwe do zrozumienia. „Kiedy wyjdziecie przed dom, osiedle będzie zupełnie puste”.

- Niech pan go zapyta, kto jest naszym wrogiem - zaproponował Morley.

- Dobrze. - Russell napisał pytanie i położył kartkę przed linem. - Kto jest naszym wrogiem? - mruknął. - To najbardziej ostateczne z możliwych pytań, jeśli można tak powiedzieć...

Lin bezzwłocznie wyprodukował odpowiedź, którą Russell chwycił natychmiast po uformowaniu.

Przez chwilę wpatrywał się w nią w milczeniu.

- „Wpływowe kręgi” - przeczytał wreszcie na głos.

- Niewiele nam to mówi - zauważyła Maggie.

- Pewnie nic więcej nie wie - odparł Russell.

- Niech pan zapyta, co powinniśmy zrobić - zażądał Seth Morley.

Russell napisał pytanie i ponownie położył kartkę przed linem. Wkrótce zjawiała się odpowiedź; wziął ją do ręki, żeby przeczytać na głos.

- Jest dosyć długa - powiedział przeproszającym tonem.

- To dobrze, jeśli weźmie się pod uwagę sens pytania - odparł Frazer.

- „Działają tajemne siły, prowadzące razem tych, którzy do siebie należą. Jeżeli się im podporządkujemy, nie popełnimy żadnych błędów”. - Zastanowił się przez chwilę. - Nie powinniśmy byli się rozdzielać. Złe się stało, że opuściliśmy osiedle. Gdybyśmy zostali, panna Berm nadal by żyła. Nie ulega wątpliwości, że od tej chwili nie możemy ani na moment tracić się z... - Przerwał, gdyż na trawie pojawiła się jeszcze jedna grudka żelatyny. Tak jak poprzednie, zamieniła się w złożoną kartkę papieru. Russell rozłożył ją i przeczytał. - To do pana - rzekł, oddając kartkę Morleyowi.

- „Człowiek często odczuwa potrzebę połączenia się z innymi, ale okazuje się, że otaczające go osoby zdążyły już utworzyć grupę, w związku z czym pozostaje wyizolowany. W takiej sytuacji powinien zjednoczyć się z człowiekiem stojącym bliżej środka grupy, który może mu pomóc dostać się do zamkniętego kręgu”. - Seth Morley zmiął kartkę i rzucił ją na ziemię. - To Belsnor - powiedział. - Ten człowiek, który stoi bliżej środka grupy.

To prawda, pomyślał. Jestem wyizolowany i zupełnie sam. Choć w pewnym sensie wszyscy tacy jesteśmy, nawet Belsnor.

- Może chodzi o mnie - zauważył Russell.

- Nie. - Seth pokręcił głową. - Na pewno o Glena Belsnora.

- Mam pytanie - odezwał się Wade Frazer. Wyciągnął rękę, a Russell podał mu papier i pióro. Frazer napisał szybko zdanie i przeczytał je na głos. - „Kim lub czym jest człowiek twierdzący, że nazywa się Ned Russell?” - Położył kartkę przed linem.

Kiedy pojawiła się odpowiedź, pierwszy wziął ją Russell. Ruch był szybki i prawie niedostrzegalny: w jednej chwili kartka leżała na ziemi, w następnej znajdowała się w dłoni Russella. Zapoznawszy się spokojnie z jej treścią, podał ją Morleyowi i powiedział:

- Proszę przeczytać na głos.

- „Każdy krok, do przodu lub do tyłu, prowadzi ku niebezpieczeństwu. Ucieczka jest całkowicie wykluczona. Powodem zagrożenia jest zbyt wielka ambicja.”

- Nic z tego nie wynika, do cholery! - parsknął Ignatz Thugg.

- Owszem, wynika: że Russell prowokuje sytuację, w której każdy ruch prowadzi do zguby - odparł Frazer. - Niebezpieczeństwo jest wszędzie. Nie możemy przed nim uciec, a przyczyną są ambicje Russella. - Zmierzył go długim, przeszywającym spojrzeniem. - Na czym polegają te pańskie ambicje? I dlaczego rozmyślnie prowadzi nas pan ku niebezpieczeństwu?

- Tam nie jest napisane, że prowadzę was ku niebezpieczeństwu, tylko że ono istnieje - powiedział Russell.

- A ambicja? To wyraźna aluzja do pana.

- Jedyłą ambicją, jaką mam, jest zostać dobrym ekonomistą, wykonującym pożyteczną pracę - odparł Russell. - Właśnie dlatego prosiłem o przeniesienie. To, co robiłem, choć nie z mojej winy, było nudne i niepotrzebne. Dlatego tak bardzo się ucieszyłem, kiedy przeniesiono mnie tutaj, na Delmak-O. - Umilkł na chwilę, po czym dodał: — Jeśli mam być zupełnie szczery, to zdążyłem już zmienić zdanie.

- My też - mruknął Seth Morley.

- Dobra - warknął Frazer. - Trochę się dowiedzieliśmy, choć nie za dużo. Wszyscy mamy zginąć. - Jego usta wykrzywiły się w okrutnym, gorzkim uśmiechu. - Naszym nieprzyjacielem są „wpływowe kręgi”. Musimy się trzymać razem, bo jak nie, to załatwią nas jedno po drugim. - Zastanawiał się przez moment. - W dodatku niebezpieczeństwo zagraża, nam ze wszystkich stron i nie damy rady przed nim uciec. Russell też jest dla nas niebezpieczny, z powodu swoich ambicji. Zauważyliście, że zachowuje się jak nasz przywódca? Jakby to było dla niego zupełnie oczywiste.

- Bo jest - powiedział Russell.

- A więc lin ma rację?

Po chwili Russell skinął głową.

- Chyba tak. Ale przecież ktoś musi kierować.

- Kiedy wrócimy, czy zrezygnuje pan z przywództwa i podporządkuje się Glenowi Belsnorowi? - zapytał Morley.

- Jeżeli okaże się kompetentny.

- Wybraliśmy go - zwrócił mu uwagę Frazer. - Jest naszym przywódcą bez względu na to, czy to się panu podoba, czy nie.

- Ja nie głosowałem - odparł Russell i uśmiechnął się. - W związku z tym nie wydaje mi się, żebym

miał jakieś zobowiązania.

- Ja też chciałabym zadać linowi kilka pytań - odezwała się Maggie Walsh, biorąc do ręki papier i pióro. - Najpierw zapytam go, po co żyjemy.

Położyła kartkę na trawie.

„Po to, by osiągnąć maksymalny stan posiadania i pełnię władzy”.

- Dość niejasne - zauważył Wade Frazer. - „Maksymalny stan posiadania i pełnia władzy”. Interesujące. Czyżby właśnie o to chodziło w życiu?

- A teraz zapytam, czy istnieje Bóg - oznajmiła Maggie. Kiedy położyła kartkę przed linem, wszyscy, nawet Ignatz Thugg, zamarli w oczekiwaniu.

Wkrótce nadeszła odpowiedź.

„Nie uwierzylibyście”.

- Co to znaczy? — zapytał gwałtownie Thugg. - Nic nie znaczy. To po prostu nic nie znaczy!

- Ale to prawda — zwrócił mu uwagę Russell. - Czy uwierzyłby mu pan, gdyby odpowiedział „nie”? A pani? - Spojrzał na Maggie.

- Ma pan słuszność - przyznała.

- A gdyby odpowiedział, że Bóg istnieje?

- Ja i tak w to wierzę.

- A więc lin ma rację - podsumował z satysfakcją Russell. - Dla nikogo z nas nie ma żadnego znaczenia, jak będzie brzmiała odpowiedź na to pytanie.

- Ale gdyby powiedział „tak”, wtedy przynajmniej miałabym pewność - zauważyła Maggie.

- Pani już ją ma — odparł Russell.

- Słodki Jezu! - wykrzyknął Thugg. - Tratwa się pali!

Obejrżeli się raptownie i zobaczyli strzelające wysoko płomienie, a po chwili do ich uszu dobiegł trzask pożeranego przez ogień drewna, zamieniającego się błyskawicznie w rozżarzony popiół. Cała szóstka popędziła co sił w nogach ku rzece, ale... Już za późno, pomyślał Seth Morley.

Stojąc na brzegu, patrzyli bezsilnie, jak płonąca tratwa dryfuje na środek rzeki i porwana prądem, odpływa coraz dalej, zamieniając się najpierw w ognistą plamkę, potem w ledwo widoczną iskierkę, by wreszcie zupełnie zniknąć im z oczu.

Milczenie przerwał Ned Russell.

- Nie powinniśmy mieć wyrzutów sumienia. W taki sposób czcili swoich zmarłych wikingowie. Kładli martwego wojownika w pełnym uzbrojeniu do łodzi, podpalali ją i pozwalali jej odpłynąć na morze.

Wikingowie, rozmyślał Seth Morley. Rzeka, a za nią tajemnicza budowla. Rzeka może być Renem, a Budynek Walhallą. To by wyjaśniało, dlaczego tratwa zajęła się ogniem i odpłynęła z ciałem Betty Jo Berm. Niesamowite, pomyślał i zadrżał.

- O co chodzi? - zapytał Russell, dostrzegłszy wyraz jego twarzy.

- Przez chwilę wydawało mi się, że wszystko rozumiem - powiedział. Ale to niemożliwe, dodał w duchu. Musi istnieć jakieś inne wytłumaczenie.

Udzielający odpowiedzi na pytania lin byłby... Nie mógł sobie przypomnieć jej imienia. Ach tak, Erda. Bogini ziemi, znająca całą przyszłość i odpowiadająca na pytania Wotana.

A Wotan chodzi w przebraniu wśród śmiertelników. Można go poznać tylko po tym, że ma jedno oko. Nazywają go Wędrowcem.

- Jak tam z pańskim wzrokiem? - zagadnął Russella. - Dobrze pan widzi?

- Niestety nie - odrzekł zaskoczony Russell. - A dlaczego pan pyta?

- Ma sztuczne oko - oświadczył Wade Frazer. - Już dawno to zauważyłem. Prawe. Nic przez nie nie widzi, ale porusza nim tak, jakby było prawdziwe.

- Czy to prawda? - zapytał Seth Morley. Russell skinął głową.

- Prawda. Ale to nie wasza sprawa.

A Wotan, przypomniał sobie Morley, zniszczył bogów. Pchany ambicją doprowadził do Götterdämmerung. Na czym polegała jego ambicja? Żeby zbudować pałac bogów, Walhallę. I Walhalla powstała. Co prawda widniał na niej napis „Winiarnia”, ale wcale nie była winiarnią.

Na końcu Walhalla utonie w Renie i zniknie, a złoto Renu powróci do jego cór.

Nagle uświadomił sobie, że jeszcze nic takiego się nie stało.

I że Specktowsky nie wspominał o niczym takim w swojej Księdze.

Glen Belsnor drżącą ręką położył pistolet na stojącej po lewej stronie szafce. Na podłodze przed nim leżał Tony Dunkelwelt, ściskając w dłoni rękojeść wielkiego złotego miecza. Wąski strumyczek krwi wyciekł mu z ust na policzek, a stamtąd na ręcznie tkany dywan, rozłożony na plastikowej podłodze.

Przybiegł doktor Babble, zaalarmowany odgłosem wystrzału. Sapiąc ciężko, zatrzymał się na ganku

przy ciele Berta Koslera, odwrócił je na plecy i zbadał zadaną mieczem ranę, po czym spostrzegłszy Belsnora, wszedł do pokoju. Stali teraz we dwóch, patrząc na zwłoki Dunkelwelta.

- Zastrzeliłem go - powiedział Glen Belsnor. W uszach wciąż jeszcze dzwoniło mu od huk. Pistolet był starego typu, na ołowiane pociski; należał do kolekcji najróżniejszych rupieci, z którą nigdy się nie rozstawał. Wskazał za siebie, na ganek. - Widzi pan, co zrobił staremu Bert'owi.

- Pana też chciał zadźgać?

- Aha. - Glen Belsnor wydmuchał nos w chusteczkę. Trzęsła mu się ręka i czuł się beznadziejnie. - Co za cholerna sprawa - usłyszał swój przepełniony bólem głos. - Zabiłem dzieciaka. Ale gdybym go nie załatwił, sprzątnąłby najpierw mnie, potem pana, a później panią Rockingham.

Myśl o tym, że ktokolwiek mógłby zabić dystygowaną damę... Chyba właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, pchnęło go do działania. On sam mógłby uciec, podobnie Babble, ale nie Roberta Rockingham.

- Najwyraźniej po śmierci Susie Smart stracił kontakt z rzeczywistością - zauważył Babble. - Na pewno miał okropne poczucie winy. - Schylił się i podniósł miecz. - Ciekawe, gdzie go zdobył. Nigdy go tu nie widziałem.

- Cały czas znajdował się na krawędzi załamania - powiedział Glen Belsnor. - Te jego przekłete „transy”, w które się wprowadzał... Pewnie usłyszał głos Boga, nakazujący mu zabić Berta.

- Czy powiedział coś, zanim go pan zastrzelił?

- „Zabiłem Niszczyciela Formy”. A potem wskazał na ciało Berta i dodał: „Widzisz?” albo coś w tym rodzaju. - Wzruszył ramionami. - Cóż, Bert był bardzo stary i zniszczony. Jeden Bóg wie, że Niszczyciel Formy ostro nad nim pracował. Tony sprawiał wrażenie, że mnie poznaje, ale poza tym zachowywał się jak kompletny wariat. Wygadywał same bzdury, a potem złapał za miecz. Przez jakiś czas obaj milczeli.

- Mamy już cztery trupy - przerwał ciszę Babble. - Może nawet więcej.

- Co pan przez to rozumie?

- Myślę o tych, którzy rano wyruszyli na wyprawę. O Maggie, tym nowym, o Morleyach...

- Na pewno nic im się nie stało. - Nie wierzył własnym słowom. - Właśnie, że nie! - wykrzyknął nagle z mściwą satysfakcją. - Z pewnością nie żyją. Może nawet wszyscy siedmioro.

- Niech się pan postara uspokoić - poprosił go Babble. Wydawał się nieco zaniepokojony. - Czy ten pistolet jest jeszcze nabyty?

- Tak. - Glen wziął go z szafki, opróżnił magazynek i wręczył naboje doktorowi. - Może je pan zatrzymać. Bez względu na to, co się stanie, nie mam już zamiaru do nikogo strzelać. Nawet po to, żeby ocalić nas wszystkich. - Podeszedł do fotela, usiadł, niezgrabnie wyjął papierosa i zapalił go.

- W razie gdyby było prowadzone śledztwo, oczywiście zeznam, że Tony Dunkelwelt był psychicznie chory, ale nie mogę potwierdzić, że zabił starego Berta, a potem zaatakował pana. Mam na to tylko pańskie ustne oświadczenie. Ale wierzę panu, ma się rozumieć - dodał szybko.

- Nie będzie żadnego śledztwa. - Wiedział o tym z całkowitą pewnością, bez żadnych wątpliwości. - Tylko badanie pośmiertne, a to nie ma dla nas żadnego znaczenia.

- Prowadzi pan dziennik albo coś w tym rodzaju? - zapytał Babble.

- Nie.

- Powinien pan.

- W porządku! - parsknął. - Będę. Ale teraz niech mnie pan zostawi w spokoju, do cholery! - Ciężko dyszał, wpatrując się z wściekłością w doktora. - Odchrząń się pan!

- Przepraszam... - bąknął Babble i cofnął się o krok.

- Pan, ja i pani Rockingham możemy być jedynymi osobami, które pozostały przy życiu. - Instynktownie przeczuwał, że tak jest w istocie.

- Może powinniśmy być razem z nią, żeby nic jej się nie stało - powiedział Babble, przesuwając się stopniowo w kierunku drzwi.

- Dobrze. - Glen skinął z rezygnacją głową. - Wie pan, co zrobimy? Pan niech idzie do pani Rockingham, a ja w tym czasie przeszukam nosacza Russella i jego rzeczy. Ciągle o nim myślę, odkąd pojawił się tu wczoraj wieczorem. Jest jakiś dziwny. Pan też odniósł takie wrażenie?

- Po prostu jest nowy.

- Ben Tallchief był zupełnie inny. Tak samo Morleyowie. - Belsnor zerwał się raptownie z fotela. - Wie pan, co mi przyszło do głowy? Że on przechwycił sygnał z satelity! Muszę się dobrze przyjrzeć jego odbiornikowi.

Znowu zajmę się tym, na czym się znam, pomyślał. Nie będę się czuł tak przeraźliwie samotny.

Zostawiwszy Babble'a w pokoju, ruszył w stronę lądowiska nosaczy. Nie obejrzał się za siebie.

Choć sygnał nadany przez satelitę był bardzo krótki, to przecież mógł go tutaj sprowadzić, rozmyślał po drodze. Russell mógł po prostu przelatywać gdzieś w pobliżu. Ale przecież ma wszystkie dokumenty potwierdzające przeniesienie na Delmak-O. Do diabła z tym, pomyślał Glen i zajął się rozmontowywaniem radiostacji w nosaczu Russella. Kwadrans później znalazł odpowiedź. Aparatura radiowa była taka sama jak we wszystkich nosaczach. Russell nie mógł przechwycić słabego sygnału z satelity. Byłby do tego zdolny tylko bardzo czuły odbiornik na Delmak-O. W końcowej fazie lotu nosacz był sterowany przez automatycznego pilota, tak jak te, którymi wcześniej przybyli inni.

A więc to tyle, jeśli chodzi o tę sprawę, przemknęło mu przez myśl.

Większość dobytku Russella znajdowała się jeszcze na pokładzie nosacza. Do swojej kwatery zdążył przenieść tylko najbardziej niezbędne przedmioty osobistego użytku. Wielkie pudło z książkami. Wszyscy przywozili ze sobą książki. Glen przerzucał od niechcienia kolejne tomy, usiłując dostać się do dna pudła. Prawie same podręczniki ekonomii, a oprócz tego mikrofilmy z klasyką, głównie Tolkienem, Miltonem, Wergiliuszem i Homerem. Wszystkie wielkie epepeje, a do tego Wojna i pokój oraz USA Johna Dos Passosa. Zawsze chciałem to przeczytać, pomyślał.

Wśród książek i mikrofilmów nie dostrzegł niczego niezwykłego. Może tylko...

Nie było ani jednego egzemplarza Księgi Specktowsky'ego.

Może Russell znał ją na pamięć, jak Maggie Walsh.

A może nie.

Istnieli ludzie, którzy nie mieli swojego egzemplarza Księgi, a to dlatego, że nie wolno im było jej czytać. Strusie zamknięte w olbrzymiej, obejmującej całą Terrę ptaszarni, osobnicy żyjący z głową w piasku, bo nie wytrzymali ogromnego ciśnienia psychicznego związanego z emigracją. Ponieważ żadna z pozostałych planet Układu Słonecznego nie nadawała się do zamieszkania, emigracja równała się podróży do innego systemu gwiazdowego. A to dla wielu oznaczało kosmiczną chorobę samotności i oderwania od korzeni.

Może wyleczyli go i wypuścili, ale dlaczego nie dali egzemplarza Księgi? Właśnie w takiej sytuacji mogłaby mu się naprawdę przydać.

Nie wypuścili go, pomyślał Belsnor. Uciekł.

Ale czemu zjawił się akurat tutaj?

Dopiero po chwili Glen uświadomił sobie, że baza Interplanu Zachód, dowodzona przez generała Treatona, znajduje się na Ziemi, w sąsiedztwie ptaszarni. Cóż za zbieg okoliczności. Przecież właśnie tam zostały skonstruowane wszystkie sztuczne organizmy żyjące na Delmak-O. Świadczył o tym choćby mikroskopijnych rozmiarów napis we wnętrzu miniaturowego Budynku.

W pewnym sensie wszystko do siebie pasuje, ale w innym, po dodaniu do siebie kolejnych elementów równania, wychodzi beznadziejne, gołe zero.

Te wszystkie trupy rzucają już mi się na mózg, pomyślał. Tak jak rzuciły się temu biednemu świrowi Dunkelweltowi. Załóżmy jednak, że jakieś laboratorium psychologiczne działające pod skrzydłami Interplanu Zachód potrzebuje do doświadczeń pacjentów ptaszarni. Wybierają sobie kilku, wśród nich także Neda Russella, który co prawda też jest wariatem, ale takim, który potrafi sobie przyswoić wiele rzeczy. Uczą go, co ma robić, i przysyłają tutaj.

W tej chwili Glenowi zaświtała przerażająca myśl: A jeżeli my wszyscy jesteśmy strusiami z ptaszarni, tylko nic o tym nie wiemy, bo ludzie z Interplanu Zachód poprzecinali nam w mózгах jakieś cholerne przewody pamięci? To by wyjaśniało naszą niezdolność do grupowego działania. Właśnie dlatego nawet nie jesteśmy w stanie się ze sobą porozumieć. Wariaci mogą się uczyć, ale nie

potrafią utworzyć kolektyw, tylko co najwyżej ogarnięty paniką tłum. Ale funkcjonowanie tłumy nie opiera się na normalności, tylko na szaleństwie.

Więc jednak to jest jakiś eksperyment. Wiem już wszystko, czego chcieliśmy się dowiedzieć. Teraz rozumiem, skąd się wziął ten tatuaż na podbiciu mojej prawej stopy. Persus 9.

Choć z drugiej strony to dosyć daleko sięgające przypuszczenia, biorąc pod uwagę, że opierają się na tym, iż Russell nie ma Księgi Specktowsky'ego.

Może trzyma ją w pokoju, przemknęło Belsnorowi przez głowę. Jezu, oczywiście! Na pewno tam jest!

Pośpiesznie opuścił lądowisko nosaczy i w dziesięć minut później wchodził już na ganek budynku, w którym mieściły się kwatery mieszkalne. Na ten sam ganek, gdzie zginęła Susie Smart, po przeciwnej stronie niż miejsce, w którym umarli Tony Dunkelwelt i stary Bert.

Trzeba ich pochować, uświadomił sobie.

Ale najpierw muszę przejrzeć resztę bagażu Russella.

Drzwi były zamknięte.

Wyważył je łomem, który wziął ze swego podręcznego skarbczyka najróżniejszych przedmiotów, przebogatego składowiska skarbów i śmieci.

Na zmiętej pościeli łóżka leżał portfel Russella, a obok jego dokumenty - rozkaz przeniesienia i wszystkie pozostałe, łącznie ze świadectwem urodzenia. Glen grzebał w nich chciwie, pewien, że za chwilę coś znajdzie. Chaos, jaki zapanował po śmierci Susie, odcisnął swoje piętno na wszystkich; Belsnor był przekonany, że Russell zostawił dokumenty przez pomyłkę. Chyba że nie był przyzwyczajony do tego, aby je nosić... jak strusie w ptaszarni, które nigdy nie noszą żadnych papierów. W drzwiach pojawił się doktor Babble.

- Nie mogę nigdzie znaleźć pani Rockingham! - oświadczył piskliwym, przerażonym głosem.

- Sprawdzał pan w sali zebrań? W barze?

Może poszła na spacer, pomyślał Glen, ale wiedział, że to nieprawda. Roberta Rockingham poruszała się z najwyższym trudem, a i to wyłącznie o lasce, niezbędnej z powodu długotrwałej choroby układu krążenia.

- Pomogę panu szukać - mruknął. Wraz z Babble'em zbiegł po schodkach z ganku, ale nagle stanął jak wryty, bo uświadomił sobie, że pędzą bez celu przed siebie, ogarnięci przerażeniem. - Niech pan poczeka! - wysapał. - Musimy się zastanowić. - Gdzie ona może być, do cholery? - zadał sobie pytanie. - Taka wspaniała kobieta! - jęknął rozpaczliwie. - Nigdy w życiu nikogo nie skrzywdziła. Niech ich szlag trafi, kimkolwiek są!

Babble ponuro skinął głową.

Od lektury oderwał ją jakiś hałas. Podniosła głowę i w drzwiach swego małego, schludnie urządzonego pokoju ujrzała nieznanego mężczyznę.

- Tak? - powiedziała uprzejmie, opuszczając dłoń, w której trzymała czytnik mikrofilmów. - Czy jest pan nowym mieszkańcem naszego osiedla? Chyba nigdy do tej pory pana nie widziałam, prawda?

- Nie, proszę pani - odparł. Miał przyjemny głos, a ubrany był w skórzany kombinezon stanowiący komplet z również skórzanymi długimi rękawicami. Jego twarz wydawała się otoczona czymś w rodzaju lekkiej poświaty... Nie, to chyba zaparowały mi okulary, doszła do wniosku. Jednak jego krótko ostrzyżone włosy na pewno leciutko świeciły, co do tego nie miała żadnych wątpliwości. Jaki ma miły wyraz twarzy, pomyślała. Taki skupiony, jakby obmyślił i wykonał wiele cudownych rzeczy.

- Napije się pan odrobinę bourbona z wodą? - zapytała. Późnym popołudniem zawsze pozwalała sobie na jednego drinka; uśmierzało to nieco dokuczający jej prawie bez przerwy ból w nogach. Dzisiaj jednak może zrobić wyjątek i dopełnić rytuału nieco wcześniej.

- Chętnie - zgodził się mężczyzna. Wysoki i bardzo szczupły, stał w dalszym ciągu w drzwiach, nie wchodząc do środka. Zupełnie jakby był w jakiś sposób związany ze światem zewnętrznym, przemknęło jej przez myśl. Jakby nie mógł go całkowicie opuścić, a jednocześnie już szykował się do pełnego powrotu. Może jest jedną z Manifestacji, jak mawiają bardziej wierzący mieszkańcy naszej kolonii? Wyteżyła wzrok, żeby zobaczyć go wyraźniej, ale mgiełka na okularach - czy cokolwiek to było — w dalszym ciągu jej to uniemożliwiała.

- Może zechce pan wejść - powiedziała, wykonując zapraszający ruch ręką. - W tym małym stoliku przy łóżku jest szuflada, w której znajdzie pan butelkę bourbona i trzy szklanki. Ojej, nie mam wody sodowej! Wystarczy panu zwykła? I bez lodu?

- Tak - odrzekł i przeszedł lekkim krokiem przez pokój. Zauważyła, że ma buty z wysokimi cholewkami. Bardzo szykowne, pomyślała.

- Jak się pan nazywa? - zapytała.

- Sierżant Ely Nichols. - Otworzył szufladę, wyjął butelkę i dwie szklanki. - Wasza kolonia jest likwidowana. Przesłano mnie tutaj, żeby was zebrać i dowieźć do domu. Od samego początku wiedzieliśmy o awarii magnetofonu w satelicie.

- A więc to już koniec? - powiedziała radośnie.

- Tak, to koniec - odparł. Napełnił szklanki bourbonem i wodą, podał jej jedną, po czym usiadł naprzeciwko niej na krześle z prostym oparciem. Uśmiechał się.

Rozdział jedenasty

Królik wygrany na loterii przez Bena Tallchiefa zapada na świerzb.

Belsnor, poszukujący bezskutecznie Roberty Rockingham dostrzegł w pewnej chwili małą grupkę zbliżającą się powoli do osiedla. Wracali ci, którzy wyruszyli na wyprawę: Frazer, Thugg, Maggie Walsh, Russell, Mary i Seth Morleyowie... Wyglądało na to, że są wszyscy. Czy na pewno?

- Nie widzę Betty Jo Berm - powiedział Belsnor. Czuł, że jego serce zaczyna uderzać w przyspieszonym rytmie. - Jest ranna? Zostawiliście ją, sukinsyny? - Wpatrywał się w nich, zaciskając szczęki w bezsilnym gniewie. - Zostawiliście ją, prawda?

- Ona nie żyje - poinformował go Seth Morley.

- Jak to? - wykrztusił. Obok niego zjawił się doktor Babble; we dwóch czekali, aż czterej mężczyźni i dwie kobiety podejść bliżej.

- Utonęła - powiedział Morley i rozejrzał się dookoła. - A gdzie ten szczeniak Dunkelwelt?

- Nie żyje - odparł doktor Babble.

- A Bert Kosler? - zapytała Maggie Walsh. Żaden nie odpowiedział.

- Tak samo - wyręczył ich Russell. Belsnor skinął głową.

- Zgadza się. Zostało nas ośmioro. Nigdzie nie możemy znaleźć Roberty Rockingham, więc ona pewnie też umarła. To prawie pewne.

- Nie trzymaliście się razem?

- A wy?

Zapadło milczenie. Gdzieś daleko ciepły powiew wiatru poderwał z ziemi chmurę pyłu i garść zbyt słabo wrosniętych w podłoże porostów, uniósł je nad dachy zabudowań, po czym rozrzucił po okolicy. Glen Belsnor wciągnął głośno powietrze i wyczuł nieprzyjemny zapach. Jakby gdzieś w pobliżu suszono psie skóry, pomyślał.

Śmierć. Tylko o niej potrafię myśleć. Nie ma w tym nic dziwnego. W ciągu niecałych dwudziestu czterech godzin przesłoniła nam wszystko, stała się centralnym punktem naszego życia.

- Nie mogliście przynieść jej ciała? - zapytał.

- Odplynęło w dół rzeki - odparł Seth Morley. - Płonąc. - Zbliżył się do Belsnora. - Jak umarł Bert Kosler?

- Zadźgany przez Tony'ego.

- A Tony?

- Zastrzeliłem go - powiedział Glen Belsnor. - Gdybym tego nie zrobił, zabiłby mnie.

- Co się stało z Robertą Rockingham? Ją też zastrzeliłeś?

- Nie - odparł lakonicznie Belsnor.

- Wydaje mi się, że powinniśmy wybrać nowego przywódcę - odezwał się Frazer.

- Musiałem go zabić - powtórzył głucho Glen. - Pozabijałby nas wszystkich. Zapytajcie Babble'a, on to potwierdzi.

- Nie mogę niczego potwierdzić - odparł Babble. - Wiem tyle samo co oni. Mogę się opierać wyłącznie na pańskim ustnym oświadczeniu.

- Jaką bronią posługiwał się Tony? - zapytał Morley.

- Mieczem. Możecie go zobaczyć. Leży w pokoju obok ciała.

- Skąd pan wziął pistolet, z którego go pan zastrzelił? - wtrącił się Russell.

- Miałem go - wyjaśnił Belsnor. Czuł się chory i słaby. - Zrobiłem, co mogłem - dodał. - Zrobiłem, co musiałem zrobić.

- A więc „oni” nie są odpowiedzialni za wszystkie zgony - zauważył Seth Morley. - Ty zabiłeś Tony'ego Dunkelwolda, a on zabił Berta.

- Dunkelwelta - poprawił go odruchowo Belsnor.

- Na razie nie mamy pewności, czy pani Rockingham rzeczywiście nie żyje. Może po prostu uciekła ze strachu.

Belsnor pokręcił głową.

- Niemożliwe. Była zbyt chora.

- Myślę, że Frazer ma rację - powiedział Morley. - Musimy wybrać nowego przywódcę. Gdzie jest jego pistolet? - zwrócił się do Babble'a.

- Zostawił go w pokoju Tony'ego. Belsnor bez słowa ruszył w kierunku kwatery Tony'ego Dunkelwelta.

- Zatrzymajcie go - polecił Babble.

Ignatz Thugg, Wade Frazer, Seth Morley i doktor Babble pobiegli za Belsnorem; cała grupa wpadła truchtem na ganek, a następnie do pokoju Tony'ego. Russell został w towarzystwie Belsnora, który

zatrzymał się po kilku krokach, i dwóch kobiet.

Po chwili na ganku pojawił się Seth Morley z pistoletem Belsnora w dłoni.

- Nie uważasz, Russell, że mamy rację? - zapytał.

- Oddajcie mu broń - polecił Ned Russell. Zaskoczony Morley znieruchomiał na ganku.

- Dziękuję - powiedział Belsnor. - Bardzo potrzebowałem wsparcia. Oddajcie mi pistolet - dodał głośniejszym głosem. - I tak nie jest nabity. Wyjąłem wszystkie naboje. - Wyciągnął rękę.

Seth Morley zszedł z wahaniem po schodkach.

- Zabiłeś człowieka - powiedział niepewnie.

- Musiał - odparł zamiast Belsnora Russell.

- Chyba będzie lepiej, jeśli pistolet zostanie u mnie - oświadczył Morley.

- Mój mąż będzie teraz waszym przywódcą - odezwała się Mary Morley. - Uważam, że to znakomity pomysł. Jestem pewna, że będziecie z niego zadowoleni. W Tekel Upharsin sprawował bardzo odpowiedzialną funkcję.

- Dlaczego nie przyłączysz się do nich? - zapytał Belsnor Russella.

- Dlatego, że wiem, co się stało. Wiem, że musiałeś to zrobić. Jeżeli zechcą mnie wysłuchać, może uda mi się... - Przerwał.

Belsnor odwrócił się w kierunku grupki mężczyzn, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Ignatz Thugg wyrwał Morleyowi pistolet i z bolesnym uśmiechem na twarzy wycelował go w Belsnora.

- Oddaj to - zażądał Seth Morley. W chwilę potem wszyscy zaczęli krzyczeć na Thugga, ale on stał nieporuszony, w dalszym ciągu mierząc do Belsnora.

- Teraz ja jestem waszym przywódcą - oświadczył Ignatz Thugg. - Nieważne, z głosowaniem czy bez. Jeżeli chcecie, możecie na mnie głosować, ale to i tak nie ma żadnego znaczenia. - Spojrzał na trzech mężczyzn stojących obok niego. - Idźcie do tamtych. Nie zbliżajcie się do mnie, rozumiecie?

- Pistolet nie jest nabity - powtórzył Belsnor.

Seth Morley wyglądał na zdruzgotanego: był blady jak ściana i bez wątplenia zdawał sobie doskonale sprawę, że jest odpowiedzialny za to, że broń dostała się w ręce Thugga.

- Wiem, co trzeba zrobić - oznajmiła Maggie Walsh, wyjmując z kieszeni egzemplarz Księgi.

Była pewna, że dzięki jej pomysłowi uda się odebrać Thuggowi pistolet. Otworzywszy Księgę na chybił trafił, ruszyła w jego kierunku, czytając na głos dzieło Specktowsky'ego.

- „Co dowiódłszy, możemy stwierdzić, że w rozwoju Boga historycznego da się wyszczególnić kilka etapów. Etap pierwszy: okres czystości, trwający przed stworzeniem Niszczyciela Formy. Etap drugi: okres Klątwy, kiedy moc Boga była najmniejsza, natomiast Niszczyciela Formy największa, jako że Bóg nie przewidywał jego powstania i został całkowicie zaskoczony. Etap trzeci: narodziny Boga na Ziemi, oznaczające jednocześnie koniec okresu Klątwy Absolutnej i Odsunięcia od Boga. Etap czwarty: okres, w którym...” - Była już prawie przy nim. Stał bez ruchu, nadal ściskając pistolet w dłoni. Maggie w dalszym ciągu czytała na głos święty tekst. - „...okres, w którym obecnie żyjemy, kiedy to Bóg chodzi po świecie, pocieszając cierpiących i wstawiając się za wszystkim, co żyje. Czyni to jako Orędownik, który...”

- Wracaj do nich albo cię zabiję - powiedział Thugg.

- „...który, rzecz jasna, żyje, ale nie w tym kręgu. Etap piąty: następny i zarazem ostatni...”

Rozległ się potworny huk; częściowo ogłuszona cofnęła się o krok, a po chwili poczuła silny ból w piersi, wypełniający jej całe płuca. Jednocześnie odniosła wrażenie, jakby światło przygasło i nastąpiła całkowita ciemność. Usiłowała wymówić nazwisko Setha Morleya, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Mimo to słyszała jakiś głos, a właściwie hałas; czyniło go coś wielkiego, dudniąc donośnie w ciemności.

Była zupełnie sama.

Łup, łup, łup, rozlegało się coraz głośniejsze. Po chwili dostrzegła coś jakby płynne światło, wypełnione opalizującymi barwami. Układało się w kształt furkoczących młynków i wirujących kół, oblewając ją ze wszystkich stron. Gdzieś przed nią dudniła groźnie ogromna Rzecz, przyzywając ją do siebie gniewnym, nie znoszącym sprzeciwu głosem. Przestraszyła się, bo było to bardziej żądanie niż prośba. Rzecz usiłowała jej coś powiedzieć; Maggie wiedziała już, co oznacza przeraźliwe dudnienie. Łup, łup, łup, waliło bez chwili przerwy. Sparaliżowana strachem, czując potworny fizyczny ból, zawołała ze wszystkich sił:

- Libera me, Domine! De morte aeterna, in die Ula tremenda.

Walenie wciąż trwało, a ona ześlizgiwała się coraz bliżej jego źródła, nie mogąc nic na to poradzić. W oddali, niemal na granicy pola widzenia, dostrzegła fantastyczne widowisko: olbrzymią kuszę, a na niej Orędownika. Kusza była napięta, Orędownik leżał na niej jak strzała; w pewnej chwili cięciwa została zwolniona i Orędownik bezgłośnie poszybował w górę, ku najmniejszemu z koncentrycznych kręgów.

- Agnus Dei, qui tollis peccata mundi... - Musiała odwrócić wzrok od tętniącego wiru. Spojrzała w dół i do tyłu... i dojrzała, hen, daleko, rozległy kamienisty teren pokryty grubą warstwą śniegu. Dął tam niezwykle silny wiatr, usypując wokół skał wysokie zasy. Nowa epoka lodowa, pomyślała, uświadamiając sobie nagle, że coraz trudniej przychodzi jej myślenie i mówienie po angielsku.

- Lacrimosa dies Ula - powiedziała, krzywiąc się z bólu. Cała klatka piersiowa stanowiła ogromne ognisko cierpienia. — Qua resurget ex favilla, judicandus homo reus. - Brzmienie łaciny, której Maggie nigdy się nie uczyła i nie miała o niej żadnego pojęcia, zdawało się wpływać kojąco na ból. - Huic ergo parce, Deus! Pie Jesu Domine, dona eis requiem. — Pulsowanie trwało w dalszym ciągu.

U jej stóp otworzyła się bezdenna przepaść. Maggie zaczęła spadać ku rosnącej z błyskawiczną szybkością, zamarznętej równinie.

- Libera me, Domine, de morte aeterna!

Mimo to spadała nadal do piekła i nic nie wskazywało na to, że ktoś zechce ją uratować.

Nagle tuż koło niej przeleciała ogromna skrzydlata istota, przypominająca wielkiego metalowego smoka o najeżonej kolcami głowie. Jej ciało owionął ciepły podmuch.

- Salve me, fons pietatis! - zawołała, rozpoznawszy go. Wcale się nie dziwiła, że to właśnie on się pojawił, Orędownik, pędzący z piekła ku ogniu płonącemu w mniejszych, wewnętrznych kręgach.

Ze wszystkich stron otoczyły ją różnokolorowe światła. Nieco zdezorientowana zwróciła się ku temu, które było najbliżej, czerwonemu i nieco przyćmionemu, ale zamarła w bezruchu, tknięta nagłą myślą: To nie ten kolor! Powinna się rozglądać za czystym, białym światłem, odpowiednim łonem do tego, żeby powtórnie przyjść na świat. Poszybowała w górę, niesiona ciepłym podmuchiem pozostawionym przez Orędownika, i czerwone, przyćmione światełko znikło w oddali, natomiast po prawej dostrzegła inne, mocne i jaskrawożółte. Najszybciej, jak mogła, skierowała się w tamtą stronę.

Ból w piersi wyraźnie zelżał; właściwie całe ciało odczuwała w jakiś dziwny, niewyraźny sposób. Dzięki ci za ulżenie mi w cierpieniu, wyszeptała bezgłośnie. Doceniam to. Widziałam go, pomyślała. Widziałam Orędownika. Dzięki niemu mam szansę na ocalenie. Prowadź mnie, poprosiła w duchu. Wskaż mi właściwe światło. Doprowadź mnie do powtórnych narodzin.

Pojawiło się czyste białe światło. Natychmiast zwróciła się w jego kierunku, a coś pomogło jej lekkim pchnięciem. Gniewasz się na mnie? - zapytała w myślach, zwracając się do gigantycznej, pulsującej istoty. Maggie wciąż słyszała powodowany przez nią łoskot, ale wiedziała, że teraz nie jest już przeznaczony wyłącznie dla jej uszu; będzie trwał wiecznie, bo znajdował się poza czasem, od samego początku, od zawsze. Przestrzeń także przestała istnieć. Wszystko sprawiało wrażenie, jakby istniało jedynie w dwóch wymiarach, płaskie i ściśnięte, niczym silne, lecz bezkształtne postaci narysowane przez dziecko albo jakiegoś prymitywnego twórcę. Nasycone jaskrawymi barwami, ale zupełnie płaskie... i wzruszające.

— Mors stupebit et natura - powiedziała. - Cum resurget creatura, judicanti responsura.

Dudnienie przycichło. Uzyskałam przebaczenie, przemknęło jej przez myśl. Orędownik niesie mnie ku właściwemu światłu.

Zbliżała się coraz bardziej do białego, oślepiającego blasku, od czasu do czasu wypowiadając na głos pobożne łacińskie sentencje. Ból zniknął bez śladu, a ona przestała cokolwiek ważyć. Jej ciało

nie istniało już ani w czasie, ani przestrzeni.

O rety, pomyślała. Świetna sprawa.

Łup, łup, łup, tętniła Centralna Istota, ale już nie dla niej. Teraz pulsowanie było przeznaczone dla innych.

Dla Maggie Walsh nadszedł Dzień Ostatniego Posłuchania - nadszedł i minął. Została osądzona i zapadł korzystny dla niej wyrok. Teraz oczekiwała całkowitej, nieprzerwanej radości, lecąc ku właściwemu światłu jak ćma wśród płonących novych.

- Nie chciałem jej zabić... - wykrztusił Ignatz Thugg, wpatrując się w ciało Maggie Walsh. - Nie wiedziałem, co ona chce zrobić. Szła prosto na mnie, myślałem, że zamierza zabrać mi pistolet. - Wycelował oskarżycielsko palec w Glena Belsnora. - A on powiedział, że pistolet nie jest nabyty.

- Ma pan rację, chciała panu zabrać broń - powiedział Russell.

- Skoro tak, to znaczy, że miałem rację. Na chwilę zapadło milczenie.

- Nie oddam pistoletu - oświadczył wreszcie Thugg.

Babble skinął głową.

- Masz rację. Zatrzymaj go, a my zobaczymy, ilu niewinnych ludzi jeszcze zabijesz.

- Nie chciałem jej zabić - powtórzył Thugg, kierując broń w stronę doktora Babble'a. - Jeszcze nigdy nikogo nie zabiłem. Kto chce wziąć pistolet? - Potoczył dokoła dzikim spojrzeniem. - Zrobiłem to samo co Belsnor, ani mniej, ani więcej. Jesteśmy tacy sami, on i ja. Jemu na pewno go nie oddam. - Oddychając chrapliwie, ścisnął w rękę broń i wpatrywał się w nich wybałuszonymi oczami.

Belsnor podszedł do Seta Morleya.

- Musimy mu go zabrać - powiedział.

- Wiem - odparł Seth Morley. Żaden pomysł nie chciał mu przyjść do głowy. Jeżeli Thugg pociągnął za spust tylko dlatego, że ktoś - w dodatku kobieta! - podszedł do niego, czytając na głos Księgę, to znaczy, że jest gotów skorzystać z pierwszego lepszego pretekstu, żeby ich wszystkich powystrzelać.

Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że Thugg jest stuprocentowym wariatem. Zabił Maggie Walsh, bo chciał to zrobić. Seth dopiero teraz zrozumiał coś, co do tej pory wcale nie było dla niego takie oczywiste: Belsnor zabił wbrew swojej woli, natomiast Thugg zrobił to dla przyjemności.

To duża różnica. Ze strony Belsnora nic im nie groziło - przynajmniej dopóty, dopóki któremuś z nich nie przyjdzie ochota go zaatakować. Wtedy Belsnor oczywiście strzeli, ale jeżeli nie zostanie sprowokowany...

- Nie rób tego - szepnęła mu do ucha Mary.

- Musimy odzyskać pistolet - odparł Seth Morley. -To moja wina, że teraz on go ma. Pozwoliłem, żeby mi go zabrał. - Wyciągnął rękę do Thugga. - Oddaj mi broń - powiedział i zadrżał ze strachu. Jego ciało przygotowywało się na śmierć.

Rozdział dwunasty

Niezameężna ciotka Roberta Rockingham składa jej wizytę.

- On pana zabije - rzekł Russell który także zbliżył się do Thugga. Pozostali przyglądali się rozwojowi sytuacji. - Musimy mieć ten pistolet - dodał Russell, po czym zwrócił się do Morleya: - Przypuszczam, że zdąży zabić tylko jednego z nas. Znam ten typ pistoletu: nie można z niego strzelać zbyt szybko. Naciśnie spust tylko raz, nie więcej. - Odszedł kilka kroków w bok, żeby znaleźć się z drugiej strony Ignatza. - Dobra, Thugg - powiedział i wyciągnął rękę.

Thugg odwrócił się niepewnie w jego stronę. Seth Morley natychmiast zrobił krok naprzód.

- Niech cię szlag trafi, Morley!

Zwrócił broń w poprzednim kierunku, ale rozpędzony Seth nie zdążył wyhamować i zderzył się ze szczupłym, lecz umięśnionym ciałem Ignatza Thugga; w jego nozdrza wtargnęła woń pomady do włosów, uryny i potu.

- Trzymajcie go! - ryknął Belsnor. On także rzucił się na Thugga, usiłując go obezwładnić.

Thugg zaklął głośno i odepchnął Morleya. Miał zupełnie spokojną twarz psychopaty, lodowate spojrzenie i usta zaciśnięte w wąską kreskę. Nacisnął spust.

Mary Morley wrzasnęła przeraźliwie.

Seth Morley dotknął prawego ramienia i poczuł na palcach ciepłą krew, sączącą się przez materiał koszuli. Huk wystrzału sparaliżował go; porażony bólem osunął się na kolana, zdając sobie niejasno sprawę z tego, że Thugg trafił go w ramię. Krwawie, pomyślał. Chryste, nie udało mi się odebrać mu pistoletu. Z najwyższym wysiłkiem otworzył oczy i zobaczył, że Thugg ucieka, zatrzymując się co kilka metrów, żeby się odwrócić i strzelić. Nikogo jednak nie trafił, bo wszyscy rozproszyli się w poszukiwaniu ukrycia, nawet Belsnor.

- Pomóżcie mi! - wystękał Morley.

Belsnor, Russell i doktor Babble zaczęli się skradać w jego kierunku, ani na chwilę nie spuszczając wzroku z Thugga.

Dotarłszy do drzwi prowadzących do sali zebrań, Thugg przystanął, ciężko dysząc, wycelował broń w Seta i oddał jeszcze jeden strzał. Nie trafił. Wzruszył ramionami, odwrócił się i odbiegł ciężkim truchtem, niknąc im z oczu.

- Frazer! - ryknął Babble. - Pomóż nam zanieść Morleya do kliniki! Prędko! Zdaje się, że ma rozerwaną tętnicę.

Wade Frazer natychmiast znalazł się koło nich. Wraz z Belsnozem i Nedelem Russelem podniósł Seta

i ruszył z nim w kierunku gabinetu lekarskiego.

- Nie bój się, nie wykorkujesz! - wysapał Babble, kiedy Morley znalazł się już na wysokim, metalowym stole. - Załatwił Maggie, ale nie ciebie.

Belsnor odsunął się od stołu, wyjął drżącą ręką chusteczkę i wydmuchał nos.

- Sami widzicie, że powinienem był zatrzymać pistolet!

- Zamknij się i wynoś się stąd! - warknął Babble, włączając sterylizator i wkładając do niego narzędzia chirurgiczne. Następnie założył opaskę uciskową na ramię Morleya, ale krew płynęła nadal, tworząc na stole powiększającą się szybko kałużę. - Będę musiał go rozciąć i zszyć tętnicę - powiedział doktor. Cisnął opaskę w kąt i zajął się uruchamianiem aparatury wspomagającej krwioobiegu pacjenta. Wyciął małym narzędziem dziurkę w boku Setha i wprowadził do niej koniec plastikowej rurki. - Na razie nie mogę powstrzymać krwawienia - wyjaśnił. - Operacja zajmie co najmniej dziesięć minut. Dzięki temu przynajmniej nie wykrwawi się na śmierć.

Otworzył sterylizator, wyjął z niego tacę z parującymi narzędziami i wprawnymi, szybkimi ruchami zaczął rozcinać ubranie Morleya. W chwilę później zajął się już odsłoniętą raną.

- Będziemy musieli trzymać warty na wypadek pojawienia się Thugga - oświadczył Russell. - Cholera. Szkoda, że nie mamy więcej broni. Jeden jedyny pistolet, i to akurat w jego rękach!

- Mam pneumatyczny miotacz pocisków usypiających - powiedział Babble. Wyjął pęk kluczy i rzucił Belsnorowi. - W tamtej szafce. - Wskazał ruchem głowy. - Klucz w kształcie rombu.

Russell otworzył szafkę i wyjął z niej długą rurę z zamontowanym celownikiem optycznym.

- Niezłe - przyznał. - Może nam się przydać. Nie ma pan jakiejś innej amunicji? Znam te naboje usypiające. Może go oszołomią, ale...

- Chcecie go wykończyć? - zapytał Babble, odwracając na chwilę wzrok od ramienia Morleya.

- Tak - odparł Belsnor.

Russell w milczeniu skinął głową.

- Owszem, mam inną amunicję - powiedział Babble. - Taką, która go zabije. Pójdę po nią, jak tylko skończę z Morleyem.

Leżący na stole Seth Morley dostrzegł kątem oka miotacz doktora. Czy to nam pomoże? - pomyślał. Czy Thugg wróci tu i pozabija nas wszystkich, a już na pewno mnie, kiedy tak leżę zupełnie bezbronny na tym stole?

- Belsnor... - wyszeptał. - Nie pozwól, żeby Thugg przyszedł w nocy i mnie zabił.

- Zostanę z tobą - zapewnił Belsnor i szturchnął go lekko. - Będziemy uzbrojeni - dodał, przyglądając

się pneumatycznemu miotaczowi. Wydawał się teraz znacznie bardziej pewny siebie, podobnie jak pozostali.

- Podał mu pan demerol? - zapytał Russell doktora Babble'a.

- Nie miałem czasu - powiedział Babble, nie przerywając pracy.

- Ja mu go dam - zaofiarował się Frazer. - Tylko powiedzcie mi, gdzie są strzykawki.

- Nie ma pan odpowiednich kwalifikacji - zaprotestował Babble.

- A pan nie jest chirurgiem - skontrował Frazer.

- Nie mam wyboru - odparł doktor. - Jeśli tego nie zrobię, on umrze. Powinien dać sobie radę bez środka przeciwbólowego.

Mary Morley klęczała przy stole, jej głowa znajdowała się tuż obok głowy męża.

- Wytrzymasz? - zapytała go.

- Tak - powiedział, zaciskając zęby. Operacja trwała.

Leżał w półmroku. Więc jednak Babble wyjął mi kulę, pomyślał niezbyt przytomnie. I dostałem demerol, nie tylko dożylnie, ale też domięśniowo. Nic nie czuję. Ciekawe, czy udało mu się zszyć tętnicę?

Funkcjonowanie jego organizmu kontrolowała skomplikowana aparatura, rejestrująca ciśnienie krwi, bicie serca, temperaturę i pracę układu oddechania. Gdzie jest Babble? - pomyślał. I gdzie się podział Belsnor?

- Belsnor! - zawołał najgłośniej, jak tylko był w stanie. - Gdzie jesteś?! Powiedziałeś, że cały czas będziesz przy mnie!

Tuż obok niego zmaterializował się jakiś ciemny kształt. Belsnor, trzymający oburącz miotacz.

- Jestem tutaj. Uspokój się.

- Gdzie inni?

- Grzebią martwych. Tony'ego Dunkelwelta, starego Berta, Maggie Walsh... Wzięli ciężki sprzęt, który został po budowie osiedla. I Tallchiefa. Jego też grzebiemy. Umarł pierwszy. No i Susie. Biedna, głupia Susie...

- Przynajmniej mnie nie udało mu się załatwić - mruknął Morley.

- Starał się. Zrobił wszystko, co mógł.

- Popelniliśmy błąd, odbierając ci pistolet - powiedział Seth Morley. Teraz nie ulegało to dla niego najmniejszej wątpliwości.

- Powinniście posłuchać Russella - odparł Belsnor. - On wiedział.

- Teraz każdy jest mądry - zauważył Morley. Ale Belsnor miał rację: Russell usiłował wskazać im właściwą drogę postępowania, lecz oni wpadli w panikę i nie posłuchali go. – Znaleźliście panią Rockingham?

- Nie. Przeszukaliśmy całe osiedle. Zniknęła, tak samo jak Thugg, ale o nim przynajmniej wiemy, że żyje. I że jest niebezpiecznym, uzbrojonym psychopata.

- Wcale nie wiemy, czy na pewno żyje. Może się zabił albo dopadło go to samo, co zabiło Tallchiera i Susie...

- Może, ale lepiej na to nie liczyć. - Belsnor spojrział na zegarek. - Wyjdę na zewnątrz. Stamtąd mogę cię pilnować i jednocześnie obserwować pogrzeb. Na razie.

Szturchnął Morleya w lewe ramię, po czym wyszedł cicho z pokoju.

Seth Morley zamknął ze znużeniem oczy. Wszędzie unosi się zapach śmierci, pomyślał. Jesteśmy nim przesiąknięci. Ilu ludzi już straciliśmy? Tallchief, Susie, Roberta Rockingham, Betty Jo Berm, Tony Dunkelwelt, Maggie Walsh, stary Bert Kosler... Siedmioro. Siedem osób nie żyje. W ciągu niespełna dwudziestu czterech godzin załatwili połowę z tych, którzy tutaj przybyli.

I po to opuściliśmy Tekel Upharsin. Jest w tym jakaś makabryczna ironia: wszyscy przylecieliśmy tu, aby żyć pełnią życia. Chcieliśmy być użyteczni. Każdy z nas miał jakieś marzenie. Może właśnie na tym polegał nasz błąd. Może byliśmy zbyt mocno osadzeni w naszych marzeniach, nie mogąc się od nich uwolnić, i dlatego nie potrafiliśmy funkcjonować jako grupa. A niektórzy z nas, tacy jak Thugg albo Dunkelwelt, byli po prostu nienormalni.

Na skroni poczuł zimny dotyk lufy.

- Ani słowa - poleciał mu jakiś głos.

Drugi mężczyzna, ubrany w kombinezon z czarnej skóry, zbliżył się do drzwi z gotowym do strzału paralizatorem.

- Belsnor jest na zewnątrz - powiedział do człowieka stojącego przy Morleyu. - Zajmę się nim.

Wycelował broń i nacisnął spust; z ukrytej w lufie anody wystrzelił elektryczny łuk, który po dotarciu do ciała Belsnora zamienił je na króciutką chwilę w katodę. Belsnor zadrżał raptownie, po czym osunął się na ziemię, wypuszczając z rąk miotacz.

- Co z resztą? - zapytał mężczyzna przyciskający lufę do skroni Morleya.

- Są na pogrzebie - odparł ten przy drzwiach. - Niczego nie zauważą. Nawet jego żona tam poszła.

Obaj ubrani w czarne kombinezony nieznajomi stanęli przy łóżku i przez jakiś czas przyglądali się w milczeniu Morleyowi. Zastanawiał się, kim lub czym oni są.

- Zabieramy pana stąd - odezwał się wreszcie jeden z nich.

- Dlaczego?

- Żeby ocalić panu życie - powiedział drugi. Wzięli nosze i położyli je na ziemi obok łóżka.

Rozdział trzynasty

Betty Jo Berm gubi na nieznannej stacji kolejowej bardzo cenny bagaż.

Niewielki statek stał tuż za budynkiem kliniki, połyskując wilgocią w blasku księżyca. Dwaj mężczyźni w czarnych skórzanych kombinezonach zanieśli nosze z leżącym na nich Morleyem do wjazdu statku i postawili je na ziemi. Jeden z nich otworzył klapę, po czym ostrożnie wnieśli nosze do środka.

- Czy Belsnor nie żyje? - zapytał Morley.

- Został ogłuszony.

- Dokąd mnie zabieracie?

- Tam, gdzie chciałby się pan znaleźć.

Jeden z mężczyzn usiadł za sterami, włączył parę przełączników i dotknął kilku urządzeń. Statek unióś się z ziemi, po czym runął w nocne niebo.

- Jest panu wygodnie, panie Morley? Przykro nam, że musieliśmy położyć pana na podłodze, ale to nie będzie długa podróż.

- Możecie mi zdradzić, kim jesteście?

- Proszę tylko powiedzieć, czy jest panu wygodnie.

- Jest mi wygodnie - powiedział Morley. Z miejsca, w którym leżał, widział główny ekran nawigacyjny statku. Pokazywał drzewa i mniejsze rośliny, tak wyraźnie, jakby to był dzień, a w chwilę później pojawiła się na nim błyszcząca wstęga rzeki.

Zaraz potem Seth Morley ujrzał na ekranie Budynek.

Statek zaczął podchodzić do lądowania na dachu Budynku.

- I co, miałem rację? - zapytał mężczyzna w czarnym kombinezonie.

Morley skinął głową.

- Tak.

- Nadal chce pan tam wejść?

- Nie.

- Chyba nie pamięta pan tego miejsca, prawda?

- Nie - odparł Seth. Oddychał płytko, starając się zachować jak najwięcej sił. - Dzisiaj zobaczyłem je po raz pierwszy - dodał.

- Skądże znowu - zaprzeczył nieznajomy. - Widział je pan już wiele razy.

Na dachu Budynku zamigotały ostrzegawcze światła, informując załogę o błędzie w podchodzeniu do lądowania.

- Cholerny sygnał sterujący! - warknął drugi mężczyzna. - Znowu pomyłka. Mówiłem od początku, żeby zostać na ręcznym!

- Nie dałbym rady wylądować na tym dachu - odparł pierwszy. - Jest zbyt nieregularny. Uderzyłbym w jedną z tych hydrowież.

- Wątpię, czy mam jeszcze ochotę z tobą pracować, skoro nie potrafisz posadzić statku klasy B na takim wielkim dachu.

- Wielkość nie ma tu żadnego znaczenia. Chodzi mi o przeszkody. Jest ich za dużo.

Pilot wstał od sterów, podszedł do kłapy i otworzył ją. Do wnętrza statku wtargnęło nocne powietrze przesycone zapachem fiołków, a wraz z nim głuchy, jękliwy ryk Budynku.

Seth Morley poderwał się na nogi, wyciągając jednocześnie rękę w kierunku paralizatora kołyszącego się swobodnie na piersi mężczyzny.

Człowiek w kombinezonie spóźnił się z reakcją, gdyż akurat spoglądał w inną stronę, mówiąc coś do pilota. Zauważył Morleya dopiero wtedy, kiedy jego towarzysz krzyknął ostrzegawczo.

Paralizator wysliznął się z rąk Seta i upadł na podłogę; celowo rzucił się na niego, nakrywając go ciałem, rozpaczliwie usiłując zacisnąć na nim palce.

Elektryczny impuls wystrzelił z lufy drugiego miotacza, mijając w niewielkiej odległości głowę Morleya. Seth przekręcił się na zdrowy bok, oparł o ścianę i nacisnął spust.

Ładunek trafił dokładnie w skroń pilota. Morley błyskawicznie skierował broń na drugiego mężczyznę i powtórnie nacisnął spust. Z tak niewielkiej odległości impuls miał potworną moc; człowiek w skórzanym kombinezonie runął całym ciężarem na skomplikowaną aparaturę zainstalowaną po drugiej stronie kabiny.

Morley zatrzasnął klapę, zamknął ją od środka, po czym osunął się powoli na podłogę. Przez bandaż spowijający jego prawe ramię sączyła się obficie krew; miał zawroty głowy i zdawał sobie sprawę z tego, że za chwilę straci przytomność.

Nagle ożył głośnik zainstalowany bezpośrednio nad tablicą przyrządów.

- Panie Morley - usłyszał - wiemy, że opanował pan statek. Wiemy też, że obaj nasi ludzie są nieprzytomni. Proszę nie startować. Operacja, którą pan przeszedł, nie została przeprowadzona tak,

jak powinna. W dalszym ciągu ma pan uszkodzoną tętnicę. Jeżeli natychmiast nie otworzy pan klapy i nie pozwoli nam udzielić panu fachowej pomocy, najprawdopodobniej nie przeżyje pan najbliższej godziny.

Do diabła z wami, pomyślał Morley. Popęzł w kierunku tablicy kontrolnej, z pomocą zdrowego ramienia dźwignął się na jeden z foteli, podparł się szeroko rozstawionymi nogami i usiadł za sterami.

- Nie wie pan, jak należy pilotować statek tego typu - powiedział głośnik. Najwyraźniej jakieś urządzenia informowały ich o jego każdym ruchu.

- Dam sobie radę - wysapał, łapiąc z trudem powietrze w płuca. Miał olbrzymie trudności z oddychaniem: doświadczał wrażenia, jakby ktoś położył mu na piersi stalową płytę. Z podpisów pod kilkoma przełącznikami na tablicy wynikało, że uruchamiają one zaprogramowane wcześniej sekwencje lotu. Było ich osiem. Wyciągnął na oślep rękę i przesunął jeden z nich.

Nic.

Widocznie wciąż działa sygnał naprowadzający, pomyślał. Muszę go wyłączyć.

Zrobił to, znalazłszy odpowiedni przycisk. Statek lekko zadrzał, po czym wolno uniósł się w nocne niebo.

Coś tu nie gra, przemknęło przez myśl Sethowi. Statek nie reaguje tak, jak powinien. Pewnie klapy są ciągle ustawione w pozycji do lądowania.

Powoli przestawał cokolwiek widzieć. Miał wrażenie, że światła zaczynają przygasać, więc zacisnął powieki, odczekał chwilę, po czym znowu je otworzył. Chryste, pomyślał, tracę przytomność. Czy statek rozbije się, kiedy zemdleję, czy gdzieś polecą? A jeśli polecą, to dokąd?

Runął z fotela na podłogę. Otoczyła go nieprzenikniona ciemność, łącząc się z nim w jedną całość.

Leżał nieprzytomny na metalowej podłodze, a statek leciał przed siebie.

Ocknął się, kiedy poczuł na twarzy bezlitosne białe światło. Uchylił powieki, lecz zacisnął je natychmiast, oślepiony jaskrawym blaskiem, ale to prawie nic nie dało.

- Przestańcie... - powiedział. Spróbował poruszyć rękami, lecz nie mógł. Wreszcie ostrożnie otworzył oczy i drżąc z osłabienia, rozejrzał się po kabinie.

Dwaj ludzie w czarnych kombinezonach leżeli bez ruchu w takich samych pozycjach, w jakich widział ich poprzednio. Nie musiał się do nich zbliżać, żeby się domyślić, że są martwi. Jeśli tak, to Belsnor też umarł. Paralizator nie pozbawiał przytomności, lecz zabijał.

Gdzie jestem? — zadał sobie pytanie.

Ekran działał, ale obiektyw kamery spoglądał chyba z bliska na jakąś przeszkodę, gdyż Seth widział

tylko płaską, białą powierzchnię.

Musiało minąć sporo czasu, pomyślał, obracając pokrętkiem regulującym powiększenie obrazu. Ostrożnie dotknął zranionego ramienia: krwawienie ustało. Możliwe, że go okłamano i że Babble wykonał jednak dobrą robotę.

Teraz na ekranie widniało...

Olbrzymie, martwe miasto. W dole. Statek wylądował na tarasie jednego z najwyższych budynków. Żadnego ruchu. Żadnego życia. W tym mieście nikt nie mieszkał. Morley widział na ekranie rozkład i całkowity, ostateczny upadek. Zupełnie jakby to było miasto Niszczyciela Formy, pomyślał.

Głośnik zainstalowany nad tablicą przyrządów milczał. Nie ma co liczyć na pomoc od nich.

Gdzie ja jestem, do cholery? Gdzie w Galaktyce jest opuszczone miasto tej wielkości, któremu po prostu pozwolono umrzeć? Nikt tu nie mieszka co najmniej od stu lat, pomyślał ze zdumieniem.

Dźwignął się z trudem na nogi i podszedł niepewnie do klapy. Otworzył ją, nacisnąwszy na elektryczny przycisk - nie miał dość sił, żeby zrobić to ręcznie - i wyjrzał na zewnątrz.

Powietrze było chłodne i stęchłe. Nasłuchiwał, lecz do jego uszu nie dotarł żaden odgłos.

Zebrał resztkę sił i zataczając się, wyszedł na dach budynku.

Nikogo tu nie ma, skonstatował.

Czy wciąż jestem na Delmak-O?

Niemożliwe. Na Delmak-O nie ma takiego miasta, bo nigdy nie założyliśmy tam prawdziwej kolonii. Tylko jedno małe osiedle z czternastoma ludźmi.

A to miasto jest stare.

Chwiejnym krokiem wrócił do statku, dotarł do tablicy przyrządów i opadł na fotel. Przez dłuższy czas siedział bez ruchu, pogrążony w myślach. Co powinienem zrobić? - zadał sobie po raz kolejny pytanie. Przede wszystkim muszę wrócić na Delmak-O, postanowił. Spojrzał na zegarek: od chwili, kiedy został porwany przez dwóch mężczyzn w skórzanych kombinezonach, minęło mniej więcej piętnaście godzin. Czy w osiedlu jest jeszcze ktoś żywy? A może załatwili już wszystkich?

Pilot automatyczny! Musiał mieć dekodery mowy.

Włączył go i powiedział do mikrofonu:

- Zabierz mnie na Delmak-O. Natychmiast. Wyłączył mikrofon, opadł na oparcie fotela i czekał. Statek nie zareagował.

- Wiesz, gdzie jest Delmak-O? - zapytał. - Możesz mnie tam zabrać? Przecież byłeś tam piętnaście

godzin temu. Chyba to pamiętasz, prawda?

Nic. Żadnej odpowiedzi, żadnego ruchu. Jonowy silnik milczał jak zaklęty. Automatyczny pilot nie miał zaprogramowanej trasy przelotu na Delmak-O. Widocznie dwaj mężczyźni ubrani w czarne kombinezony sterowali ręcznie albo on nie potrafi dać sobie rady z aparaturą.

Przywołując z pamięci wszystko, co wiedział na ten temat, przyjrzał się uważnie tablicy przyrządów. Przeczytał podpisy pod wszystkimi przełącznikami, zegarami, pokrętkami i guzikami, ale nic mu to nie dało. W ten sposób nie uda mu się niczego dowiedzieć, nie mówiąc już o tym, żeby się nauczyć obsługi skomplikowanych urządzeń. Nie mogę nigdzie lecieć, bo nie wiem, gdzie jestem, pomyślał. Poruszałbym się zupełnie na oślep, oczywiście zakładając, że wiedziałbym, jak się z tym wszystkim obchodzić.

Zainteresował się przełącznikiem, który umknął jego uwagi podczas pierwszej inspekcji. Widniał pod nim napis POMOC. Pstryknął nim. Przez jakiś czas nic się nie działo, a potem znowu ożył głośnik nad tablicą przyrządów.

- Słucham - wyskrzecztał.

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jestem? - zapytał Seth Morley.

- Proszę wcisnąć LOT INFO.

- Na tablicy nie ma niczego, co by było podpisane LOT INFO.

- Bo to nie jest na tablicy, tylko nad nią, po prawej stronie.

Spojrzał tam. Rzeczywiście, było. Wcisnął LOT INFO i zapytał ponownie:

- Czy możesz mi powiedzieć, gdzie jestem?

Szum i trzaski, jakby odgłosy uruchamiania jakiejś maszyny, potem cichy szum, a wreszcie głos z głośnika, elektroniczna symulacja ludzkiej mowy.

- Taaak jest, prrroszę pana. Jeeest pan w Looondynie.

- W Londynie! - wykrzyknął ze zdumieniem. - Jak to możliwe?!

- Przyyyleciał paaan tutaj.

Usiłował to zrozumieć, ale nic z tego mu nie wychodziło.

- Masz na myśli Londyn w Anglii, na Ziemi? - zapytał.

- Taaak, prrroszę pana.

Po chwili zdołał się wziąć w garść na tyle, żeby zadać kolejne pytanie.

- Czy tym statkiem mogę dolecieć na Delmak-O?

- Poodróż trrrwałaby sześć laaat. Ten staaatek nie jest przygoootowany do taaakiej podróży. Jeeego silniki maaają zbyt maaałą moc, żeby wyyyyprowadzić go poza streeefę przyyyciągania plaaanety.

- Terra... - mruknął półgłosem Seth. Cóż, to przynajmniej wyjaśniało, dlaczego miasto było wyludnione. Podobno wszystkie wielkie miasta na Ziemi były całkowicie opuszczone. Straciły rację bytu. Nie było ludzi, którzy mogliby w nich mieszkać, bo wszyscy wyemigrowali, z wyjątkiem strusi.

- Rozumiem z tego, że mój statek jest szybką jednostką służącą wyłącznie do komunikacji wokółplanetarnej?

- Taaak jest, prrroszę pana.

- I mogłem tu przylecieć tylko z jakiegoś miejsca znajdującego się na tej planecie?

- Taak jest, prrroszę pana.

Morley poczuł, jak po twarzy spływają mu grube krople potu.

- Możesz odtworzyć swój poprzedni kurs? - zapytał. - Możesz sprawdzić, skąd przyleciałem?

- Ooczywiście. — Znowu szum, jakby wirowały z ogromną szybkością jakieś mechaniczne części. - Przyyybył pan z punktu 3R68-222B. Wczeeeśniej był pan w...

- Nie rozumiem tego kodu - powiedział Seth. - Możesz przetłumaczyć go na słowa?

- Nie. Nie ma słóóów, na któóóre można by go przeeetłumaczyć.

- Potrafisz zaprogramować statek, żeby tam wrócił?

- Taaak, prrroszę pana. Mogę wprrrrowadzić kooordynaaaty do zeeespołu sterowania lootem. Mogę również monitorrrować cały lot. Czy mam to zrobić, prrroszę pana?

- Tak... - wyszeptał Morley i osunął się na poziomą powierzchnię tablicy przyrządów.

- Czy pootrzebujecie pan poomocy medycznej? - zapytał LOT INFO.

- Tak.

- Czy życzy pan soobie, zeeeby statek zabrał pana do naaajbliższego puuunktu opatrunkowego?

Zawahał się. Jakiś głos dobiegający z najgłębszych pokładów mózgu podszeptał mu, żeby się nie godził.

- Nic mi nie będzie - powiedział. - Podróż nie potrwa długo.

- Z pewnością nieee, prrroszę pana. Dziękuuuję panu. Obecnie wprowadzam do zeeespołu

sterowania lootem koordynaty punktu 3R68-222B. Włączam moonitorowanie lotu. Czy zgadza się pan naaa to?

Morley nie był w stanie odpowiedzieć. Rana znowu zaczęła krwawić. Wyglądało na to, że stracił więcej krwi, niż przypuszczał.

Na tablicy zapłonęły różnokolorowe światełka, upodabniając ją do elektrycznej pianoli. Z trudem mógł dostrzec ich ciepłe pomrukiwanie. Przełączniki przeskakiwały z jednej pozycji na drugą i z powrotem.. Miał wrażenie, że opiera się głową na mechanicznym bilardzie przygotowującym się do dodatkowej, premiowanej gry - w tym wypadku była to czarna, ponura gra. A potem, zupełnie niespodziewanie, statek poszybował bez najmniejszego wstrząsu w rozjaśnione blaskiem słońca niebo, okrążył Londyn - o ile to rzeczywiście był Londyn - i skierował się na zachód.

- Powiedz mi, kiedy tam dotrzemy - wychrypiał z trudem.

- Taaak jest, prroszę pana. Obuuudzę pana.

- Czy naprawdę rozmawiam z maszyną? - wymamrotał Morley.

- Z teechicznego puuunku widzenia jestem nieorrrganicznym, sztuuucznym tworem naaaależącym do klasy protokomputerów, aaale... - LOT INFO paplał dalej, lecz on już tego nie słyszał, gdyż po raz kolejny tego dnia stracił przytomność.

Statek kontynuował swój krótki lot.

- Zbliżamy się do punktu 3R68-222B - przemówił skrzypiący głos, przywracając go do przytomności.

- Dziękuję - powiedział i uniósł głowę, kierując mętne spojrzenie na ekran. Ujrzał na nim coś wielkiego, czego przez chwilę nie mógł zidentyfikować - na pewno nie było to osiedle - a potem z przerażeniem zdał sobie sprawę, że statek zabrał go z powrotem do Budynku.

- Zaczekaj! - krzyknął rozpaczliwie. - Nie ląduj!

- Ale jesteśmy w punkcie 3R68-...

- Odwołuję to polecenie! Zabierz mnie do miejsca, w którym statek był przedtem!

- Kooordynaty poooprzedniego punktu zostaaały wprowadzone ręcznie, w związkuuu z czyyym nie ma ich w pamięci kompuuutera, a ja nieee maaam wystarczających daaanych, żeby je wyyyliczyć.

- Rozumiem - rzekł Morley bez większego zdziwienia. - W porządku - mruknął, obserwując na ekranie malejący Budynek. Po osiągnięciu dość znacznej wysokości statek zaczął zataczać szerokie kręgi. - Powiedz mi, w jaki sposób mogę przejąć ręczne sterowanie.

- Naaajpierw musi pan wcisnąć przyyycisk numerrr dziesięć, żeby skasować syyygnał naprooowadzający. Potem.. Widzi pan tę dużą plaaastykową kulę? Mooożna nią kręcić we wszystkich kierunkach. W ten spoosób kontroluje się płaszczyznę lotu. Proooponuję, żeby pan

trochę poćwiczył, zanim przeekaże panu stery.

- Zrób to natychmiast! - rozkazał Morley. Daleko w dole dostrzegł dwie czarne kropki, które odłączyły się od Budynku.

- Włącz ręczne sterowanie.

Seth zakręcił plastikową kulą; statek zadrżał, zatoczył się, po czym runął ku rozciągającej się pod nim równinie.

- Pooowoli! - ostrzegł go LOT INFO. - Zniża się pan zbyyyt szybko.

Pokręcił kulą w przeciwną stronę i maszyna wyrównała lot.

- Chcę zgubić te dwa statki, które mnie śledzą.

- Obawiam się, że pańskie umiejętności pilotowania nie są dość dooobre, żeby...

- Potrafisz to zrobić? - przerwał komputerowi.

- Mam w pamięci wiecele manewrów. Jeżeli zastosuję je w przypadkowej konfiguracji, tamci na pewno za naami nie nadążą.

- Zrób to - polecił Morley.

Dwa ścigające ich statki były już znacznie bliżej. Seth widział na ekranie, że z dziobu każdego z nich sterczy lufa działka kalibru 20 milimetrów. Piloci lada chwila mogli otworzyć ogień.

- Uruchomiona losowo wyyybrana sekwencja manewrów uuunikowych - poinformował go LOT INFO. - Proszę zaaapiąć pasy.

Sięgnął z wysiłkiem do klamry. W chwili, kiedy zapięła się z cichym trzaśnięciem, statek wystrzelił w górę, wykonał pełną pętlę i znalazł się znacznie wyżej od wrogich jednostek, lecąc w przeciwną stronę.

- Śleedzą nas radarem, prooszę pana - powiedział LOT INFO. - Poinstruję zeespół sterowania lotem, żeby poodjął odpowiednie śrooodki zaradcze. Należy się spoodziwać, że wkrótce będzieemy lecieć nisko naaad powierzchnią ziemi. Proszę się nie nieepokoić.

Statek runął w dół jak zepsuta winda; Seth zamknął z przerażeniem oczy i osłonił głowę zdrowym ramieniem. W chwilę potem, równie niespodziewanie, maszyna wyrównała lot. Mknęła z olbrzymią prędkością, dokonując niewielkich, raptownych korekt kursu, aby ominąć nierówności terenu. Morley leżał bezwładnie w fotelu, odczuwając mdłości spowodowane gwałtownymi zmianami przyspieszenia.

Rozległ się przytłumiony huk. Jeden z napastników uruchomił działko albo odpalił pocisk powietrze-powietrze. Morley oprzytomniał w ciągu ułamka sekundy i obrzucił szybkim spojrzeniem ekran.

Pudło było chyba minimalne.

Dostrzegł szybko malejącą w oddali smugę dymu. Jak się obawiał, strzał został oddany od strony dziobu: znalazł się w potrzasku.

- Mamy jakieś uzbrojenie? — zapytał.

- Zgodnie z przeepisami jesteśmy wyposażeni w dwa pociski rakietowe powietrze-powietrze typu 120-A. Czy macie uruchomić program przygotowany do odpalenia w kierunku ścigających nas maszyn?

- Tak.

Podjęcie tej decyzji nie przyszło mu łatwo: w końcu miało to być jego pierwsze świadome zabójstwo, w dodatku skierowane przeciwko nim. Ale to oni pierwsi otworzyli ogień. Chcieli go zabić, i jeśli nie podejmie środków zaradczych, na pewno im się to uda.

- Pociski odpalone - poinformował go inny sztuczny głos, tym razem należący do głównego komputera statku. - Czy chce pan śledzić ich lot?

- Tak - odparł za niego LOT INFO.

Ekran podzielił się na dwie części, pokazując obraz przekazywany przez kamery zainstalowane na pędzących pociskach.

Ten z lewej minął wrogą maszynę i zaczął stopniowo obniżać lot, by wreszcie zderzyć się z ziemią, ale drugi mknął prosto do celu. Seth zdążył jeszcze dostrzec, jak ścigający go statek próbuje uniknąć trafienia, wzbijając się świecą do góry, a w chwilę potem ekran rozbłysł oślepiającym, białym światłem eksplozji. Jeden z dwóch nieprzyjaciół został zniszczony.

Drugi pikował prosto na niego. Pilot wiedział, że uciekinier jest teraz zupełnie bezbronny i nie jest mu w stanie w żaden sposób zagrozić.

- Czy mamy działko? — zapytał Morley.

- Nieewielkie rozmiaary statku nie pozwalają na... - zaczął LOT INFO.

- Wystarczy zwykłe tak lub nie.

- Nie.

- Cokolwiek innego?

- Nie.

- W takim razie chcę się poddać - powiedział Seth Morley. - Jestem ranny, a jeżeli to potrwa trochę dłużej, wykrwawię się na śmierć. Wyląduj najszybciej, jak możesz.

- Tak jest, proszę pana.

Statek obniżył pułap i leciał tuż nad ziemią, wytracając szybkość, po czym opuścił podwozie i wylądował z łoskotem. Seth jęknął boleśnie, kiedy maszyna toczyła się po nierównym gruncie, trzęsąc się i podskakując, aż wreszcie zatrzymała się z piskiem opon.

Zapadła cisza. Morley leżał bez ruchu na tablicy przyrządów, nasłuchując w oczekiwaniu na przylot drugiego statku. Czekał bardzo długo, ale z zewnątrz nie dobiegał żaden dźwięk.

- Czy on wylądował? - zapytał głośno, podnosząc głowę i starając się opanować jej drzenie.

- Poleciał daaalej.

- Dlaczego?

- Nie wieeem. Jest już tak daaaleko, że mój skaner prawie go nie wychwytuje. - Chwila milczenia. - Właśnie wyyszedł poza zasięg skanera.

Może nie zauważył, że wylądowałem, pomyślał Morley. Może pilot uznał, że obniżyłem lot tylko po to, żeby zniknąć z pola widzenia jego radaru.

- Wystartuj - polecił maszynie. - Zataczaj nad okolicą szerokie kręgi. Szukam osiedla, które powinno się znajdować gdzieś w pobliżu. Przemieszczaj się stopniowo na północny wschód - wybrał kurs na chybił trafił.

- Taaak jest, prroszę pana.

Ponownie ożyły silniki i statek wzbił się pewnie w powietrze.

Morley starał się tracić jak najmniej sił, jednocześnie nie spuszczać z oka ekranu. Właściwie nie wierzył, że poszukiwania mogą się zakończyć powodzeniem: osiedle było małe, a teren rozległy. Czy miał jednak jakiś wybór?

Owszem, powrót do Budynku. Teraz jednak na samą myśl o tym odczuwał niemal fizyczny wstręt. Jego niedawne pragnienie wejścia do środka zniknęło bez śladu.

To na pewno nie jest winiarnia, pomyślał. W takim razie co to właściwie jest, do cholery?

Nie wiedział. I miał nadzieję, że nigdy się nie dowie.

Po prawej stronie ekranu zamigotało coś metalicznego. Podniósłszy z wysiłkiem głowę, obrzucił spojrzeniem tablicę przyrządów i stwierdził, że statek krąży już od prawie godziny. Czyżbym zasnął? - przemknęło mu przez myśl. Zmrużył oczy i przyjrzał się błyszczącym przedmiotom. Były to małe budynki.

- To tutaj - powiedział.

- Czy mam lądooować?

- Tak.

Pochylił się do przodu, patrząc z natężeniem w ekran, żeby uniknąć pomyłki. Tak, to było osiedle.

Rozdział czternasty

Ned Russellbankrutuje.

Kiedy Seth Morley uruchomił elektryczny mechanizm otwierający klapę, do nieruchomego statku zbliżyła się powoli mała - przerażająco mała - grupka ludzi. Przyglądali mu się ponuro, kiedy chwiejąc się na nogach, wyszedł na zewnątrz, przytrzymując się czego się da, żeby nie upaść.

Było ich czworo. Russell, z poważną miną. Mary z twarzą ściągniętą niepokojem, a potem spokojną, kiedy go zobaczyła. Wade Frazer, sprawiający wrażenie bardzo zmęczonego. Doktor Milton Babble, odruchowo ssący zgaszoną fajkę. Nigdzie nie mógł dostrzec Ignatza Thugga.

Ani Glena Belsnora.

- Belsnor nie żyje, prawda? - zapytał głucho Seth Morley.

Skinęli głowami.

- Jest pan pierwszym, który wrócił - poinformował go Russell. - Wczoraj wieczorem zorientowaliśmy się, że Belsnor gdzieś zniknął, ale kiedy znaleźliśmy go przy drzwiach gabinetu, już nie żył.

- Wstrząs elektryczny - uzupełnił Babble.

- A ciebie nigdzie nie było - dodała Mary. Jej oczy, pomimo powrotu męża, pozostały szkliste i przerażone.

- Lepiej niech pan wraca natychmiast do łóżka - powiedział Babble. - Nie mam pojęcia, jakim cudem pan jeszcze żyje. Proszę na siebie spojrzeć: jest pan cały we krwi.

Odprowadzili go do kliniki. Seth zaczekał, aż Mary poprawi pościel na łóżku, po czym pozwolił, żeby go położono, podpierając poduszkami.

- Znowu będę musiał się zająć pańskim ramieniem - poinformował go Babble. - Wydaje mi się, że krew z tętnicy przedostaje się do...

- Jesteśmy na Ziemi - powiedział Seth Morley.

Wybałuszyli na niego oczy. Babble znieruchomiał na chwilę, a następnie zajął się znowu układaniem na tacy narzędzi chirurgicznych. Czas mijał, lecz nikt się nie odzywał.

- Czym jest Budynek? - przerwał wreszcie milczenie Wade Frazer.

- Nie wiem. Ale powiedzieli mi, że kiedyś już tam byłem. - Czyli na jakimś poziomie świadomości wiem, czym jest, pomyślał. Być może wszyscy wiemy. Może w przeszłości wszyscy tam byliśmy.

Razem.

- Dlaczego oni nas zabijają? - zapytał Babble.

- Tego też nie wiem.

- A skąd wiesz, że jesteśmy na Ziemi? - odezwała się jego żona.

- Niedawno byłem w Londynie. Widziałem go na własne oczy: ogromne, opustoszałe miasto, ciągnące się całymi milami, puste domy, fabryki i ulice. Jest większy niż jakiegokolwiek pozaziemskie miasto w całej Galaktyce. Kiedyś mieszkało tam sześć milionów ludzi.

- Ale na Ziemi nie ma nic oprócz ptaszarni! - wybuchnął Wade Frazer. - I nikogo poza strusiami!

- A także koszar Interplanu Zachód i laboratoriów - dodał Seth Morley głosem, któremu jednak brakowało przekonania i entuzjazmu. - Stanowimy część eksperymentu - mówił dalej. — Właśnie tak, jak domyśliliśmy się wczoraj wieczorem. Część wojskowego eksperymentu przeprowadzanego pod kierownictwem generała Treatona. - On sam jednak nie był w stanie w to uwierzyć. - Jaki rodzaj wojska nosi kombinezony z czarnej skóry? - zapytał. - I buty z długimi cholewami?

- Strażnicy ptaszarni - odparł Russell przyciszonym, obojętnym głosem. - To maskarada, która ma na celu podbudowanie ich morale. Praca ze strusiami jest bardzo przygnębiająca, ale odkąd trzy czy cztery lata temu dano im nowe mundury, poczuli się znacznie lepiej.

- Skąd pan o tym wie? - zapytał Morley, wpatrując się w niego przenikliwym spojrzeniem.

- Stąd, że sam jestem jednym z nich - wyjaśnił Russell wciąż takim samym, spokojnym tonem i wyjął z kieszeni mały lśniący paralizator. - Tylko my używamy takiej broni. - Wycelowował go w ich kierunku, dając jednocześnie znak głową, żeby zbliżyli się do siebie. - Ucieczka jest prawie niemożliwa. Morley wykorzystał jedną szansę na milion. - Wskazał na swoje prawe ucho. - Cały czas informowali mnie o rozwoju wydarzeń. Wiedziałem, że próbuje tu wrócić, ale nie przypuszczałem, podobnie jak moi zwierzchnicy, że mu się to uda. - Uśmiechnął się łagodnie.

Rozległ się ostry, donośny huk.

Russell wykonał nie dokończony półobrót i padł na podłogę, wypuszczając z ręki paralizator. Co to było? - pomyślał rozpaczliwie Seth Morley i usiadł na łóżku, rozglądając się dookoła. W drzwiach zobaczył jakiegoś człowieka. Chodzący? Czyżby Chodzący po Ziemi przybył, żeby nas ocalić? Człowiek trzymał w ręce staromodny pistolet. Morley uświadomił sobie, że to pistolet Belsnora. Ale przecież zabrał go Ignatz Thugg! Nic już nie rozumiał, podobnie jak pozostali. Tłoczyli się, zbici w ciasną gromadkę, obserwując zbliżającą się do nich postać.

Był to Ignatz Thugg.

Russell umierał na podłodze. Thugg schylił się, podniósł paralizator i wsadził go za pasek.

- Wróciłem - oznajmił ponuro.

- Słyszałeś go? - zapytał Seth Morley. - Słyszałeś, co powiedział o...

- Słyszałem. - Thugg wahał się przez chwilę, po czym wyjął zza paska paralizator i podał Morleyowi. - Niech ktoś weźmie miotacz pocisków usypiających - powiedział. - Będziemy go potrzebowali. Jest jeszcze jakaś broń? Może w statku?

- Dwa paralizatory - odparł Seth, przyjmując od niego śmiertelny przedmiot. Nie zabijesz nas? - pomyślał ze zdziwieniem. Psychopatyczna część umysłu Thugga straciła swoje wpływy, a on sam wydawał się zupełnie normalny, spokojny i czujny.

- Nie jesteście moimi wrogami - wyjaśnił Ignatz Thugg, jakby czytając w jego myślach. - Oni nimi są. - Wskazał pistoletem na Russella. - Wiedziałem, że w grupie jest ktoś od nich. Myślałem, że to Belsnor, ale nie miałem racji. Przepraszam.

W gabinecie zapadła cisza. Wszyscy czekali na to, co się stanie, zdając sobie sprawę, że nastąpi to już wkrótce. Pięć sztuk broni, pomyślał Morley. Żałosne. Tamci mają pociski powietrze-ziemia, działka kalibru 20 milimetrów i Bóg wie co jeszcze. Czy warto w ogóle podejmować walkę?

- Warto - powiedział Ignatz Thugg, prawidłowo interpretując wyraz jego twarzy.

- Wydaje mi się, że masz rację - odparł Seth Morley.

- Chyba wiem, na czym polega ten eksperyment - oznajmił Wade Frazer. Pozostali przypuszczali, że im to zaraz powie, ale on ograniczył się do tego jednego stwierdzenia.

- Mów - ponaglił go Babble.

- Jeszcze nie teraz - odparł Frazer. - Dopiero wtedy, kiedy będę pewien.

Ja chyba też wiem, pomyślał Morley. Frazer ma rację: lepiej nawet o tym nie rozmawiajmy, dopóki nie nabierzemy stuprocentowej pewności.

- Wiedziałam, że jesteśmy na Ziemi - powiedziała cicho Mary Morley. - Poznałam Księżyc. Dawno temu, kiedy jeszcze byłam dzieckiem, widziałam zdjęcia Luny...

- I co pani z tego wywnioskowała? - zapytał Wade Frazer.

- Ja... - Zawahała się i spojrzała niepewnie na męża. - To chyba wojskowy eksperyment prowadzony przez Interplan Zachód, prawda? Tak jak wszyscy podejrzewaliśmy?

Seth skinął głową.

- Owszem.

- Istnieje jeszcze jedna możliwość - powiedział Frazer.

- Nie mów o niej - ostrzegł go Morley.

- Chyba lepiej stanąć z nią twarzą w twarz, zastanowić się, czy to może być prawda, i dopiero potem zdecydować, czy będziemy z nimi walczyć.

- Sł... słuchamy. - Babble aż zajął się z niecierpliwości.

- Wszyscy jesteśmy niebezpiecznymi szaleńcami, którzy popełnili poważne przestępstwa - wyłożył swoją teorię Wade Frazer. - Przez jakiś czas, być może nawet całe lata, przebywaliśmy wewnątrz tego, co nazywamy „Budynkiem”, a co w rzeczywistości stanowi połączenie szpitala psychiatrycznego z więzieniem dla...

- A osiedle? - wpadł mu w słowo Babble.

- To właśnie jest ten eksperyment - wyjaśnił Frazer. - Tyle że nie wojskowy, ale medyczo-więzienny. Chcieli się przekonać, czy będziemy zdolni do życia na wolności, na planecie położonej z dala od Terry. Oblaliśmy ten egzamin, bo zaczęliśmy się nawzajem zabijać. - Wskazał na paralizator. - Z tej broni zabito Tallchiefa. Od tego wszystko się zaczęło. Ty to zrobiłeś, Babble. Ty zabiłeś Tallchiefa. Czy potem zabiłeś także Susie Smart?

- Nie! - wyskrzeczwał Babble.

- Ale Tallchief to twoja sprawka, prawda?

- Dlaczego to zrobiłeś? - zapytał doktor Ignatz Thugg.

- Ja... domyśliłem się, kim jesteśmy. Podejrzewałem, że Tallchief jest tym, kim okazał się Russell.

- Kto zabił Susie Smart? - zapytał Morley Frazera.

- Nie mam pojęcia. Może Babble, a może ty, Morley? Zrobiłeś to? - Frazer zmierzył go uważnym spojrzeniem. - Nie, chyba nie. W takim razie może Ignatz. Najważniejsze jest to, że mógł to zrobić każdy z nas. Wszyscy mamy odpowiednie skłonności. Właśnie dlatego trafiliśmy do wnętrza Budynku.

- Ja zabiłam Susie - odezwała się Mary.

- Dlaczego? - wykrztusił z niedowierzaniem Seth.

- Za to, co z tobą robiła. - Głos jego żony był całkowicie spokojny. - Poza tym ona też próbowała mnie zabić. Miała specjalnie wytresowaną kopię Budynku. Działałam w obronie własnej. To ona zaczęła.

- Chryste... - jęknął Seth Morley.

- Tak bardzo ją kochałeś? - zapytała oskarżycielskim tonem Mary. - Tak bardzo, że nie potrafisz zrozumieć, dlaczego to zrobiłam?

- Prawie jej nie znałem - odparł Seth.

- Znałeś ją wystarczająco dobrze, żeby...

- W porządku - przerwał jej Ignatz Thugg. - Teraz to i tak nie ma znaczenia. Frazer udowodnił, co chciał: każde z nas mogło coś takiego zrobić i prawie każde zrobiło. - Przez jego twarz przebiegł spazmatyczny skurcz. - Nie, na pewno się mylisz! Nie wierzę! Niemożliwe, żebyśmy wszyscy byli niebezpiecznymi szaleńcami!

- Zabójstwa - powiedział Wade Frazer. - Już od dawna wiedziałem, że wszyscy jesteśmy potencjalnymi mordercami. Zobacz, ile wśród nas autyzmu i schizofrenicznego braku uczuć. - Wskazał oskarżycielskim gestem na Mary Morley. - Posłuchaj, w jaki sposób ona mówi o zabiciu Susie Smart. Tak, jakby to nie było nic wielkiego. - Skierował palec na doktora Babble'a. - Albo to, co on powiedział o śmierci Tallchiera... Zabił człowieka, którego w ogóle nie znał, na wypadek... na wypadek!... gdyby ten się okazał kimś z władz. Kimkolwiek z władz.

Milczenie, jakie zapadło po słowach Frazera, przerwał po pewnym czasie doktor Babble.

- Nie mogę tylko zrozumieć, kto zabił Robertę Rockingham? Taka wspaniała, dystygowana, wykształcona kobieta... Nie zrobiła nikomu nic złego.

- Możliwe, że nikt jej nie zabił - odparł Seth Morley. - Była bardzo słaba, więc może przyszli po nią, żeby ją uratować, tak jak potem zjawili się po mnie. To właśnie mi powiedzieli: że Babble nie zszył mi dokładnie tętnicy i że muszą mnie stąd zabrać, bo w przeciwnym razie wkrótce umrę.

- Wierysz im? - zapytał Ignatz Thugg.

- Nie wiem - odpowiedział szczerze. - Przypuszczam, że to mogła być prawda. Gdyby było inaczej, dlaczego mnie nie zastrzelili tak jak Belsnora? - Czy na pewno zabili tylko jego? - przemknęło mu przez myśl. A my załatwiliśmy wszystkich pozostałych? To by się zgadzało z teorią Frazera... Poza tym mogli go zabić niechcący. Być może śpieszyli się i nie sprawdzili, na jaką moc mają ustawione paralizatory.

W dodatku przypuszczalnie bali się nas.

- Wydaje mi się, że starali się jak najmniej mieszać do naszych spraw - odezwała się Mary. - W końcu to przecież był eksperyment i chcieli zobaczyć, co z niego wymknie. Potem, kiedy już zobaczyli, przysłali Russella... i zabili Belsnora. Może nie widzieli w tym nic złego, bo przecież on wcześniej zabił Tony'ego. Nawet my rozumiemy, że to było... - Umilkła, szukając właściwego słowa.

- Niepoczytalne - podpowiedział Frazer.

- Właśnie: niepoczytalne. Przecież mógł odebrać Tony'emu miecz w jakiś inny sposób. - Położyła lekko rękę na zranionym ramieniu męża. Bardzo lekko, ale z uczuciem. - Dlatego próbowali ocalić Seta. On nikogo nie zabił. Jest niewinny. A ty... - parsknęła z nienawiścią na Thugga. - Wśliznąłbyś się do gabinetu i zamordował go, kiedy tam leżał, zupełnie bezsilny!

Ignatz Thugg wzruszył lekceważąco ramionami.

- To samo z panią Rockingham - dodała Mary. - Ona też nikogo nie zabiła, więc ją także ocalili. Jest oczywiste, że w sytuacji, kiedy eksperyment taki jak ten kończy się całkowitym niepowodzeniem, starają się...
- Wszystko, co mówicie, potwierdza moją teorię - przerwał jej Frazer, uśmiechając się wyniośle, jakby jego zupełnie to nie dotyczyło.
- Tutaj musi wchodzić w grę jeszcze jakiś czynnik - mruknął z zastanowieniem Morley. - Gdyby było inaczej, nie pozwoliliby nam mordować się tak długo. Wygląda na to, że nic o tym nie wiedzieli, przynajmniej do chwili, kiedy zjawił się tutaj Russell. Wtedy im powiedział, co się dzieje.
- Może nawaliło monitorowanie - zauważył Babble. - Jeżeli polegali na tych sztucznych owadach biegających wszędzie z miniaturowymi kamerami telewizyjnymi...
- Jestem pewien, że mieli coś jeszcze - wpadł mu w słowo Morley. - Przeszukaj kieszenie Russella - polecił żonie. - Sprawdź wszystko, co się da: metki na ubraniu, jaki ma zegarek, strzępy papierów.
- Dobrze.

Przykucnęła i zaczęła delikatnie ściągać z ciała kurtkę.

- Chcę zobaczyć, co jest w środku - powiedział Babble, kiedy Mary wyjęła portfel Russella. Wziął go od niej i otworzył. - Dowód tożsamości. Ned W. Russell, zamieszkały w kolonii na Syriuszu 3. Wiek: dwadzieścia dziewięć lat. Włosy brązowe, oczy brązowe. Wzrost: metr osiemdziesiąt. Uprawniony do pilotowania pojazdów klasy B i C. - Zajrzał głębiej do portfela. - Żonaty. Trójwymiarowa fotografia jakiejś młodej kobiety, pewnie jego żony. I zdjęcia dziecka.

Przez jakiś czas w pokoju panowało milczenie.

- Nie miał przy sobie nic wartościowego - przerwał je Babble. - Nic, co by nam cokolwiek powiedziało. - Podwinął lewy rękaw Russella. - Zegarek: samonakręcająca się omega. Dobry zegarek. - Podwinął rękaw jeszcze wyżej. - Na wewnętrznej stronie przedramienia tatuaż. Bardzo dziwne. Ja mam taki sam, w tym samym miejscu. - Dotknął palcem wzoru na skórze martwego mężczyzny. - Persus 9... - mruknął, po czym rozpiął swój mankiet i podwinął rękaw do łokcia. Rzeczywiście, w tym samym miejscu znajdował się identyczny tatuaż.
- Ja mam taki sam na podbiciu stopy - poinformował Seth Morley. Dziwne, pomyślał. Zupełnie o nim zapomniałem.

- Kiedy go zrobiłeś? - zapytał Babble. - Ja nie pamiętam, więc to musiało być bardzo dawno temu. Nawet nie wiem, co oznacza... O ile kiedykolwiek wiedziałem. Wygląda na wojskowy znak identyfikacyjny określający miejsce przydziału. Na przykład garnizon na Persus 9.

Seth przyjrzał się otaczającym go twarzom. Na wszystkich malował się wyraz obawy i niepewności.

- Wy też macie takie tatuaże - stwierdził Babble, przerywając trwającą bez końca, zdawało się, ciszę.

- Czy ktoś pamięta, skąd to ma? - zapytał Morley. - Lub dlaczego? Albo przynajmniej co to znaczy?

- Ja mam swój od dzieciństwa - powiedział Wade Frazer.

- Ty nigdy nie byłeś dzieckiem! - parsknął Morley.

- Bardzo dziwna uwaga - mruknęła Mary.

- Chciałem przez to powiedzieć, że nie potrafię go sobie wyobrazić jako dziecka - wyjaśnił Seth.

- Ale powiedziałaś coś innego - zauważyła jego żona.

- Jaka to różnica, co powiedziałem? - Ogarnęła go gwałtowna irytacja. - Okazało się, że jednak mamy ze sobą coś wspólnego: tatuaż. Prawdopodobnie Susie i cała reszta... ci, co nie żyją... też go mieli. Musimy wreszcie powiedzieć sobie szczerze, że wszyscy cierpimy na częściową amnezję, bo w przeciwnym razie wiedzielibyśmy, co to znaczy. Wiedzielibyśmy, co to jest Persus 9 albo co to było wtedy, kiedy robiono nam te tatuaże. Obawiam się, że uzyskaliśmy w ten sposób kolejne potwierdzenie teorii, według której jesteśmy niebezpiecznymi wariatami. Przypuszczalnie zostaliśmy oznaczeni w ten sposób, kiedy byliśmy więzieni w Budynku, a ponieważ tego nie pamiętamy, nie możemy także pamiętać, czego dotyczą tatuaże. - Pogрузzył się w ponurych dywagacjach, chwiliowo nie zwracając najmniejszej uwagi na swoich słuchaczy. - Zupełnie jak w Dachau. Myślę, że koniecznie musimy się dowiedzieć, co oznaczają te napisy. Będzie to pierwszy konkretny dowód wskazujący na to, czym lub kim naprawdę jesteśmy i jaką funkcję miało spełniać to osiedle. Czy ktoś z was ma jakiś pomysł?

- Może uda nam się coś wyciągnąć z komputera statku - odezwał się Ignatz Thugg.

- Może. W każdym razie na pewno nie zaszkodzi spróbować. Ale wydaje mi się, że przede wszystkim powinniśmy zapytać lina. Chcę przy tym być. Możecie zabrać mnie ze sobą?

Jeżeli mnie tu zostawicie, dodał w duchu, zostanę zamordowany. Tak jak Belsnor.

- Zaniesiemy cię na statek, ale pod jednym warunkiem - odparł doktor Babble. - Najpierw sprawdzimy zawartość pamięci komputera. Jeżeli tam nic nie będzie, wyruszymy na poszukiwanie lina, ale jeśli dowiemy się wszystkiego, nie będziemy musieli podejmować...

- Zgoda - przerwał mu Morley. Był przekonany, że komputer statku nie będzie mógł im w niczym pomóc. Pod kierownictwem Ignatza Thugga zabrali Morleya i ruszyli w kierunku statku.

Znalazłszy się ponownie w fotelu przed tablicą przyrządów, Seth Morley wcisnął przycisk z napisem POMOC.

- Słuuucham, prrrroszę pana - zaskrzeczał głośnik.

- Czy masz w pamięci hasło „Persus 9”?

Odpowiedziała mu chwila ciszy, wypełniona szumem wirującego z dużą szybkością mechanizmu, a

następnie sztucznie generowany głos:

- Nie mam żadnych informacji o Persus 9, proszę pana.

- Gdyby to była planeta, na pewno byś coś o niej wiedział?

- Tak, jeżeli byłaby to planeta znana dowództwu Interplanu Zachód lub Interplanu Wschód.

- Dziękuję. - Morley wyłączył POMOC. - Przeczuwałem, że nic się od niego nie dowiemy. A teraz mam jeszcze silniejsze przeczucie, że lin powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć. -I że spełni swoje powołanie, odpowiadając nam na to jedno, konkretne pytanie, dodał w myślach.

Nie miał najmniejszego pojęcia, dlaczego tak uważa.

- Ja poprowadzę statek - powiedział Thugg. - Jesteś zbyt wyczerpany. Połóż się i odpocznij.

- Taki tu tłok, że nie mam się gdzie położyć - odparł Seth Morley.

Pozostali posunęli się nieco, a on z ulgą wyciągnął się na podłozie. Pilotowany przez Thugga statek wzbił się w powietrze. Morderca pilotem, myślał Seth. Lekarz mordercą.

I moja żona też morderczynią. Zacisnął powieki. Statek przyspieszył, lecąc na poszukiwanie lina.

- Jest tam - powiedział Wade Frazer, wpatrując się uważnie w ekran. - Ląduj.

- W porządku - odparł pogodnie Thugg. Lekko dotknął plastikowej kuli i statek natychmiast zaczął się zniżać ku ziemi.

- Czy ci z Budynku zauważą nas? — zapytał nerwowo Babble.

- Najprawdopodobniej.

- I tak nie możemy już zawrócić - dodał Seth Morley.

- Oczywiście, że możemy - odparł Ignatz Thugg. -Tyle że nikt nic o tym nie wspominał.

Położył dłonie na przyrządach sterowniczych i statek podszedł łagodnie do lądowania, dotknął kołami ziemi i zatrzymał się po kilkunastu podskokach.

- Pomóżcie mi - poprosił Morley, stając chwiejnie na nogach. Głowę wypełniało mu basowe buczenie. Jakby ktoś przepuszczał mi przez mózg falę dźwiękową o częstotliwości sześćdziesięciu herców, pomyślał. To ze strachu. To tylko strach, moja rana nie ma z tym nic wspólnego.

Ostrożnie wyszli ze statku na spieczony, jałowy teren. Natychmiast poczuli woń spalenizny. Mary sięgnęła po chusteczkę, żeby wydmuchać nos.

- Gdzie jest rzeka? - zapytał Seth Morley, rozglądając się dookoła.

Rzeka zniknęła.

Albo jesteśmy gdzieś indziej, pomyślał. Może lin zmienił miejsce pobytu. W tej samej chwili zobaczył go, stojącego niedaleko od nich. Udało mu się niemal doskonale wtopić w krajobraz. Jak pustynna ropucha wkopująca się tyłem w piasek, przemknęło błyskawicznie Sethowi przez głowę.

Babble napisał coś szybko na skrawku papieru i podał Morleyowi do zatwierdzenia.

CO TO JEST PERSUS 9?

- W porządku. - Morley pokazał kartkę pozostałym: wszyscy poważnie skinęli głowami. - Dobra - powiedział najbardziej dziarskim tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Połóż to przed nim.

Wielka bryła galaretowatej protoplazmy zadrżała lekko, jakby zdając sobie sprawę z ich obecności, a potem, kiedy kartka z pytaniem znalazła się na ziemi, lin zakołysał się gwałtownie. Wygląda na to, że chce od nas uciec, pomyślał Morley. Kołysanie trwało nadal, przybierając nawet na sile, a u podstawy bloku żelatyny pojawiła się kałuża jakiegoś płynu.

Seth uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Lin nigdy nie reagował w taki sposób.

- Cofnijcie się! - zawołał ostrzegawczo Babble. Chwycił Morleya za zdrowe ramię i odciągnął gwałtownie do tyłu.

- Mój Boże, on się rozpada! - wyszeptała Mary. Błyskawicznie odwróciła się i uciekła do statku, żeby ukryć się w jego wnętrzu.

- Ona ma rację - bąknął Wade Frazer, po czym poszedł w jej ślady.

- Mam wrażenie, że... - zaczął Babble, ale nie dokończył, bo z lina wydobył się donośny jęk, zagłuszając jego słowa. Galaretowata bryła zakołysała się gwałtownie i zmieniła kolor, kałuża powiększała się w szybkim tempie, tworząc grząskie bajoro. W chwilę potem, kiedy wpatrywali się w niego z odrazą, lin rozpadł się na dwie części, a zaraz potem na cztery.

- Może on się w ten sposób rozmnaża? - zapytał głośno Morley, usiłując przekrzyczeć narastające z każdą chwilą jęczenie. - Chyba jednak nie - odpowiedział sam sobie. - On umiera. Zabiliśmy go pytaniem, na które nie umie odpowiedzieć.

- Może je cofnę... - mruknął Babble. Przyklęknął i wyciągnął rękę po kartkę leżącą na ziemi przed linem. W tej chwili lin eksplodował.

Przez jakiś czas stali bez ruchu, spoglądając na rozrzucone dokoła szczątki. Mnóstwo żelatyny, otaczającej szerokim kręgiem centrum wybuchu. Morley ruszył powoli w stronę tego miejsca. Mary i pozostali, którzy uciekli, wrócili ostrożnie, żeby przyjrzeć się z bliska temu, co zrobili.

- Ale dlaczego? - zapytała podekscytowana Mary. - Co takiego było w tym pytaniu, że aż...

- To był komputer - przerwał jej Seth.

Pod warstwą żelatyny mógł bez trudu rozróżnić elektroniczne części składowe tworzące niewidoczną do tej pory, centralną część lina. Przewody, tranzystory, obwody drukowane, bębny z taśmami, kryształy, tysiące przełączników - wszystko rozrzucone na ziemi jak maleńkie chińskie petardy z ogniami sztucznymi. Rozleciały się we wszystkie strony. Nie było żadnych szans na naprawę: lin nieodwracalnie przestał istnieć.

- A więc to było coś nieorganicznego... - wykrztusił ze zdumieniem Babble. - Wiedziałeś o tym, Morley?

- Miałem przeczucie, ale okazało się nietrafne - odparł Seth Morley. - Myślałem, że będzie mógł nam odpowiedzieć... Że jest jedyną żywą istotą, która może nam odpowiedzieć na to pytanie.

Jak bardzo się myliłem, pomyślał.

- Ale pod jednym względem miałeś rację - odezwał się Wade Frazer. - To rzeczywiście jest kluczowe pytanie. Tylko co teraz zrobimy?

Teren dokoła nich zaczął dymić, jakby żelatynowa substancja i części komputerowe zapoczątkowały jakąś łańcuchową reakcję chemiczną. Dym miał w sobie coś złowieszczonego, podkreślającego powagę sytuacji, w jakiej się znaleźli. To reakcja łańcuchowa, którą zapoczątkowali, ale nie potrafimy powstrzymać, pomyślał ponuro Seth Morley. Do czego ona doprowadzi? Już teraz w gruncie wokół miejsca, gdzie jeszcze niedawno stał lin, pojawiły się pierwsze, szerokie pęknięcia. Ciecz sącząca się z porzrzuconych szczątków spływała do nich, znikając bez śladu, a gdzieś z dołu, z ogromnej głębokości, dobiegał przytłumiony łoskot, jakby obudziło się tam coś ogromnego i złowieszczonego.

Niebo raptownie pociemniało.

- Dobry Boże, Morley! - wykrzyknął Wade Frazer. - Coś ty narobił tym swoim.. pytaniem?! - Rozłożył ręce w konwulsyjnym geście. - Wszystko się rozpada!

Miał rację. Szczeliny bieły już we wszystkich kierunkach: jeszcze chwila i nie będzie gdzie postawić stopy. Statek, zaświtało Morleyowi. Musimy do niego wrócić.

- Babble! - wychrypiał. - Zaprowadź nas z powrotem do statku.

Ale Babble zniknął. Rozglądając się w otaczającym go zamęcie, Morley nie mógł dostrzec ani jego, ani pozostałych.

Na pewno są już w statku, pomyślał, i najszybciej, jak mógł, ruszył w tamtym kierunku. Nawet Mary. Sukinsyny. Zataczając się, dotarł do szeroko otwartej klapy.

Tuż obok niego pojawiła się szczelina co najmniej półtorametrowej szerokości. Bezwiednie spojrzął w nią i na samym dnie dostrzegł coś błyszczącego: była to ogromna obła istota, pozbawiona oczu, pływająca w ciemnej, cuchnącej cieczy. Nie zwróciła na niego najmniejszej uwagi.

- Babble! - zaskrzeczał i z największym trudem postąpił krok w kierunku statku. Znalazłszy się przy

włazie, wspiął się z wysiłkiem, pomagając sobie zdrową ręką, i stanął w wejściu.

Statek był pusty.

Zostałem zupełnie sam, przemknęła mu przez głowę rozpaczliwa myśl. Statek nagle zakołysał się i zatoczył, reagując na wstrząsy podłoża. Zaczął padać deszcz; Seth poczuł na skórze dotknięcia czarnych, gorących kropli, jakby nie była to woda, lecz jakiś kwas albo jeszcze inna, mniej sympatyczna substancja. Krople wywoływały nieprzyjemne pieczenie, więc wszedł do środka, sapiąc, zanosząc się ciężkim kaszlem i zastanawiając, gdzie podziali się pozostali. Zniknęli bez śladu. Pokuśtykał do ekranu, ale w tej samej chwili statek zakołysał się ponownie, tym razem nie odzyskując równowagi. Zapada się, pomyślał Morley. Muszę startować. Nie mogę dłużej ich szukać. Wdusił palcem przycisk uruchamiający silnik i kręcąc plastikową kulą, skierował statek, a wraz z nim siebie, w mroczne, wstrętne niebo, bez wątpienia zabójcze dla wszelkiego życia. Słyszał, jak krople deszczu uderzają o kadłub. Co to za deszcz? Jakby kwas albo coś w tym rodzaju. Niewykluczone, że przeżre kadłub i zniszczy zarówno statek, jak i mnie.

Usiadł przed tablicą przyrządów, ustawił ekran na maksymalne powiększenie i kazał statkowi zataczać szerokie koła. Na ekranie pokazał się Budynek, atakowany wściekle przez wzburzoną, spienioną rzekę. W obliczu niebezpieczeństwa Budynek przerzucił przez rozfalowaną wodę prowizoryczny most, po którym szli kobiety i mężczyźni, zmierzając w jego stronę.

Wszyscy byli starzy. Szarzy i delikatni, niczym chore myszy, zbili się w ciasną gromadę, posuwając się krok za krokiem w kierunku Budynku. Morley uświadomił sobie, że nie uda im się do niego dotrzeć. Kim oni są?

Wpatrując się z natężeniem w ekran, rozpoznał swoją żonę. Była stara, jak pozostali. Przygarbiona, słaba, przerażona... W grupie była też Susie Smart. I doktor Babble. Teraz widział ich wszystkich: Russell, Ben Tallchief, Glen Belsnor, Wade Frazer, Betty Jo Berm, Tony Dunkelwelt, Babble, Ignatz Thugg, Maggie Walsh, stary Bert Kosler - ten się nie zmienił, bo już wcześniej był stary - Roberta Rockingham i wreszcie Mary.

Dopadł ich Niszczyciel Formy. To on im to zrobił. A teraz wszyscy wracają tam, skąd przyszli. Na zawsze. Żeby umrzeć.

Nagle kadłub statku zadźwięczał przeraźliwie, wpadając w potworną wibrację. W metalową powierzchnię uderzało coś twardego. Kiedy Seth zwiększył pułap lotu, hałas ustał. Co to było? - zastanawiał się, wpatrzony w ekran.

I wtedy to zobaczył.

Budynek zaczął się rozpadać. Jego fragmenty, zarówno plastikowe, jak i metalowe, mknęły w górę, jakby porwane niszczycielskim wiatrem. Przerzucony przez rzekę most rozpadł się na części. Ci, którzy znajdowali się na nim, wpadli wraz z jego szczątkami do mulistej, wzburzonej wody i zniknęli bez śladu. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, bo sam Budynek także umierał. Nie udałooby im się w nim ukryć.

Tylko ja jeden przeżyłem, pomyślał Seth Morley. Jęknąwszy rozpaczliwie, zakręcił plastikową kulą. Statek przestał zataczać szerokie kręgi i skierował się najkrótszą drogą w stronę osiedla.

Nagle silnik umilkł.

Morley słyszał tylko uderzenia kropli o kadłub. Maszyna zaczęła się ześlizgiwać w dół, z każdą chwilą nabierając prędkości.

Zamknął oczy. Zrobiłem wszystko, co mogłem, powiedział w duchu. Wykorzystałem każdą szansę. Próbowałem ze wszystkich sił.

Uderzenie wyrzuciło go z fotela i cisnęło na podłogę. Kadłub rozpadł się z hukiem, a on poczuł, że zalewa go kwaśny, piekący deszcz. Gdy otworzył oczy, stwierdził, że krople wypaliły już dziury w jego ubraniu i zaczynają pożerać ciało. Dostrzegł to w ułamku sekundy, a potem czas jakby zatrzymał się w miejscu, podczas gdy wrak maszyny koziółkował po ziemi, orząc szeroką bruzdę... Morley nie czuł już strachu, rozpacz czy bólu, tylko przyglądał się śmierci statku - i swojej - jak postronny, niezaangażowany obserwator.

Statek wreszcie znieruchomiał. Zapadła cisza, wypełniona delikatnym szmerem gęstych kropli deszczu. Morley leżał zagrzebany do połowy w rumowisku składającym się ze szczątków tablicy przyrządów i ekranu. Jezu, pomyślał. Wszystko poszło w drzazgi, a za chwilę ziemia otworzy się i połknie statek i mnie. Ale to nie ma znaczenia, bo ja i tak umieram. W pustce, beznadziejności i osamotnieniu. Jak wszyscy, którzy przeszli przez to wcześniej. Orędowniku, ujmij się za mną, poprosił bezgłośnie. Zastąp mnie. Umrzyj za mnie. Czekał, słysząc jedynie szmer deszczu.

Rozdział piętnasty

Zgorzkniały Tony Dunkelwelt porzuca szkołę i wraca do miasteczka, w którym się urodził.

Glen Belsnor zdjął z bolącej głowy poliencefaliczny cylinder, odłożył go ostrożnie na bok i wstał z wysiłkiem. Dotknąwszy czoła, poczuł wyraźny ból. To było okropne, pomyślał. Tym razem zupełnie nam się nie udało.

Dotarł niepewnym krokiem do jadalni statku i nalał sobie szklanekę letniej butelkowanej wody. Następnie zaczął przeszukiwać kieszenie, aż wreszcie znalazł silnie działającą tabletkę przeciwbólową i połknął ją, popijając kilkoma łykami wody pochodzącej z zamkniętego obiegu statku.

Teraz zaczęli się także poruszać ludzie leżący w innych komórkach. Wade Frazer uniósł rękę do cylindra, a encefalogram Susie Smart pokazywał, że dziewczyna zaczyna powoli odzyskiwać przytomność.

Pomagając Susie zdjąć ciężki cylinder, usłyszał rozpaczliwy jęk, świadczący o czymś głębokim cierpieniu. Okazało się, że jęczy Seth Morley.

- Zaraz - powiedział Belsnor. - Zajmę się tobą, jak tylko będę mógł.

Stopniowo budzili się wszyscy. Ignatz Thugg chwycił cylinder, szarpnął gwałtownie i ściągnął z głowy, po czym z zapuchniętymi oczami i wyrazem odrazy na szczupłej, mizernej twarzy usiadł wyprostowany na koi.

- Pomóż mi - powiedział Belsnor. - Zdaje się, że Morley jest w szoku. Zajmij się doktorem Babble'em.

- Morleyowi nic nie będzie - mruknął Thugg, trąc oczy i krzywiąc się, jakby chwyciły go mdłości. - Jak zwykle.

- Mówię ci, że tym razem jest w szoku. Musiał zginąć okropną śmiercią.

Thugg wstał z ociąganiem i skinął głową.

- Jak sobie życzysz, kapitanie.

- Ustaw termoregulator na wyższą temperaturę - polecił mu Belsnor, a sam nachylił się nad leżącym twarzą w dół doktorem. - Obudź się, Milt! - zawołał, zdejmując mu z głowy cylinder.

Tu i tam rozlegały się głośne jęki i niepewnie poruszali się oszołomieni ludzie.

- Wszystko jest w porządku - oznajmił głośno kapitan Belsnor. - Nic wam się nie stało. Tym razem

nic z tego nie wyszło, ale wykaraskacie się, jak zawsze. Bez względu na to, przez co przeszliście. Doktor Babbie da wam zastrzyk ułatwiający przestawienie się z funkcjonowania poliencefalicznego na normalne, homoencefaliczne. - Odczekał chwilę, po czym powtórzył jeszcze raz to samo.

- Czy jesteśmy na pokładzie Persusa 9? - zapytał Seth Morley, drżąc na całym ciele.

- Jesteście z powrotem na statku - poinformował go Belsnor. - Tak, to Persus 9. Pamiętasz, w jaki sposób umarłeś, Morley?

- To było coś okropnego... - wykrztusił z trudem Seth.

- No tak - mruknął Belsnor. - Byłeś ranny w ramię.

- Później, już po eksplozji lina. Pamiętam, że leciałem gdzieś statkiem, który zepsuł się i rozpadł na kawałki. Rozdarło mnie na strzępy. Kiedy szczątki spadły na ziemię, byłem rozmazany po całej kabynie.

- Tylko nie licz na to, że ci będę współczuł - powiedział Belsnor. On sam zginął przecież porażony silnym ładunkiem elektrycznym.

Sue Smart dotknęła delikatnie tylnej części swojej czaszki i skrzywiła się boleśnie. Jej długie włosy były potargane, a z rozpięcia bluzki wyglądała chytrze jedna pierś.

- Załatwili cię kamieniem - poinformował ją Belsnor.

- Ale dlaczego? - Wciąż wydawała się lekko oszołomiona. — Czy zrobiłam coś złego?

- To nie twoja wina - odparł Belsnor. - Tym razem znaleźliśmy się we wrogim środowisku, a w dodatku wszyscy daliśmy upust nagromadzonej przez długi czas agresji.

Przypominał sobie niejasno, że sam zastrzelił Tony'ego Dunkelwelta, najmłodszego członka załogi. Mam nadzieję, że nie weźmie mi tego za złe, pomyślał kapitan Belsnor. W każdym razie nie powinien. Bądź co bądź on z kolei zabił Berta Koslera, naszego kucharza.

Wybiliśmy się prawie do nogi. Mam nadzieję - modłę się, żeby tak było! - że następnym razem będzie inaczej, tak jak do tej pory. Wygląda na to, że na Delmak-O pozbyliśmy się całej drzemiącej w nas agresji.

- Niech pan się rusza, doktorze - zwrócił się Belsnor do Babbie'a, który stał obok niego, chwiejąc się na nogach i niezdarnie usiłując doprowadzić do porządku ubranie. - Proszę się zorientować, co komu potrzeba. Środki przeciwbólowe, uspokajające, pobudzające... Ludzie pana potrzebują. Ale... - Nachylił się do niego. - Jak już panu mówiłem, proszę nie dawać im nic z tych rzeczy, których mamy za mało.

Babbie zwrócił się do Betty Jo Berm.

- Czy potrzebuje pani pomocy, panno Berm?

- Chyba... chyba dam sobie radę - odparła Betty Jo, siadając z wysiłkiem na łóżku. - Jeżeli tylko będę mogła chwilę odpocząć... - Uśmiechnęła się smutno. - Utopiłam się - powiedziała. - Brrr. - Jednak na jej twarzy obok zmęczenia pojawił się także wyraz ulgi.

- Co prawda robię to niechętnie, ale muszę skreślić tę symulację jako zbyt nieprzyjemną, by wracać do niej w przyszłości - oznajmił głośno i wyraźnie Belsnor.

- Ale za to miała wybitne właściwości terapeutyczne - zauważył Frazer, zapalając drżącymi dłońmi fajkę. - Przynajmniej z psychiatrycznego punktu widzenia.

- Sytuacja wymknęła się nam spod kontroli - zwróciła mu uwagę Sue Smart.

- Bo tak miało być - odparł Babble, pomagając budzącym się kolejno osobom. - To się nazywa całkowite katharsis. Dzięki temu pozbyliśmy się prawie całej ukrytej wrogości, jaką czuliśmy do siebie nawzajem.

- Mam nadzieję, że naprawdę pozbył się pan swojej wrogości do mnie - mruknął Tallchief. - Ale za to, co pan mi zrobił...

- Statek... - wyszeptał z niedowierzaniem Seth Morley.

- Owszem - odparł z przekąsem rozbawiony kapitan Belsnor. - O czym jeszcze zapomniałeś tym razem? Chcesz, żebym ci wszystko przypomniał?

Morley milczał, jakby w dalszym ciągu częściowo pogrążony w transie.

- Proszę mu dać amfetaminę albo coś w tym rodzaju, żeby doszedł do siebie - zwrócił się Belsnor do doktora Babble'a. Z Morleyem było zawsze to samo: nie potrafił się szybko przenieść z poliencefalicznego świata do rzeczywistości.

- Nic mi nie będzie - powiedział Seth Morley i zamknął zmęczone oczy.

Mary podeszła do niego, usiadła obok na łóżku i położyła mu na ramieniu szczupłą dłoń. Usiłował się od niej odsunąć, bo pamiętał o swojej ranie, lecz nagle sobie uświadomił, że ból w jakiś tajemniczy sposób zniknął. Ostrożnie pomacał: żadnej rany ani opatrunku. Dziwne, pomyślał. Ale zdaje się, że za każdym razem jest tak samo, o ile mogę sobie przypomnieć.

- Potrzebujesz czegoś? - zapytała żona.

- Z tobą wszystko w porządku? - odpowiedział pytaniem.

Skinęła głową.

- Dlaczego zabiłaś Sue Smart? Zresztą nieważne - dodał szybko, widząc zawzięty grymas na jej twarzy. - Nie wiem dlaczego, ale te wszystkie zabójstwa bardzo mnie niepokoją. Jeszcze nigdy nie zdarzyło nam się nic takiego. To było okropne. Bezpiecznik powinien przerwać obwód zaraz po pierwszym morderstwie.

- Słyszałeś, co powiedział Frazer. Potrzebowaliśmy tego. Podczas lotu nagromadziło się między nami zbyt wiele ukrytych napięć.

Teraz rozumiem, dlaczego lin eksplodował, kiedy zapytaliśmy go, co to jest Persus 9, pomyślał Morley. Wcale się nie dziwię. Przy okazji rozwalił na kawałki całą tamtą rzeczywistość.

Jego uwagę przyciągnęła obszerna, aż nazbyt dobrze znana kabina statku. Na jej widok poczuł coś w rodzaju nasyconego odrazą przerażenia. Dla niego rzeczywistość statku była o wiele mniej przyjemna niż ta z... Jak się nazywała ta planeta? Aha, Delmak-O. Utworzyliśmy nazwę z liter podawanych nam losowo przez komputer, dorobiliśmy do niej rzeczywistość, a potem dostaliśmy od niej w kość. Podniecająca przygoda zamieniła się w jatki. Zanim dobiegła końca, nikt z nas nie pozostał przy życiu.

Sprawdził datę na zegarku. W czasie rzeczywistym minęło dwanaście długich dni, natomiast w poliencefalicznym zaledwie nieco ponad dwadzieścia cztery godziny. Chyba żeby doliczył do tego „osiem lat” spędzonych w kibucu Tekel Upharsin, ale tego nie mógł zrobić, bo przecież były to tylko sztuczne wspomnienia wszczepione w jego świadomość po to, żeby urealnić tamte wydarzenia.

Co tym razem stworzyliśmy? - zadał sobie pytanie, usiłując dojrzeć coś przez mgłę spowijającą jego umysł. Całą teologię. Nakarmili pokładowy komputer wszystkimi dostępnymi informacjami na temat najbardziej rozwiniętych religii. LIN 889B wchłonął dane dotyczące judaizmu, chrześcijaństwa, mahometanizmu, zoroastryzmu, buddyzmu... Była tego ogromna ilość, z której LIN 889B miał sklecić zupełnie nową religię, syntezę tamtych. Udało się nam, pomyślał z niedowierzaniem Morley, wciąż mając w pamięci Księgę Specktowsky'ego. Orędownik, Konstruktor, Chodzący po Ziemi, a nawet groźny Niszczyciel Formy tworzyli logiczny, niepodważalny system opierający się na przedestyłowanych doświadczeniach człowieka z kontaktów z Bogiem i na przeświadczeniu, że Bóg istnieje.

A sam Specktowsky... Seth zamknął oczy, wyężdżając pamięć.

Egon Specktowsky był pierwszym kapitanem Persusa 9. Zginął w wypadku, w wyniku którego nastąpiło również uszkodzenie statku. LIN 889B postąpił bardzo ładnie, czyniąc z ich byłego dowódcy autora wyznawanej w całej Galaktyce religii, której założenia legły u podstaw powstania poliencefalicznego świata, w którym przebywali. Podziw i uwielbienie, które wszyscy żywili do Egona Specktowsky'ego, ułatwiły stworzenie rzeczywistości, w której jego postać funkcjonowała niemal na boskich prawach. Dzięki temu wykreowany świat stał się bardziej prawdopodobny, bo pasował do zakodowanych w ich podświadomości przekonań.

Poliencefaliczny umysł początkowo stanowił tylko rozrywkę mającą na celu zabawianie ich podczas obliczonej na dwadzieścia lat podróży. Okazało się jednak, że podróż nie będzie trwała dwadzieścia lat, lecz nieporównanie dłużej, a zakończy się wiele lat po śmierci ostatniego z nich. Ta perspektywa stała się najgorszą, dręczącą ich nieustannie zmorą.

Dwadzieścia lat dałoby się jeszcze jakoś przeżyć, pomyślał Seth Morley. Świadomość, że to jednak kiedyś się skończy, pozwoliłaby nam wytrwać przy zdrowych zmysłach. Jednak wypadek sprawił, że wpadli w pole grawitacyjne martwej gwiazdy i zostali w nim uwięzieni. Nadajnik nie funkcjonował,

więc to, co miało być zabawką, stało się podstawowym środkiem służącym utrzymaniu zdrowia psychicznego załogi.

W gruncie rzeczy właśnie to nas najbardziej przeraża, doszedł do wniosku Morley. Perspektywa, że jedno po drugim zaczniemy wariować, a ci, którzy zostaną, będą jeszcze bardziej samotni, jeszcze bardziej odizolowani od ludzkości i wszystkiego, co jest z nią związane.

Boże, cóż bym dał za to, żebyśmy wrócili na Alfę Centauri. Gdyby tylko...

Ale takie myślenie nie miało najmniejszego sensu.

- Nie wierzę, że sami wymyśliliśmy całą teologię Specktowsky'ego - odezwał się Ben Tallchief, główny mechanik. - Wydawała się taka prawdziwa, taka... spójna.

- Oczywiście, że była spójna — odparł Belsnor. - Większość szczegółów dopracował komputer.

- Ale pomysł był nasz - zauważył Tony Dunkelwelt, wpatrując się z napięciem w kapitana. - Zabił mnie pan - powiedział.

- Wszyscy nienawidzimy się nawzajem. Ja nienawidzę ciebie, ty nienawidzisz mnie. A przynajmniej tak było przed wydarzeniami na Delmak-O. - Odwrócił się do Wade'a Frazera. - Możliwe, że miałeś rację. Czuję się znacznie spokojniejszy. Ale to wróci, najdalej za tydzień lub dwa - dodał ponuro.

- Czy naprawdę aż tak bardzo się nienawidzimy? - zapytała Sue Smart.

- Tak - odparł Wade Frazer.

Ignatz Thugg i doktor Babble pomogli wstać pani Rockingham.

- Boże, to było po prostu okropne! - wysapała z poczerwieniałą twarzą. - Co za straszne miejsce! Mam nadzieję, że już nigdy go nie zobaczę. - Podeszła do kapitana Belsnora i pociągnęła go za rękaw. - Chyba nie będziemy musieli tam wrócić, prawda? Szczerze mówiąc, uważam, że życie na statku znacznie łatwiej zaakceptować niż to, co nas spotkało na tej szalonej, dzikiej planecie.

- Już nigdy nie zobaczymy Delmak-O - zapewnił ją Belsnor.

- Dzięki Bogu. - Przy pomocy Thugga i Babble'a Roberta Rockingham usiadła z powrotem na koi. - Dziękuję wam. To bardzo miłe z waszej strony. Czy mogłabym dostać trochę kawy, panie Morley?

- Kawy? - powtórzył ze zdziwieniem. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że pełni na pokładzie Persusa 9 funkcję kucharza. Cały bezcenny zapas żywności, łącznie z kawą, herbatą i mlekiem, znajdował się pod jego opieką. - Nastawię kawę - poinformował wszystkich.

Poszedł do kuchni i nasypał do ekspresu kilka czubatych łyżek stołowych dobrej kawy. Przy okazji zauważył po raz kolejny, że jej zapas wyraźnie się zmniejszył. Za kilka miesięcy zużyją ją do końca.

Zdecydował jednak, że w chwilach takich jak ta nie sposób się obejść bez filiżanki kawy. Wszyscy

jesteśmy roztrzęsieni, chyba jak jeszcze nigdy dotąd.

Do kuchni weszła jego żona.

- Czym był Budynek? - zapytała.

- Halą montażową Boeinga na Proximie 10 - powiedział, napełniając ekspres wodą z zamkniętego obiegu. - Tam zbudowano statek i tam weszliśmy na jego pokład, pamiętasz? Spędziliśmy u Boeinga szesnaście miesięcy, przechodząc szkolenie, sprawdzając statek, ładując zapasy i wyszukując usterki. Szykowaliśmy Persusa 9 do podróży.

Przez ciało Mary przebiegł dreszcz.

- A ci ludzie w czarnych kombinezonach?

- Nie wiem.

Do pomieszczenia wszedł Ned Russell, szef bezpieczeństwa statku.

- Mogę wam powiedzieć, kim byli. Stanowili naszą nieświadomą próbę przerwania seansu i zaczęcia wszystkiego od początku. Byli sterowani myślami tych, którzy „umarli”.

- Ciekawe, skąd o tym wiesz - mruknęła zaczepnie Mary.

- Spokojnie. - Seth objął żonę ramieniem. Od samego początku większość załogi nie lubiła Russella. Właściwie nie było w tym nic dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę pełnioną przez niego funkcję.

- Założę się, Russell, że pewnego dnia spróbujesz zawładnąć statkiem i odebrać dowodzenie kapitanowi Belsnorowi - powiedziała Mary.

- Nie - odparł flegmatycznie Ned Russell. - Interesuje mnie wyłącznie zapewnienie spokoju na pokładzie. Po to mnie tu przysłano i tylko to mam zamiar robić, bez względu na to, czy to się komuś podoba, czy nie.

- Boże, cóż bym dał za to, żeby naprawdę istniał jakiś Orędownik - powiedział Morley. Wciąż nie bardzo mógł uwierzyć, że sami wymyślili teologię Specktowsky'ego. - Kiedy w Tekel Upharsin przyszedł do mnie Chodzący po Ziemi, wyglądał jak prawdziwy. Nadal wszystko wydaje mi się prawdziwe. Nie mogę się otrząsnąć.

- Właśnie w tym celu to stworzyliśmy - zauważył Russell. - Nie mieliśmy nic takiego, a bardzo tego potrzebowaliśmy. Teraz wróciliśmy do rzeczywistości, Morley. Znowu musimy stawić czoło temu, co naprawdę nas otacza. To niezbyt miłe uczucie, prawda?

- Prawda - potwierdził Seth Morley.

- Chciałbyś znaleźć się jeszcze raz na Delmak-O? - zapytał Ned Russell.

- Tak - odpowiedział po chwili.

- Ja też - dodała Mary.

- Obawiam się, że muszę się z wami zgodzić - mruknął Russell. - Choć było tam okropnie, chociaż wszyscy wstrętnie się zachowywaliśmy, to przynajmniej istniała jakaś nadzieja. A tutaj, na statku... - Gwałtownie machnął ręką. - Żadnej nadziei! Zupełnie nic. Możemy tylko czekać, aż się zestarzejemy, tak jak Roberta Rockingham, i umrzemy.

- Pani Rockingham ma dużo szczęścia - zauważyła z goryczą Mary.

- Bardzo dużo - zgodził się Russell. Jego twarz wykrzywiła się w grymasie wściekłości, bólu i całkowitej bezsilności.

Rozdział szesnasty

Po obejrzeniu przez lekarza zdjęcia rentgenowskiego Maggie Walsh dowiadyuje się, że jej stan jest beznadziejny.

„Wieczorem” po kolacji spotkali się w sterowni. Nadszedł czas, żeby obmyślić kolejny poliencefaliczny świat. Musieli zrobić to razem, gdyż w przeciwnym wypadku wykreowana rzeczywistość rozpadłaby się szybko, tak jak to się stało z Delmak-O.

W ciągu piętnastu lat nabrali znacznej wprawy.

Szczególnie Tony Dunkelwelt, który większość ze swoich osiemnastu lat życia spędził na pokładzie Persusa 9. Tworzenie poliencefalicznych światów stało się dla niego czymś zupełnie naturalnym.

- W pewnym sensie wcale nie poszło nam najgorzej - powiedział kapitan Belsnor. - Pozbyliśmy się prawie dwóch tygodni.

- A może tym razem zdecydujemy się na planetę pokrytą wodą? - zaproponowała Maggie Walsh. - Moglibyśmy być delfinopodobnymi ssakami żyjącymi w ciepłych morzach.

- To już było - odparł Russell. - Jakieś osiem miesięcy temu, nie pamiętasz? Chwileczkę... Tak, nazwaliśmy ją Aauasoma 3 i spędziliśmy tam trzy miesiące czasu rzeczywistego. Bardzo przyjemny pobyt, a w dodatku jeden z najdłuższych. Ma się rozumieć, wtedy nie byliśmy jeszcze tak wrogo nastawieni do siebie.

- Przepraszam - powiedział Seth Morley, a następnie wstał i wyszedł z kabiny na wąski korytarz.

Przystanął, trąc bezwiednie ramię. Odczuwał w nim czysto psychosomatyczny ból stanowiący wspomnienie o Delmak-O; zapewne będzie go czuł jeszcze co najmniej przez tydzień. To wszystko, co nam zostało, pomyślał. Ból i szybko zanikające wspomnienia.

A może by tak wymyślić świat, w którym leżymy w trumnach, martwi i zagrzebani głęboko pod ziemią? Przecież w gruncie rzeczy tylko tego pragniemy.

Od czterech lat na statku nie zanotowano żadnego samobójstwa. Populacja ustabilizowała się, przynajmniej na jakiś czas.

Do chwili, kiedy umrze Roberta Rockingham.

Chciałbym umrzeć razem z nią, pomyślał. Ile jeszcze możemy wytrzymać? Już niedługo. Thugg dziwaczeje coraz bardziej, podobnie jak Frazer i Babble. I ja. Może ja też zacząłem już wpadać w ostateczną depresję. Wade Frazer ma rację: pobyt na Delmak-O udowodnił, jak wiele wrogości nosi w sobie każdy z nas.

Skoro tak, to każdy następny świat, jaki wymyślimy, będzie coraz gorszy... Russell miał słuszość:

nie uciekniemy od tego.

Kiedy umrze Roberta Rockingham, będzie nam jej bardzo brakowało. Z nas wszystkich jest najłagodniejsza i najbardziej opanowana.

To dlatego, że wie, iż wkrótce umrze.

Nasza jedyna pocieszycielka. Śmierć.

Mógłbym otworzyć parę zaworów i wypuścić ze statku całą atmosferę. Zostałaby wyszana w próżnię, a my byśmy umarli, mniej lub bardziej bezboleśnie. Niemal w jednej chwili.

Położył rękę na awaryjnym pokrętle najbliższego zaworu powietrznego. Wystarczy, żebym przekręcił je w lewo, przemknęło mu przez myśl.

Stał bez ruchu, z ręką zaciśniętą na pokrętle. Świadomość tego, co miał zamiar zrobić, sprawiła, że zamarł jak posąg. Odniosł wrażenie, że czas się zatrzymał, a wszystko, co go otacza, stało się płaskie i dwuwymiarowe.

Od strony rufy nadeszła korytarzem jakaś postać. Brodaty mężczyzna odziany w wypłowiałą, powłóczystą szatę, młody i wyprostowany, o czystej, jasnej twarzy.

- Chodzący po Ziemi - powiedział Seth Morley.

- Nie - odparł mężczyzna. - Nie jestem Chodzącym po Ziemi. Jestem Orędownikiem.

- Ale przecież my cię wymyśliliśmy! My i LIN 889B!

- Przyszedłem, żeby cię stąd zabrać - oznajmił Orędownik. - Dokąd chcesz się udać? Kim pragniesz być?

- Mówisz o iluzji? O czymś w rodzaju naszych poliencefalicznych światów?

- Nie - odparł Orędownik. - Staniesz się wolny. Umrzesz i narodzisz się jeszcze raz. Zaprowadzę cię tam, gdzie będziesz chciał, do tego, co lubisz i co ci odpowiada. Powiedz mi, co to jest.

Sethowi nagle zaświtała pewna myśl.

- Ale chyba nie chcesz zabić pozostałych? - zapytał. - Nie otworzysz zaworów? Orędownik pokręcił głową.

- O tym musi zdecydować każdy z nich. Ty możesz decydować tylko za siebie.

- Chciałbym być pustynną rośliną, która przez cały dzień widzi słońce - powiedział Seth Morley. - Chcę rosnąć, na przykład jako kaktus na jakiejś ciepłej planecie, gdzie nikt nie będzie mnie niepokoił.

- Zgoda.
 - I chcę spać - dodał Morley. - Chcę spać, ale być świadomym słońca i siebie.
 - Tak właśnie jest z roślinami - wyjaśnił Orędownik. - Śpią, a mimo to zdają sobie sprawę ze swego istnienia. Będzie, jak sobie życzysz. - Wyciągnął do niego rękę. - Chodź ze mną.
- Seth Morley dotknął dłoni Orędownika. Mocne palce zacisnęły się na jego ręce. Był szczęśliwy jak jeszcze nigdy w życiu.
- Będiesz żył i spał przez tysiąc lat - powiedział Orędownik, a następnie poprowadził go między gwiazdy.
 - Kapitanie, nie mogę nigdzie znaleźć mojego męża - oznajmiła przerażona Mary Morley. Czują, jak po policzkach spływają jej powoli ciepłe łzy. - Zniknął - dodała, zanosząc się szlochem.
 - Chcesz przez to powiedzieć, że nie ma go na statku? - zapytał Belsnor. - Przecież nie mógł wyjść na zewnątrz, nie otwierając którejs z klap. To jedyny sposób. Gdyby to zrobił, powietrze uciekłoby na zewnątrz i wszyscy byśmy zginęli.
 - Wiem o tym.
 - W takim razie musi być gdzieś na statku. Poszukamy go. Jak tylko skończymy obmyślać nasz nowy poliencefaliczny świat.
 - Teraz! - zawołała błagalnie Mary. - Szukajmy teraz!
 - Teraz nie mogę - odparł Belsnor. Odwróciła się i ruszyła przed siebie.
 - Zostań. Musisz nam pomóc.
 - Już nie wrócę - oświadczyła, idąc wąskim korytarzem w kierunku kuchni. Chyba tutaj był ostatnio, pomyślała. Czuję jego obecność. Zawsze spędzał tu dużo czasu.

Skulona w małym, ciasnym pomieszczeniu przysłuchiwała się ich cichnym stopniowo głośom. Wreszcie zupełnie umilkły. Weszli w trans poliencefaliczny, domyśliła się. Tym razem beze mnie. Mam nadzieję, że są teraz szczęśliwi. Pierwszy raz nie zabrałam się z nimi. Co powinnam teraz zrobić? Dokąd mam iść?

Uświadomiła sobie, że jest zupełnie sama. Seth zniknął, oni odeszli. Nie dam rady.

Z ociąganiem wróciła do sterowni.

Leżeli w indywidualnych komórkach, z głowami ukrytymi w oplatanych masą przewodów cylindrach. Dwa były puste: jej i Seta. Stała, drżąc z niezdecydowania. Co tym razem wprowadzili do komputera? Jakie podali mu przesłanki i co on z tego stworzył?

Jaki będzie ten następny świat?

Przyjrzała się brzęczącemu cichutko komputerowi. Z nich wszystkich tylko Glen Belsnor naprawdę wiedział, jak się nim posługiwać. Mary nie potrafiła się zorientować, jak urządzenie zostało zaprogramowane, a dziurkowana taśma zwisająca ze szczeliny czytnika nie zawierała żadnych zrozumiałych dla niej informacji. Wreszcie, z ogromnym wysiłkiem, podjęła jednak decyzję. To musi być jakieś miłe miejsce, powiedziała sobie w duchu. Przecież teraz potrafimy już to robić znacznie lepiej. Nie tworzymy takich okropnych światów jak na początku.

To prawda, że pojawił się element wrogości, ale przecież zabójstwa nie były prawdziwe. Stanowiły tylko część iluzji, tak samo jak morderstwa dokonywane we śnie.

Jakże łatwo było je popełniać. Jak łatwo poradziła sobie z zabiciem Susie Smart.

Położyła się na swojej koi, ukrytej we wnętrzu małej komórki, włączyła system ochrony życia i wreszcie z ogromną ulgą włożyła na głowę cylinder. Jego delikatny, modulowany szum, który tyle razy słyszała w przeszłości, w ciągu tych długich, trudnych lat, podziałał na nią uspokajająco.

Okryła ją ciemność. Wdychała ją głęboko, pożądając jej i akceptując... Nagle uświadomiła sobie, że to noc, i zapragnęła ze wszystkich sił, żeby nastął dzień, żeby mogła zobaczyć nowy świat, którego jeszcze nigdy nie było jej dane oglądać.

Kim jestem? - zadała sobie pytanie. Nie potrafiła już na niejasno odpowiedzieć. Persus 9, utrata Seta, smutne życie w pułapce - wszystko to zniknęło jak ciężar, który nagle zdjęto jej z barków. Myślała tylko o czekającym ją dniu; podniósłszy rękę do oczu, usiłowała dojrzeć godzinę na zegarku, ale zegarek stanął, a ona i tak nic nie widziała.

Zobaczyła natomiast gwiazdy, poukładane na niebie w tajemnicze wzory, poprzetykane smugami nocnej mgły.

- Pani Morley... - odezwał się zrzędlawy męski głos.

Otworzyła oczy, przytomniejąc w ułamku sekundy. Fred Gossim, naczelny inżynier kibucu Tekel Upharsin, szedł do niej z jakimś oficjalnym dokumentem w ręce.

- Otrzymała pani zgodę na przeniesienie - powiedział, wręczając jej dokument. - Została pani skierowana do kolonii na planecie... - Zawahał się, marszcząc brwi. - Delmar.

- Delmak-O - poprawiła go Mary, czytając pobieżnie dokument. - Tak... I mam tam polecieć nosaczem. - Ciekawe, co to za planeta, ten Delmak-O, pomyślała. Nigdy o niej nie słyszała, ale wyglądało na to, że będzie to coś interesującego. - Czy Seth też dostał zgodę?

- Seth? - Gossim uniósł brwi. - A kto to jest Seth? Roześmiała się.

- Dobre pytanie. Nie mam pojęcia. Zresztą to chyba nie ma znaczenia. Tak się cieszę, że mogę tam polecieć...

- Nie interesuje mnie to - przerwał jej Gossim w swój zwykły, szorstki sposób. - Ja to widzę tak, że nie dotrzymuje pani swoich zobowiązań wobec kibucu.

Odwrócił się i odszedł.

Nowe życie, pomyślała Mary Morley. Okazja, przygoda i dreszczyk emocji. Czy spodoba mi się na Delmak-O? Na pewno. Jestem o tym przekonana.

Tanecznym krokiem pobiegła do swojej kwatery w centralnym kompleksie zabudowań kibucu, żeby wziąć się do pakowania.

[1] dumb - tępny, głupi; smart - sprytny, mądry (przyp. tłum.).

[2] babble - paplać, mleć ozorem (przyp. tłum.).

[3] thug - zbir, rzezimieszek (przyp. tłum.).

Spis treści

[Rozpocznij](#)